



ZIMA
KARL OVE KNAUSGÅRD
z obrazami Larsa Lerina



ZIMA

KARL OVE KNAUSGÅRD
z obrazami Larsa Lerina

Z norweskiego przełożyła
Milena Skoczko

WYDAWNICTWO LITERACKIE



Listy do nienarodzonej córki

2 GRUDNIA. Przeleżałaś w brzuchu całe lato i całą jesień. Otoczona wodą i ciemnością, przeszłaś przez poszczególne stadia rozwoju płodowego, które z zewnątrz przypominają ewolucję gatunku ludzkiego: od prehistorycznej krewetkopodobnej istoty z kręgosłupem w kształcie ogona i skórą opinającą centymetrowe ciało, tak cienką, że prześwituje przez nią wnętrze – jak jeden z tych płaszczy przeciwdeszczowych z przezroczystego plastiku, które kiedyś zobaczysz i być może pomyślisz to samo co ja, że mają w sobie coś nieprzyzwoitego, może dlatego, że patrzenie przez skórę wydaje się sprzeczne z naturą, a taki płaszcz przeciwdeszczowy jest jak skóra, którą na siebie nakładamy – do pierwszej ssakopodobnej formy, w której kręgosłup przestaje być dominującą cechą, a zaczyna nią być głowa, ogromna w stosunku do wąskiego zgiętego tułowia i przeraźliwie cienkich łodyżkowatych rąk i nóg, nie mówiąc już o cieniutkich jak igła palcach. Rysy twarzy nie są jeszcze rozwinięte, oczu, nosa i ust można się jedynie domyślać, prawie jak w przypadku niedokończonej rzeźby, z tą różnicą, że ostatnie szlify, prace o wysokim stopniu precyzji, nie toczą się na zewnątrz, odwrotnie – przenikają z wnętrza na zewnątrz: Ty sama się zmieniasz, kształtujesz się poprzez ciało. Właśnie tak, z niewyraźnymi, bliżej nieokreślonymi rysami twarzy, wyglądałaś pod koniec czerwca, gdy byliśmy na wakacjach w Gotlandii, w domu położonym w głębi lasu na Fårö, na małej polanie otoczonej zewsząd sosnami, gdzie powietrze pachniało solą, a szum morza niósł się między drzewami. Przed południem kąpaliśmy się na jednej z tych długich, wąskich bałtyckich plaż, potem jedliśmy obiad w restauracji pod gołym niebem, a wieczorem oglądaliśmy w domu filmy. Twoja najstarsza siostra miała wtedy dziewięć lat, średnia siedem, a twój brat pięć, prawie sześć. Sporo z nimi zamieszania, zwłaszcza z dziewczynkami, które są w zbliżonym wieku i przez cały czas czują, że muszą modyfikować odległość między sobą, i dlatego kłócą się, a czasem nawet próbują się bić, ale nigdy, kiedy są na plaży, nigdy, kiedy się kąpią – wtedy zgadzają się we wszystkim. Zawsze tak było: w wodzie znikają wszelkie konflikty, wszelkie problemy, w wodzie dziewczynki zapominają o bożym świecie i bawią się beztrąsko. Obie bardzo kochają swojego młodszego braciszka, uważają, że jest słodki, i czasem mówią, że wyszłyby za niego za męża, gdyby nie był ich bratem.

Dwa miesiące później Twój brat poszedł po raz pierwszy do szkoły, to było pod koniec sierpnia, gdy Ty wciąż leżałaś maleńka w ciemności, z gigantyczną głową w stosunku do reszty ciała, z nóżkami jak dwie gałązki, za to z paznokciami na miniaturowych paluszkach, którymi mogłaś już poruszać i prawdopodobnie właśnie to robiłaś – wsuwałaś kciuk do ust, żeby go possać. O niczym nie miałaś

pojęcia, nie wiedziałaś, gdzie jesteś ani kim jesteś, ale powoli, powoli zaczynałaś się domyślać, że jesteś, skoro istniały różnice w Twoich stanach emocjonalnych: bo o ile nic nie czułaś, gdy Twoja dłoń unosiła się przy głowie, o tyle musiałaś coś czuć, gdy nagle wkładałaś ją do ust. Ta różnica – że coś jest czymś, a coś jest czymś innym – musiała być punktem wyjścia Twojej świadomości. Ale nic ponadto. Wszystkie dźwięki, które przedostawały się do Ciebie, głosy i warkot silnika, krzyk mew i muzyka, uderzenia, brzęczenie, wołanie, po prostu tam były, jak ciemność i woda, coś, czego nie rozróżniałaś, ponieważ nie istniała żadna różnica między Tobą a Twoim otoczeniem: byłaś po prostu czymś, co rosło, co się rozciągało. Byłaś ciemnością, byłaś wodą, byłaś podskokami, gdy Twoja mama wchodziła po schodach. Byłaś ciepłem, snem, tą maciupeńką różnicą, która pojawiała się, gdy się budziłaś.

Ale kiedyś zobaczysz zdjęcia z pierwszego dnia szkoły Twojego brata; jedno z nich wisi na ścianie w jadalni, są na nim wszyscy troje, stoją i uśmiechają się, każde w charakterystyczny dla siebie sposób, z ogrodem w tle, zielonym i mieniącym się w porannym świetle, w swoich nowych szkolnych ubraniach, pod błękitnym niebem późnego lata.

Brzmi to jak idylla i pełnia szczęścia. I tak właśnie było, zarówno dni na plaży na Fårö, jak i pierwszy dzień szkoły były dobre. Ale kiedy będziesz to czytać, mój skarbie, jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem i ciąża będzie się rozwijać prawidłowo, mam nadzieję i wierzę w to, chociaż nie ma na to żadnych gwarancji, będziesz wiedzieć, że życie tak nie wygląda, że dni pełne słońca i śmiechu nie są regułą, chociaż również się przytrafiają. Jesteśmy zdani na siebie. Wszystkie nasze uczucia, pragnienia i pożądanja, cała indywidualna psychiczna konstytucja, z jej wszystkimi odległymi zakamarkami i twardymi dyskami, zeszytowanymi we wczesnym dzieciństwie, których praktycznie nie da się rozerwać, są konfrontowane z uczuciami, pragnieniami i pożądaniami innych ludzi, i z ich indywidualną psychiczną konstytucją. Nasze ciała są proste i zręczne, potrafią pić herbatę z najcieńszej, najwykwintniejszej chińskiej porcelany, a nasze maniery są nienaganne, dzięki czemu zazwyczaj wiemy, czego dana sytuacja od nas wymaga, ale nasze dusze przypominają dinozaury: są wielkie jak domy, poruszają się ciężko i powoli, lecz przestraszone lub rozgniewane są śmiertelnie niebezpieczne, nie cofną się przed niczym, by zranić lub zabić. Próbuję przez to powiedzieć, że chociaż z zewnątrz wszystko może wydawać się wiarygodne, wewnątrz zawsze dzieją się zupełnie inne rzeczy, innego rzędu wielkości. Podczas gdy jakieś słowo z zewnątrz jest tylko słowem, które upada na ziemię i znika, wewnątrz może stać się czymś ogromnym i trwać w tym stanie przez wiele lat. I podczas gdy jakieś wydarzenie z zewnątrz jest tylko wydarzeniem, często wiarygodnym i zawsze niemal za nami, wewnątrz może przejąć całkowitą kontrolę i budzić strach, który hamuje, lub zgorzknienie, które hamuje, lub na odwrót: może budzić zbytnią

pewność siebie, która nie hamuje, ale może prowadzić do upadku, który hamuje. Znam ludzi, którzy każdego dnia piją butelkę wódki, znam ludzi łykających leki psychotropowe jak dropsy, znam ludzi, którzy próbowali popełnić samobójstwo – jeden powiesił się na strychu, ale go znaleźli, inny przedawkował w łóżku, ale znaleźli go i przetransportowali do szpitala karetką. Znam ludzi, którzy przebywali długo w szpitalach psychiatrycznych. Znam ludzi cierpiących na schizofrenię, chorobę afektywną dwubiegunową, psychozy, w ogóle nieogarniających swojego życia. Znam ludzi zgorzkniałych, którzy winą za swoją stagnację lub niepowodzenia życiowe obarczają innych, często w związku z wydarzeniami sprzed dziesięciu, dwudziestu lub trzydziestu lat. Znam ludzi, którzy biją swoich najbliższych, i znam takich, którzy godzą się na wszystko, ponieważ nie oczekują już niczego od życia.

Wszystko, co skostniałe i żałosne, całe cierpienie i cała utrata sensu są również częścią życia; wszędzie można to spotkać, lecz nie tak łatwo dostrzec – nie tylko dlatego, że ma źródło w życiu wewnętrznym, lecz również dlatego, że większość ludzi stara się to ukryć, i dlatego, że tak trudno się do tego przyznać: przecież życie powinno być łatwe, lekkie i przyjemne, życie powinno być roześmianymi dziećmi, które biegną wzdłuż brzegu morza, które stoją i uśmiechają się do aparatu pierwszego dnia szkoły, pełne napięcia i oczekiwania.

Odprawienie dziecka do szkoły w pierwszym dniu nauki, czego za kilka lat mamy nadzieję doświadczyć z Tobą, to dla rodziców nie tylko pamiętna, lecz także rozdzierająca serce chwila, ponieważ w miejscu, w którym ich dziecko spędzi kolejnych piętnaście lat, musi poradzić sobie samo. Myślę, że właśnie tego dzieci powinny uczyć się w szkole: obcowania z innymi ludźmi, bo wiedza sama w sobie nie jest taka ważna, prędzej czy później i tak ją zdobędą. Kilka lat temu jedna z Twoich sióstr przeżywała trudny okres, widziałem to, ale nie mogłem nic na to poradzić. Bardzo chciała zaprzyjaźnić się z kilkoma dziewczynkami. Czasem bawiły się z nią i wtedy przepełniała ją radość, a czasem nie i wtedy na dużej przerwie chodziła sama po dziedzińcu szkolnym, siedziała w bibliotece i czytała książki. A ja nie byłem w stanie nic zrobić. Mogłem z nią porozmawiać, ale po pierwsze, ona nie chciała, a po drugie, co miałem jej powiedzieć? Jakie słowa mogłyby jej pomóc? Że jest nieskończenie wspaniała, nieskończenie piękna i że to, co przeżywa, to nic nieznaczący epizod na samym początku życia, które rozwinie się w wyjątkowy sposób, którego ani ona sama, ani my nie jesteśmy w stanie sobie wyobrazić? To, że uważałem ją za wspaniałą osobę, nie pomagało, ponieważ one tak nie uważały. Pewnego wieczoru szliśmy razem, ona i ja, i wtedy zapytała, czy nie moglibyśmy się przeprowadzić. „Dokąd?”, spytałem. „Do Australii”, odparła. Pomyślałem, że to tak daleko, że dalej już nie można. „Dlaczego akurat tam?”, spytałem. Odpowiedziała, że w Australii uczniowie noszą mundurki. „Dlaczego chcesz nosić mundurek?”, zdziwiłem się. „Ponieważ wtedy wszyscy chodzą tak

samo ubrani”, odpowiedziała. „A dlaczego to takie ważne?”, drażyłem temat. „Bo nikt nie mówi, że jestem ładnie ubrana, kiedy mam na sobie nowe rzeczy”, wyjaśniła. „A wszystkim innym tak mówią. Czy moje ubrania n i e są ładne?”, spytała i spojrzała na mnie. „Oczywiście, że są”, zapewniłem, odwracając wzrok, ponieważ oczy zaszyły mi łzami. „Twoje ubrania są naprawdę bardzo ładne”.

Trudności czekają również Ciebie. Ale jeszcze nie teraz! Jest grudzień, do Twoich narodzin zostały trzy miesiące, potem kilka lat będziesz całkowicie zależna od nas, będziemy żyć w pewnego rodzaju symbiozie, aż nadejdzie ten sierpniowy dzień, gdy również Ciebie odprowadzimy pierwszy raz do szkoły. Kiedy to przeczytasz, pierwszy dzień szkoły będzie już dawno za Tobą, będzie jednym z wielu Twoich wspomnień.

Wczoraj spadła gwałtownie temperatura, wieczorem było kilka stopni poniżej zera, wszystkie kałuże zamarły, a szyby w samochodzie pokryły się szronem. Zanim położyłem się spać, wyszedłem na podwórze i spojrzałem na niebo, było bezchmurne i rozgwieżdżone. Gdy wszedłem do sypialni, Linda leżała na plecach z odsłoniętym do połowy brzuchem. „Właśnie mnie kopnęła”, wyjaśniła. Chodziło o Ciebie. „Może znowu to zrobi?” Spojrzałem na brzuch i wtedy, zaledwie kilka sekund później, zobaczyłem małe wybrzuszenie, to trwało krótką chwilę i wyglądało tak, jakby skóra na brzuchu się pofałdowała – przypominało to zmarszczki na wodzie, które pojawiają się, kiedy jakieś morskie zwierzę przepływa tuż pod jej powierzchnią. To była Twoja stopa, która kopnęła w sufit. Gdybyś się teraz urodziła, prawdopodobnie przeżyłabyś, choć to wcale nie byłoby pewne. Śpiąc, śnisz, a poza tym rozpoznajesz już dźwięki, które słyszysz.

Może zaczęłaś się domyślać, jak wygląda świat na zewnątrz. Gdybyś była zdolna do refleksji, założyłabyś, że świat to małe ciemne pomieszczenie wypełnione wodą, w której się unosisz, i że wszystko, co znajduje się na zewnątrz, jest związane ze słuchem i składa się z wszelkiej maści dźwięków. Że to jest wszechświat, a Ty jesteś w nim sama. Zresztą może tu, na zewnątrz, tak właśnie jest: może jesteśmy sami w dużym czarnym pokoju wypełnionym gwiazdami i planetami, a na zewnątrz istnieją dźwięki dobiegające z jeszcze większego pokoju, do którego nigdy się nie przedostaniemy, tylko z czasem, może z samego końca wszechświata, usłyszymy płynące zeń odgłosy.

Dziwne, że istniejesz, a mimo to nie wiesz, jak wygląda świat. Dziwne, że istnieje pierwszy raz, kiedy widzimy niebo, pierwszy raz, kiedy widzimy słońce, pierwszy raz, kiedy czujemy powietrze na skórze. Dziwne, że istnieje pierwszy raz, kiedy widzimy twarz, drzewo, lampę, piżamę, but. W moim życiu to się już prawie nigdy nie zdarza. Ale wkrótce się zdarzy. Za kilka miesięcy po raz pierwszy zobaczę Ciebie.

GRUDZIEŃ



Księżyc

Księżyc, ta ogromna góra, która daleko stąd towarzyszy Ziemi w jej wędrówce wokół Słońca i jest jedynym ciałem niebieskim w naszym bezpośrednim otoczeniu. Widzimy je wieczorem i nocą, gdy odbija światło słoneczne, które jest przed nami ukryte, dzięki czemu Księżyc wygląda tak, jakby świecił sam z siebie i rządził niepodzielnie wysoko w górze. Czasem wydaje się bardzo odległy, jak mała zagubiona kula, innym razem przybliża się i zawisa nad wierzchołkami drzew niczym wielki świetlisty dysk, podobny do statku zmierzającego w stronę portu. Gołym okiem widać, że jego powierzchnia jest nierówna; niektóre fragmenty są jasne, inne ciemne. Zanim wynaleziono teleskop, sądzono, że te ciemne pola stanowią oceany. Inni uważali, że to lasy. Teraz wiemy, że cienie na powierzchni Księżyca to ogromne pola lawy, która kiedyś wylała się z jego wnętrza, wypełniła kraterę i zastygła. Wystarczy przyrzeć się Księżycowi przez teleskop, by stwierdzić, że jest zupełnie pozbawiony życia, całkowicie jałowy i składa się z pyłów i kamieni jak gigantyczna kopalnia piasku. Nie wieje tam nigdy wiatr, nawet lekki; na Księżycu panuje cisza, brak ruchu, jak wieczny obraz świata sprzed życia lub po życiu. Czy to właśnie znaczy umrzeć? Czy to nas czeka? Chyba tak. Na Ziemi, otoczonej pęczniejącym, czołgającym się i latającym życiem, śmierć ma w sobie coś pojednawczego, jakby również ona była częścią wszystkiego, co rośnie i dojrzewa, w czym znikamy, umierając. Ale to iluzja, fantazja, marzenie. Międzygwiazdna nicość, to, co absolutnie puste i absolutnie czarne, a co wiąże się z wieczną, niekończącą się samotnością, o której Księżyc, dzięki swojemu podobieństwu do Ziemi, daje nam mgliste pojęcie – właśnie to nas czeka. Księżyc jest okiem tego, co martwe, ślepy wisi na niebie, obojętny na nas i na nasze sprawy, na te fale życia, które wznoszą się i opadają daleko w dole. Ale wcale nie musiało tak być, ponieważ Księżyc jest tak blisko, że można na niego podróżować jak na odległą wyspę. Lot trwa dwa dni. Kiedyś Księżyc znajdował się dużo bliżej, ekstremalnie bliżej. Teraz dzieli go od Ziemi ponad trzysta tysięcy kilometrów, ale niegdyś ta odległość wynosiła zaledwie dwadzieścia tysięcy kilometrów. Musiał być gigantyczny na tle nieba.

Wiedząc, jak niezwykle stworzenia zamieszkiwały Ziemię od czasów prehistorycznych aż do teraz, wyposażone w najdziwniejsze cechy mające sprostać najróżniejszym fizycznym wymaganiom środowiska, można sądzić, że wystarczyłoby naprawdę niewiele, by pojawiły się istoty zdolne do pokonania tego krótkiego dystansu w przestrzeni kosmicznej (zresztą życie na Ziemi zawsze pokonywało odległości, nawet na najodleglejsze wyspy), by w ten sposób przenieść tam życie. Na przykład skrzyp polny, ta prymitywna prehistoryczna roślina – czy tak trudno sobie wyobrazić, że jej pędy tworzą wir, który porywa je w górę, przez

atmosferę, a potem powoli przegania je przez przestrzeń kosmiczną, by kilka tygodni później pozwolić im wylądować miękko w warstwie pyłu na Księżycu? Albo meduzy, czy nie mogły porzucić oceanu i unieść się w powietrze jak dzwonki? Ryby powietrzne, czy można wyobrazić sobie coś bardziej osobliwego od luminescencyjnych ślepych ryb głębinowych? Nie mówiąc już o ptakach. Wtedy życie na Księżycu przypominałoby życie na Ziemi, a mimo to różniłoby się od niego, jak swego rodzaju radykalna wersja Galapagos, a księżycowe ptaki, lekkie jak piórka, uniezależnione od tlenu, latałyby w rojach nad Ziemią, widoczne jako małe kropki daleko, daleko w górze. Powiększałyby się powoli i szybowały na swoich potężnych, cienkich jak papier skrzydłach nad polami, połyskując w świetle Księżyca, który dla ówczesnych ludzi stanowił siedlisko tego, co święte i przerażające.

Woda

Każdego dnia woda stoi na stole w dużym szklanym dzbanku. Jest całkiem klarowna, zupełnie przezroczysta i nie ma żadnego kształtu: kiedy przelewam ją do szklanek dzieci, przybiera kształt nowych naczyń. Kiedy zdarza mi się ją rozlać, tworzy na stole małą kałużę, a czasem ścieka na podłogę, ponieważ najbardziej charakterystyczną cechą wody jest to, że zawsze podąża w stronę najniższej położonego punktu. Kiedy pada deszcz, krople spływają powoli po szybie na parapet, gdzie łączą się w strugi i spadają na płyty chodnikowe, tak jak woda w szklankach, które dzieci przykładają łapczywie do ust, spływa im do gardła. To, że ta pozbawiona koloru, smaku i kształtu ciecz, tak łatwa do kontrolowania, całkowicie zależna od swojego otoczenia, ma cokolwiek wspólnego z falami, które każdej jesieni i zimy z ogromną siłą uderzają o ląd, z tym piekłem piany, szumu i huku, jest równie trudne do wyobrażenia jak to, że ten mały płomyk, który tak spokojnie trawi knot świecy, ma coś wspólnego z potężnymi, ciągnącymi się przez wiele kilometrów pożarami, które od czasu do czasu szaleją w lasach, niszcząc wszystko, co napotkają na swojej drodze. Trudno w to uwierzyć, ale to prawda. Woda stoi na stole, woda wypływa z kranu. Woda sprawia, że ulice błyszczą, pola ciemnieją, łąki się mieniają. Woda szemrze w strumieniach, spływa po zboczach gór, spoczywa nieruchomo w ogromnych skupiskach w samym środku lasu. Woda otacza kontynenty. W dzieciństwie, gdy świat był jeszcze nowy, ciągnęło nas do wody. Do jeziora, do strumienia, do źródła. Nikt z nas nie zastanawiał się wtedy, o co chodzi z tą wodą, czuliśmy tylko, że wypełnia nas czymś, napięciem, czymś niesłychanie dramatycznym, jakąś ciemnością. Woda była krawędzią, tam kończył się nasz świat, nawet jeśli było to głębokie oczko wodne w lesie, zaledwie kilkaset metrów od jasno oświetlonych domów, lub pod betonowym mostem w pobliżu portu jachtowego, gdzie w marcowe wieczory przeskakiwaliśmy z kry na krę, dziwnie podekscytowani, w niebieskawych ciemnościach, w kozakach, z nogawkami spodni ciężkimi od wody, z dłońmi czerwonymi z zimna. Ponad trzydzieści lat później wróciłem tam i spotkałem swojego najlepszego kolegę z czasów dzieciństwa. Spytałem go, czy pamięta, jak skakaliśmy po krze. Skinął głową i był tym równie zaskoczony jak ja: przecież mogliśmy tam utonąć. I wtedy opowiedział mi, co się tutaj wydarzyło rok wcześniej. Szedł tą samą drogą, była zima, późny wieczór, padał śnieg, który ograniczał widoczność. Przechodząc przez most, głęboko w czarnej wodzie zobaczył światło. Przechylił się nad balustradą; co, do cholery, może świecić na dzień? To był samochód, zjechał z drogi, właśnie to musiało się wydarzyć. Przyjaciel zadzwonił po karetkę, nadjechała, pletwonurkowie podплыli do auta, wyciągnęli kierowcę, mężczyzna utonął. Samochód został wydobyty następnego dnia. Chociaż sam tego nie widziałem,

mam ten obraz przed oczami: woda tryska z otworów karoserii auta, które wisi w powietrzu, i z pluskiem trafia w czarną taflę, w zetknięciu z którą topnieją wirujące płatki śniegu.

Sowy

Podczas gdy twarze innych ptaków drapieżnych są wysunięte do przodu i w pewnym sensie aerodynamiczne, jak przedłużenie mknącego ciała, z dziobem jak grot strzały, twarz sowy jest płaska i okrągła, a dziób mały, podobny do nosa. Wrażenie płaskiej i okrągłej twarzy pogłębia wieniec piór, który ją otacza, przez co wygląda ona jak polana w lesie, a wszystko to razem sprawia, że wydaje się naga, trochę jak twarz starca. Prawdopodobnie z tego powodu w wierzeniach ludowych sowa jest przedstawiana jako przerażający ptak kojarzony z siłami świata zmarłych: kiedy sowa pohukuje w pobliżu domu, ktoś z jego mieszkańców wkrótce umrze. Inne ptaki drapieżne to po prostu ptaki drapieżne. Chociaż o orle mówiono, że potrafi porwać małe dziecko, i uważano go za niebezpiecznego, nigdy nie budził przerażenia, ponieważ orzeł żyje w zgodzie z samym sobą; jego wygląd i zachowanie stanowią jedność i ta jedność, nawet jeśli okrutna – tak jak wtedy, gdy potężne pazury rozrywają ciało ofiary, żółty dziób jest czerwony od krwi, a oczy patrzą nie ludzko prosto przed siebie, zimne i bezduszne – jest przewidywalna. To, co przerażające, jest związane z nieprzewidywalnością, ambiwalencją, zmiennością. Sowa jest drapieżnikiem, ale jej twarz przypomina twarz starca. I chociaż jej oczy są wylupiate, a przy tym duże i okrągłe, w przeciwieństwie do innych ptaków sowa ma powieki, dzięki czemu potrafi mrugać. Kiedyś widziałem sowę w ogrodzie zoologicznym i gdy nagle zamruła, byłem zaskoczony. Nigdy wcześniej nie myślałem o tym, że ptaki nie mrugają. W chwili, w której tamta sowa – to był puchacz, wielki jak niemowlę – mrugnęła powiekami, przełączyła się z funkcji ptaka w funkcję człowieka. Bił od niej nie tylko idealny spokój, lecz także pewien rodzaj mądrości, zupełnie jakby miała wiedzę – głębszą i prawdziwszą niż wszystko, co nas otaczało: asfaltowa, opromieniona słońcem ścieżka biegnąca obok wolier, budki, w których sprzedawano lody, napoje i kielbaski, rodzice ciągnący małe wózki z plecakami lub dziećmi. Właśnie to sprawiło, że w mitologii rzymskiej sowa była atrybutem Minerwy, bogini mądrości, muzyki i poezji. Gdy Hegel pisał, że „sowa Minerwy wylatuje o zmierzchu, a nie o świcie”, miał na myśli mądrość. Można to odczytać w taki sposób, że mądrość lub zrozumienie następują po zdarzeniu, tak jak noc następuje po dniu, ale można to również zinterpretować inaczej: że mądrość jest domeną nocy, ciemności, mroku, snu, tego, co leży blisko świata zmarłych, w strefie granicznej, którą przemierzają sowy w wierzeniach ludowych, kiedy swym krzykiem zwiastują śmierć w świecie żywych. Z pewnością można zaryzykować stwierdzenie, że mitologiczne powiązanie sowy z poezją również wywodzi się z reprezentowania przez nią strefy granicznej. Jednak najbardziej uderzające w sowach nie jest to, co reprezentują, lecz to, czym są, same w sobie,

jako ptaki, ponieważ nic z tego, co im przypisujemy, w co, naszym zdaniem, wlatują i z czego wylatują, nie leży w ich prawdziwej naturze, która jest obojętną i instynktowną naturą drapieżcy. Sowy żyją z zabijania małych zwierząt; rozrywają je szponami na kawałki i połykają. Te części zwierzęcia, których nie trawia, jak skóra i kości, wypluwają w postaci charakterystycznych, zwartych i gęstych zlepeków, które można znaleźć na ściółce leśnej. Wszystko w sowie jest temu podporządkowane, nawet wieniec z piór wokół twarzy, który wychwytuje dźwięki jak lejek – na podobnej zasadzie działały dawne trąbki do ucha – ponieważ właśnie dźwięki pozwalają polującej sowie orientować się w otoczeniu. Jej uszy są asymetryczne, tak by potrafiła dokładniej zlokalizować źródło owych dźwięków. Sowa widzi w nocy nawet do stu razy lepiej niż człowiek, a pióra ma tak niewyobrażalnie miękkie, że nie sposób usłyszeć jej w locie. Dzięki temu może bezszelestnie poruszać się po lesie w całkowitych ciemnościach, nie wpadając na pnie ani gałęzie, aż w końcu rzuca się na swoją niczego nieświadomą ofiarę, wbijając w nią szpony. Sowa jest cichym i skutecznym drapieżnikiem, niczym więcej. Jeśli prawdziwym celem poezji jest objawienie, właśnie to sowa powinna objawiać: że rzeczywistość jest taka, jaka jest. Że las z gęstymi świerkami i przysypaną śniegiem ściółką jest prawdziwy. Że zapadający zmierzch jest prawdziwy. Że sowa, która zrywa się z gałęzi i leci w dół, jest prawdziwa. Że jej bezszelestne uderzenia skrzydeł są prawdziwe, że niewidoczne i dla nas niesłyszalne fale dźwiękowe docierające do jej uszu są prawdziwe, że nagła zmiana kierunku ucieczki jest prawdziwa, że lot nurkowy z wyciągniętymi szponami jest prawdziwy, że mysz, w którą się wbijają, jest prawdziwa. Że czerwień krwi na tle szarobiałego upierzenia jest prawdziwa, w momencie gdy sowa uderza skrzydłami i wzbija się do lotu przez nocne ciemności, by w następnej chwili zniknąć pośród drzew.

Małpy wodne

Niewiele różni człowieka od innych ssaków, a większość różnic jest jedynie kwestią stopniowania, na przykład język, który u człowieka rozwinął się w ekstremalnie skomplikowany system, ale który obserwujemy również u małp, kotów, delfinów, koni i psów – a nawet u stworzenia tak nam obcego jak pszczoła, choć w radykalnie prostszej formie. Również korzystanie z narzędzi, coś, co człowiek udoskonalił do tego stopnia, że skonstruował maszyny zastępujące pracę niektórych narządów ciała, spotykamy także u zwierząt, choć w nieskończenie prymitywniejszych wariantach. Wydalamy te same produkty przemiany materii przez te same otwory ciała, odczuwamy te same podstawowe emocje: głód, pragnienie, ciepło, zimno, chęć rozmnażania się, i prawdopodobnie te same dodatkowe, niewymagające działania, a co za tym idzie nadliczbowe emocje: zadowolenie, radość, smutek, tęsknotę. Czy ptak czuje w piersi ukłucie żalu, kiedy zostaje opuszczony? Tego nie wiemy, ale co do tego, że czuje to pies, nie ma żadnych wątpliwości. Nawet być może największa różnica między człowiekiem a pozostałymi ssakami – że ciało człowieka jest pozbawione futra – nie jest absolutna, bo przecież słoń i nosorożec również mają skórę, a nie futro, to samo dotyczy prawie wszystkich ssaków morskich – delfinów, fok czy wielorybów. Pytanie brzmi, dlaczego właśnie człowiek, delfin i słoń nie posiadają futra, podczas gdy mają je wszystkie inne ssaki, włączając w to naszych najbliższych biologicznych krewnych, małpy. W latach trzydziestych ubiegłego wieku niemiecki patolog Max Westenhöfer przedstawił teorię, zgodnie z którą człowiek pochodzi od małp, zmuszonych do porzucenia życia na drzewach, i co do tego panuje pełna zgodność, lecz w przeciwieństwie do standardowego stanowiska paleoantropologów, twierdzących, że małpy te żyły na lądzie, w środowisku zbliżonym do sawanny, i ewoluowały w ludzi przez setki tysięcy lat, Westenhöfer uważał, że małpy ewoluowały w środowisku wodnym i że wiele specyficznych cech ludzkich wywodzi się właśnie z czasów, gdy przodkowie człowieka przystosowywali się do życia w oceanie; cechy te przetrwały, mimo że człowiekowate powróciły do życia na lądzie. Ta teoria nigdy się nie przyjęła i nie istniała w świadomości opinii publicznej aż do lat sześćdziesiątych, gdy brytyjski biolog morski sir Alister Hardy – niezależnie od Westenhöfera – zaprezentował podobną hipotezę o tym, że małpy wyewoluowały w stworzenia półwodne, które żyły w rzekach i w strefie przybrzeżnej, prawie tak jak wydry czy hipopotamy. Bo jak inaczej wytłumaczyć fakt, że człowiek ma skórę pozbawioną futra, z której nie czerpie żadnej korzyści, żyjąc na lądzie? Dlaczego ludzkie dziecko uczy się chodzić dopiero około pierwszego roku życia, co nie zdarza się u żadnego innego ssaka? Dlaczego ludzkie dziecko ma odruch nurkowania, który sprawia, że

automatycznie wstrzymuje oddech pod wodą? Przejście z lądu do morza wcale nie jest czymś niezwykłym w historii ewolucji: wieloryby pochodzą od zwierząt lądowych spokrewnionych z dzisiejszymi owcami, kozami i jeleniami, które stopniowo zaczęły przystosowywać się do życia w wodzie, aż w końcu opuściły ląd, zresztą foki również przeszły ten sam proces i około pięćdziesięciu milionów lat temu ze zwierząt lądowych przekształciły się w wodne. Człowiekowate, które żyły w strefie przybrzeżnej i niemal cały ich pokarm pochodził z oceanu, morza lub rzeki, mogły niesłuchanie powoli, tak jak zachodzą zmiany ewolucyjne, przystosować się do życia w środowisku wodnym. Wkrótce zaczęły spędzać całe dnie, pływając, nurkując i brodząc w wodzie, a po kilkuset tysiącach lat zmieniły się nie do poznania, stały się zupełnie niepodobne do swoich bliskich krewnych – małą: dzieci przychodziły na świat w wodzie, pozbawione sierści. Męskie osobniki były często zupełnie łyse, jak foki, z odstającymi nosami chroniącymi drogi oddechowe przed wodą, z dwiema długimi, wiosłowatymi nogami i płaskimi, szerokimi stopami. Wtedy ważyły się ich losy, bo gdyby mały wodne poszły w ślady wielorybów i fok i pozostały w wodzie, w końcu byłyby w stanie zerwać ostatnie więzy łączące je z życiem na lądzie i wpłynąć do oceanów, gdzie moglibyśmy je dzisiaj oglądać: ławice złożone z setek człekokształtnych ssaków morskich pływających w wodzie lub leżących na szkierach, ze zrośniętymi palcami rąk i nóg, pozbawionych sierści, bladych, z długimi wąskimi kończynami i szerokimi klatkami piersiowymi mieszczącymi wielkie płuca, nierzadko tłustych, z potężnymi fałdami tkanki tłuszczowej, paplających w dziwnym, jakby rozwlekłym, prawie śpiewnym języku.

Pierwszy śnieg

W domu, w którym są dzieci, pierwszy śnieg jest bardzo mile widziany. Nawet tutaj, na południu Skandynawii, gdzie większość zim jest całkowicie lub częściowo bezśnieżna, oczekiwania dotyczące śniegu są duże. Dzieci kojarzą zimę, a zwłaszcza Boże Narodzenie, ze śniegiem, mimo że tylko jeden raz przeżyły porządną śnieżną zimę. Obraz zimy znany z filmów i książek steruje prawdziwymi dniami – wypełnionymi deszczem i wiatrem – i jest bardziej rzeczywisty niż one; mówi wiele o dziecięcym świecie, tak łatwo otwierającym się na coś innego niż to, co jest, i tak pełnym nadziei.

Wczoraj po południu deszcz przeszedł w śnieg. Duże mokre płatki spadały z szarego nieba, wypełniając je nagłą lawiną ruchu, którą dzieci natychmiast zauważyły. „Śnieg!”, zawołały i stanęły przed oknem. Śnieg po zetknięciu z ziemią od razu topniał. Dzieci wyszły do ogrodu, stały nieruchomo i wpatrywały się w nieprzeniknioną szarość, z której sfruwały białe płatki, ale ponieważ śnieg do niczego się nie nadawał, szybko wróciły do domu. Z czasem śnieg zyskał przyczepność na kamiennej ścieżce, która powoli pokryła się cienką, szaro połyskującą warstwą brei. W niektórych miejscach, gdzie koncentracja była największa, śniegowa breja miała szarobiały odcień, w innych śnieg stopniał i utworzyły się małe kałuże. Na trawniku, który był zaskakująco zielony i wyjątkowo pięknie błyszczał wśród tej całej szarości, tu i ówdzie pojawiły się podłużne białawe wysepki. Wkrótce jednak temperatura musiała wzrosnąć, ponieważ płatki śniegu poszarzały i zbliżyły się znowu do granicy deszczu, tylko od drugiej strony, a białawe cienie na trawie stawały się coraz mniej wyraźne, aż w końcu zupełnie zniknęły. Gdy jedliśmy obiad, padał deszcz, a jedynym wspomnieniem po śniegu i nadziei na sanki i kopanie jam było kilka karbowanych, szaro połyskujących pasków.

Dziś rano w samochodzie, w drodze do szkoły przez wilgotny krajobraz, mijając ciemnobrązowe, niemal czarne grunty i żółte pola, pomyślałem, że to, co wczoraj się wydarzyło, a po czym nie pozostał żaden ślad, było jak ucieleśnienie wahania, niezdecydowania, niepewności, ponieważ w przebiegu tego wydarzenia było coś głęboko rozpoznawalnego. Zima nie miała prawie w ogóle wiary w siebie po triumfie lata i zdecydowanych jesiennych porządkach. Bo czymże była zima, ze swoimi opadami śniegu i zamrażaniem wody, jeśli nie tanim efekciarzem? Zamienić deszcz w śnieg, wodę w lód – to było wszystko, co potrafiła, czyli właściwie nic, ponieważ zmiana nie była trwała, materialna, ale jedynie pozorna. Lato, z całym swoim światłem i ciepłem, sprawiało, że rośliny mogły rosnąć, ciągle powtarzający się cud i niewątpliwie trwała wartość, ponieważ zwierzęta i ludzie zyskiwali pokarm i dzięki temu życie na ziemi mogło trwać. A śnieg? I lód?

Przecież one hamowały życie! Oczywiście, miło było patrzeć na śnieg i dzieci mogły się nim bawić, ale trudno było doszukać się w nim jakiejś wartości. Czy zima nie przypominała steranego życiem, wiecznie podchmielonego dyrektora cyrku, który jeździł z miejsca na miejsce z wozami i przyczepami kempingowymi, dostarczając ludziom kilku godzin rozrywki, podczas których mogli wstrzymywać oddech z przerażenia i potrząsać głową z zachwytu, chociaż nie było tam właściwie nic, co mogłoby ich przerazić albo zachwycić? Z drugiej strony, pomyślała zima, sypać śniegiem to wszystko, co potrafię. I jestem w tym naprawdę dobra. Po co porównywać się do lata? Jesteśmy jak dzień i noc, słońce i księżyc. A jeśli nie prószę śniegiem, kim wtedy jestem? Nikim. Wtedy jestem nikim. Wtedy to pieprzone cudowne lato może triumfować przez całą wieczność. Wtedy nikt nie stawi oporu temu zarozumiałemu idiocie.

I tak zima postanawia sypnąć śniegiem. Nie trochę, nie z wahaniem, nie z przesadną ostrożnością, ponieważ wie, że śnieg to jedyne, co ją wyróżnia, a teraz chce pokazać, kim jest. Zamierza wypełnić śniegiem cały krajobraz, okryć go szczelnie po samą szyję, tak aby wszyscy zapomnieli o lecie i myśleli, że zawsze będzie zima. Zapakować ich wszystkich w śnieg i mróz. O, tak! Będą marznąć i będą się ślizgać, odgarniać śnieg łopatami i jeździć pługami śnieżnymi. Szkoły zostaną zamknięte, a samochody ugrzęzną w zaspach. Ludzie będą wygrażać niebu pięściami, przeklinając zimę.

I zima zaczyna sypać śniegiem. Ale gdy niebo się napełnia, zima widzi, jakie to nędzne, jakie to mizerne, i przez chwilę próbuje to zrekompensować, zwiększając ciśnienie, wciskając jeszcze więcej wirujących płatków śniegu, ale wystawia siebie na coraz większe pośmiewisko: co ona sobie myśli? Jakim musi być pyszałkowatym głupcem, skoro sypie odrobiną białego puchu na świat, myśląc, że to coś zmieni?! Śnieg j e s t przecież niczym. Śnieg jest n i c z y m!

Ale może nie jest jeszcze za późno. Jeśli śnieg stopnieje natychmiast po zetknięciu z ziemią, może nikt tego nie zauważy.

I śnieg topnieje natychmiast po wylądowaniu na ziemi. Zima wycofuje się ze wstydem. Śnieg przechodzi w deszcz. Wkrótce znikają wszystkie ślady tego niefortunnego zajścia. Przez całe dni, ba, nawet tygodnie, zima leży i przeklina samą siebie za to, że pozwala rządzić jesieni, z jej umiarkowanymi temperaturami, deszczem i wiatrem. Aż w końcu, powoli i niezauważalnie, w zimie zachodzi przemiana, znowu czuje dumę z tego, czym jest, tęskni za działaniem, za realizacją swojej natury, zaczyna jej brakować błyszczących od śniegu płaskowyzów, zasypanych białym puchem domków letniskowych w lesie, wysokich zasp na poboczach dróg. Tym razem zima jest spokojna, nie tak porywcza i niemal fanatyczna jak ostatnio – co ją napadło? – i pewna siebie i swego pozwala śniegowi padać, tym razem na oszronioną ziemię, która pilnuje, by żaden płatek śniegu nie stopniał i nie zniknął.

Urodziny

Każdego dnia wstaję między czwartą a piątą rano, by popracować przez kilka godzin, zanim obudzą się pozostali domownicy. Dzisiaj leżałem do siódmej, bo dziś są moje urodziny. Nie dlatego, że chciałem nagrodzić samego siebie dłuższym snem, lecz by nie rozczarować dzieci, które uwielbiają urodzinowe rytuały, polegające na tym, że wczesnym rankiem wchodzą gęsiego do pokoju, śpiewając „Sto lat”, niosąc zapalone świece, tacę ze śniadaniem i prezenty. Leżąc w łóżku, słyszałem, jak kręcą się po kuchni, potem dobiegły mnie intensywne szepty, aż w końcu rozległy się kroki na schodach i słowa piosenki. Gdy dzieci weszły do sypialni, zamknąłem oczy i podniosłem się, udając, że jestem otumaniony snem. „Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin!”, zawołały. Śledziły pilnie moje ruchy, gdy rozpakowywałem prezenty. Sam je sobie kupiłem dzień wcześniej w Ystad, a wieczorem dałem je Lindzie. Parę skórzanych rękawiczek i gruby brązowy sweter. „Wspaniałe prezenty!”, powiedziałem. „Bardzo wam dziękuję!” Gdy już było po wszystkim, dzieci zaczęły tracić zainteresowanie i wkrótce rozeszły się do swoich zajęć. Nie lubię jeść śniadania w łóżku, ponieważ kłóci się to z silnym poczuciem, co i gdzie wypada robić, więc gdy tylko wyszły z pokoju, wstałem, ubrałem się i odniosłem tacę na dół do kuchni, gdzie na stojąco przeżułem bułkę, po czym zabrałem filiżankę z kawą do jadalni i usiadłem przy stole, przy którym dzieci jadły śniadanie.

Dla nich urodziny stanowią jedno z najważniejszych wydarzeń w roku, jeśli nie najważniejsze. Nic nie sprawia mi większej radości, niż widzieć, jak przeżywają to, że przez cały dzień znajdują się w centrum uwagi. Uczucie, które się wówczas pojawia, że ten dzień należy do nich, szczęście, które je przepęlnia. Moje własne urodziny nic już nie znaczą, nic poza tym, że zbierają nas wokół siebie w szczególny sposób: dzień urodzin wraca co roku i w przeciwieństwie do wszystkich innych powracających dat jest świętowany. Zupełnie, jakbym wkraczał tego ranka do pokoju, który odwiedzam raz w roku, odkąd sięgam pamięcią. Rozpoznaję wariacje światła, temperaturę powietrza, różne stany, w jakich znajduje się krajobraz, to, czy pada deszcz czy śnieg, czy jest mgła, czy świeci słońce – i wszystko wywołuje wspomnienia. Wspomnienia nastrojów, nie zdarzeń. Tak jak teraz, kiedy niebieskawy mrok za oknem powoli gaśnie, a ja przypominam sobie, jak to było siedzieć w klasie tego dnia i patrzeć, jak niebieskawy mrok na dziedzińcu szkolnym powoli gaśnie. Nastrój panujący tamtego dnia głaszcze mnie pospiesznie i trochę niedbale po policzku jak stary przyjaciel rodziny, który nagle zjawia się po wielu latach, po czym znowu znika.

Czterdzieści pięć razy obchodziłem szóstego grudnia. Jeśli nie ulegnę wypadkowi ani poważnie nie zachoruję, przeżyję ten dzień jeszcze około

trzydziestu razy. Po raz pierwszy przyszło mi do głowy, że długość życia jest być może dopasowana do dni. Umieramy niemal jednocześnie z wyczerpaniem się różnych możliwości wariacji, które tkwią w konkretnym dniu. Kiedy ten dzień wypełniają już tylko wspomnienia i nie da się wymyślić w nim niczego nowego. Że właśnie to oznacza wyrażenie „syty życia”^[1].

Monety

Monety to małe, okrągłe, metalowe krążki, oznaczone cyframi, literami, wzorami, zwykle podobizną twarzy lub herbem. Wyglądają tak od niepamiętnych czasów; te z Cesarstwa Rzymskiego nie różnią się zbyt od używanych obecnie. Moneta jest środkiem płatniczym; pierwotnie jej wartość wynikała z użytego do jej wybicia metalu, najczęściej srebra lub miedzi, czasem również złota, natomiast obecnie jej wartość nie ma potwierdzenia w niej samej i stanowi wielkość abstrakcyjną. I właśnie to czyni z niej szczególny wariant fikcji. Kiedy czytamy powieść, oglądamy film lub sztukę teatralną, to, co czytamy lub widzimy, jest czymś innym niż sobą, ale żeby ta reprezentacja miała sens, musimy w nią wierzyć. Wiara nie opuszcza dzieła, które stanowi odrębny świat w świecie; ta wiara nie jest także absolutna, ale by nadać temu sens, udajemy, że jest. W przypadku monety fikcja jest bardziej radykalna, ponieważ wiara w to, że moneta jest czymś innym – choć to także nie wiara absolutna, skoro wiemy, że moneta sama w sobie nie ma żadnej wartości – wywołuje konsekwencje w świecie rzeczywistym. Konsekwencje, które nie są fikcją, lecz realnymi zdarzeniami. Całe społeczeństwo jest zbudowane na wierze w fikcję monet. W chwili, w której ta wiara umiera, społeczeństwo ginie, jak w Niemczech w latach trzydziestych ubiegłego wieku, gdy ludzie nagle przestali wierzyć, że pieniądze są cokolwiek warte, co doprowadziło do tego, że rzeczywiście straciły jakąkolwiek wartość.

Monety trzyma się zwykle w kieszeni lub w jednej z zamykanych przegródek portfela, ale ponieważ mają dość niskie nominały, stosunek do nich bywa nonszalancki: ludzie kładą je na przykład na palce lub półce pod lustrem, kiedy trzeba opróżnić kieszenie spodni przed praniem, i szybko o nich zapominają, lub na komodzie w przedpokoju, gdzie zwykle odkłada się klucze, kiedy człowieka ogarnia złość, że ciężar wszystkich zgromadzonych w kieszeni monet ściera spodnie w dół o kilka centymetrów, prawie jak pałka policyjna. Ponieważ monety są tak małe i w stosunku do swojej wielkości dość ciężkie, stosunkowo łatwo wypadają ze skośnych kieszeni, kiedy siadamy, i lądują niezauważalnie w czeluściach kanapy lub fotela, albo spadają na podłogę, kiedy rozbieramy się wieczorem i wieszamy spodnie na oparciu krzesła. Nic więc dziwnego, że znajdujemy stare monety wszędzie tam, gdzie żyją ludzie; monet po prostu nie sposób upilnować.

Dla pisarza, który żyje z tworzenia fikcji, dziwny jest widok monet leżących wszędzie dookoła, w domach i w dłoniach, na ladach sklepowych i w kasach fiskalnych, ponieważ mają one tak potężną moc, że przez cały czas zmieniają swoją wartość symboliczną na realną, przez cały czas poruszają się między królestwem fantazji a światem rzeczywistości, a przy tym są tak małe i skromne.

Z tej perspektywy wszyscy jesteśmy pisarzami, pieniędzmi piszemy całe społeczeństwo. Szczególną rolę odgrywa w tym kierowca autobusu, który w latach siedemdziesiątych chodził z torbą pełną monet przewieszoną przez ramię, ciężką i brzęczącą, w której monety leżały ułożone w metalowych tulejach, pięciokoronówki w jednej, jednokoronówki w drugiej, pięćdziesiąt øre w trzeciej, połączone mechanizmem, który uwalniał je lekkim naciskiem kciuka – to coś, co kierowca robił automatycznie, zręcznie i z wyczuciem, przemieszczając się powoli w głąb pojazdu lub siedząc za kierownicą, z głową zwróconą w stronę otwartych drzwi, przez które wspinali się nowi pasażerowie. Zawsze spokojny, zawsze pewny, ten król fikcji, ten Homer monet.

Christina

Twarz Christiny jest podłużna i wąska, skóra blada, obsypana piegami, włosy brązowe. Oczy są również brązowe. Choć ta harmonijna skala barw – od bardzo ostrych, jak kredowa biel gałek ocznych i przejrzysty jak szkło brąz tęczy, do matowych, jak chłodna biel skóry i w połowie starty, prawie beżowy brąz piegów – jest uwarunkowana genetycznie, więc jest czymś, co Christina posiada bezwiednie, wydaje się, że mimo to pasuje do niej, ponieważ wycucie kolorów i kształtów jest jedną z jej najbardziej charakterystycznych cech. Christina zawsze ubiera się elegancko, nawet za niewielkie pieniądze, i nie poświęca temu zbyt wiele czasu ani sił. Najbardziej centralną część jej twarzy stanowią usta, odrobinę wysunięte do przodu, podkreślone wyraźnymi zmarszczkami, które ciągną się od skrzydełek nosa w dół, aż za usta, podobne do nawiasów, i oddzielają usta od policzków. Wargi są wąskie i często rozchylone, tak że prześwitują między nimi zęby. Ta nieregularność, to, że usta mogą zostać zamknięte jedynie dzięki dodatkowemu wysiłkowi i są czymś, o czym trzeba pamiętać, wywołuje w twarzy napięcie: to, co zwykle wyraża odprężenie, jest napięte, a to, co wydaje się napięte, odpoczywa. Nos również jest wąski, a kości policzkowe wysokie, ze skórą naciągniętą niemal do granic wytrzymałości. Wszystko to nadaje twarzy ostry wyraz, chociaż patrząc na nią, nie ma się nigdy wrażenia, że to odzwierciedlenie jej osobowości, że ona sama jest ostra, bo w jej spojrzeniu jest coś łagodnego, a w jej postaci coś przyjemnego dla oka. Kiedy rozmawia z innymi, rzadko mówi o sobie. Empatia cechuje każde jej działanie i to, kim jest: Christina zawsze stawia innych na pierwszym miejscu. Chce, żeby inni czuli się dobrze. Ale sama, często przyłapuję się na tej myśli, wcale nie wygląda tak, jakby czuła się dobrze. Zadowolenie rzadko maluje się na jej twarzy. Rzadko widuję w niej to, co kiedyś nazywano pogodą ducha. Pogoda ducha pojawia się, kiedy jest zachowana równowaga między światem wewnętrznym i zewnętrznym, kiedy wewnątrz wypływa swobodnie i bez zakłóceń do świata zewnętrznego i na odwrót. Natomiast Christina sprawia wrażenie, jakby ciągle się przed czymś powstrzymywała, jakby istniało coś, czego nigdy nie uwalnia. Tę energię, związaną z powstrzymywaniem się i kontrolą, wyczuwa się w jej obecności, która – bez względu na to, jak łagodna i przyjemna, troskliwa i skromna – jest zawsze pełna napięcia. W jej twarzy jest jakaś sztywność, ruchy wydają się wystudiowane, jakby jej dusza musiała wypełnić formę, która nie do końca jest jej własną. Coś podobnego widuję się czasem u koni, kiedy kontrast silnego, wspaniałego ciała, gotowego na wszystko, co wymaga prędkości, dzikości i brawury, z nieśmiałym, ekstremalnie powściągliwym i mocno napiętym umysłem jest tak duży, że aż wydaje się niewiarygodny, i człowiek czuje tęsknotę za tym, aby to zwierzę uwolniło się od tych wszystkich siodła, uzd,

boksów i stajni, wszystkich skrupulatnych ćwiczeń i ujeżdżeń, i mogło wybiec na równinę, wolne od wszystkiego, również od samego siebie.

Krzesła

Krzesło służy do siedzenia. Składa się z czterech nóg, na których spoczywa siedzisko, a z jego końca wyrasta oparcie dla pleców. Wszystkie te elementy mogą być wykonane na wiele sposobów, mogą się różnić kształtem i rodzajem użytego materiału, ale podstawowa forma jest stała i niezmienna: jeśli brakuje choćby jednego elementu, na przykład oparcia, nie ma mowy o krześle, lecz o czymś innym, w tym przypadku o stołku. Krzesło jest spokrewnione z ławą i kanapą, które również służą do siedzenia, a mimo to różni się od nich diametralnie, ponieważ jest przeznaczone dla jednej i tylko jednej osoby – to istotna cecha jego charakteru. Krzesło nas izoluje, jest jak mała wyspa, do której nikt inny nie ma dostępu, dopóki jest w czyimś posiadaniu. Innymi słowy krzesło ma w sobie również coś odpychającego, chociaż z założenia jest otwarte na wszystkich. Taka forma, jednocześnie otwarta i odpychająca, jest częstym zjawiskiem w społeczeństwie: na każdą ofertę pracy odpowiada wielu kandydatów i teoretycznie wszyscy oni mogą otrzymać tę posadę, ale w końcu dostanie ją tylko jedna osoba. Zabawa w gorące krzesła, tak popularna na dziecięcych przyjęciach, jest zatem praktycznym ćwiczeniem tego, co czeka dzieci w przyszłości: społeczeństwo przesiewowe. Zabawa polega na tym, że określoną liczbę krzesel, zawsze mniejszą o jedno od liczby dzieci, ustawia się w kręgu, siedzeniem na zewnątrz. Dzieci chodzą dookoła krzesel w takt muzyki. Kiedy muzyka cichnie, uczestnicy zabawy starają się usiąść na krzesłach; dziecko, dla którego zabraknie krzesła, odpada z gry. Następnie zabiera się jedno krzesło i reszta dzieci bawi się dalej, przy czym graczy jest zawsze więcej niż miejsc. Zabawa kończy się, kiedy ostatnie dziecko siada na ostatnim krześle, jak król na swoim tronie. Prawo wyłączności to nieusuwalna cecha krzesła, która sprawia, że jest nie do pomyślenia, żeby dwie dorosłe osoby dzieliły jedno krzesło, ani siedząc obok siebie, ani jedno na kolanach drugiego. Dzieci mogą to robić, ale nie dorośli. Nawet para zakochanych wzbudziłaby konsternację, gdyby zachowała się tak na oczach innych ludzi, chociaż mogliby z powodzeniem siedzieć ciasno objęci na kanapie lub ławce.

Krzesło jest symbolem władzy: król ma swój tron, wódz ma swoje wysokie siedzisko, minister swój stołek w rządzie. Ale krzesło jest również czymś, co każdy ma w domu, i na czym wszyscy, od niemowlęcia do starca, siedzą każdego dnia. I jak wszystko, czego ciało używa regularnie, od schodów i klamek, kranów i filiżanek do kawy, do stołów i pilotów, podajników mydła i wieszaków, konkretne krzesło, ze swoim konkretnym wyglądem, umyka naszej uwadze – kiedy wchodzimy do jakiegoś pokoju z krzesłami, wiemy, że one tam są, ale ta pewność zwykle nie dociera do naszej świadomości i nie staje się jasno sformułowaną

myślą. Jakbyśmy żyli w świecie cieni. Właśnie to wykorzystuje Ingmar Bergman, kiedy w filmie *Fanny i Aleksander* pozwala ojcu, fenomenalnie zagranemu przez Allana Edwalla, właśnie dzięki krzesłu zaczarować dzieci w ich pokoju w Boże Narodzenie. „Pewnie myślicie, że to jest zwykłe krzesło dziecięce?”, mówi i robi pauzę. „Ale tak nie jest”, kontynuuje. I opowiada im fantastyczną historię. „To krzesło należało kiedyś do chińskiego cesarza”, mówi, a dzieci przyglądają mu się z otwartą buzią i błyszczącymi oczami. Kiedy ojciec kończy opowiadanie i przystawia krzesło z powrotem do ściany, to już jest inny mebel i w oczach jego dzieci na zawsze takim pozostanie. I ojciec jest tego świadomy. To krzesło już nigdy nie będzie zwykłym krzesłem. To jest piękna scena, przy tym wyjątkowo sentymentalna, choć trudno zaakceptować jej wydzźwięk moralny, w każdym razie mnie jest trudno, bo przecież to krzesło jest zwykłym krzesłem, a to, co sprawia, że błyszczy w ciemnościach pokoju dziecięcego, nie jest prawdą, nie należy do krzesła, właściwie nie ma z nim nic wspólnego, stanowi tylko baśń. Ta scena jest bardzo nietypowa dla wszystkiego, co Ingmar Bergman do tej pory reprezentował w swoich filmach, w których starał się pozbawić świat jakichkolwiek iluzji, przejrzeć je na wylot i stworzyć obraz świata, jakim jest naprawdę. Może zatem *Fanny i Aleksandra* należy odczytywać jako bajkę, w której toczy się walka między dwiema siłami: tą, która dodaje, i tą, która odbiera? Bergman postrzegał siebie jako tego, który dodaje, wychodząc z założenia, że tworzyć, realistycznie czy nie, minimalistycznie czy nie, zawsze, bez względu na wszystko, oznacza dodawać coś, czego jeszcze nie było. A co do dzieci, to z czasem krzesło nie będzie świeciło w pokoju dziecięcym dzięki opowiadaniom ojca, lecz głównie dzięki temu, że to właśnie ojciec je opowiadał. Niedługo po tej scenie ojciec umiera, więc można sobie wyobrazić, że za każdym razem, kiedy Fanny i Aleksander spojrzą na krzesło, będą pamiętać, że ich ojciec był jedną z nielicznych osób, które otwierały – a nie zamykały – świat.

Odblaski

W przypadku zwierząt cechą ratującą im życie jest zdolność zlewania się z ciemnościami nocy. W ciągu dnia, gdy zwierzęta widzą wszystko, co porusza się w ich otoczeniu, i mogą wziąć to pod uwagę, niektóre z nich pozwalają sobie na to, by wzbudzać zainteresowanie feerią barw i głośnym zachowaniem, natomiast nocą liczy się to, by być nieruchomym, niewidocznym i niesłyszalnym. Wszystkie żywe organizmy w ten czy inny sposób podporządkowują się tej zasadzie, która obowiązuje na Ziemi od milionów lat. Z tej perspektywy niebezpieczeństwo reprezentowane przez samochód i pociąg jest tak nowe, że wciąż jeszcze nie wpłynęło na model zachowania zwierząt. W krajobrazach usianych drogami i torami kolejowymi bycie niewidocznym nocą może oznaczać nagłą i gwałtowną śmierć. Jadąc rano do Malmö, często widuję na jezdni martwe zwierzęta, głównie jeże, borsuki i koty, od czasu do czasu również lisy. Ten widok sprawia, że czuję ukłucie w sercu, ale nie stać mnie na to, żeby dłużej się tym przejmować; wkrótce zacynam myśleć o czymś innym. Zanim otrzymałem prawo jazdy, nie wiedziałem, jak trudno jest dostrzec coś w ciemności. Że człowiek bez odblasków jest w zasadzie niewidoczny. Wszystkie kampanie społeczne na rzecz noszenia odblasków, które wcześniej uważałem za przesadzone, za część rozprzestrzeniającej się kultury bezpieczeństwa, która hamuje naturalny rozwój u dzieci i wszędzie widzi zagrożenia, mają teraz moje pełne poparcie. Zawsze, kiedy jadę w ciemności, trzymam się bardzo blisko środkowej linii. Wczoraj również to zrobiłem. O dziesiątej wieczorem wracaliśmy z Simrishamn, gdzie jedna z naszych córek występowała w świątecznym przedstawieniu, a reszta rodziny pojechała ją oglądać. Było nas w samochodzie sześcioro, za oknem gęstniejące ciemności, chociaż niebo było usiane gwiazdami. Jechałem szybko, bo znam tę drogę na pamięć. Pola uprawne rozpościerające się po obu stronach, ukryte w mroku, nie licząc miejsc, gdzie światła gospodarstw rozpraszały ciemności. Długie, zupełnie proste odcinki, które pokonywałem z prędkością stu, stu dziesięciu kilometrów na godzinę, przerywane wsiami z ograniczeniem prędkości do pięćdziesięciu. Właśnie minęliśmy Hammenhög i jechaliśmy przez równinę, gdy nagle w świetle reflektorów zobaczyłem sarnę. Zacząłem gwałtownie hamować i chociaż udało mi się uniknąć czołowego zderzenia, samochód uderzył w tył zwierzęcia z nieopisaną brutalnością. Sarna została wyrzucona na przeciwny pas ruchu, powykręcana i zdeformowana, z tylnymi kończynami w powietrzu, z przednimi i głową przyciśniętymi do asfaltu, by w następnej chwili zniknąć mi z oczu. Zatrzymałem samochód trochę dalej w zatoce autobusowej, wysiadłem i ruszyłem z powrotem. Początkowo nie mogłem jej dostrzec. Czyżby udało jej się wykaraskać? Czyżby pobiegła dalej, do lasu? Wtedy zauważyłem zarys czegoś, co

odznaczało się na tle jezdni. Wpatrywałem się w to coś przez kilka sekund, zanim zrozumiałem, że to sarna. Wyglądała tak, jakby odpoczywała, wciąż żyła, ponieważ leżała z uniesioną głową i lekko się trzęsła. Wyjąłem z kieszeni telefon komórkowy i zadzwoniłem po policję. Mały ekran komórki świecił intensywnie w ciemności. Podałem swoje nazwisko, patrząc na ciemnoszare trzęsące się kontury na poboczu drogi, aż stało się to nie do wytrzymania; uniosłem głowę i spojrzałem na niebo, obsypane migoczącymi gwiazdami.



Rury

Rurami transportuje się substancje ciekłe i gazowe. Istnieją we wszystkich rozmiarach i mogą być wykonane z każdego materiału, od gigantycznych betonowych rur, którymi woda z jezior płynie do turbin elektrowni, do najmniejszych włosowatych rurek, którymi krew przedostaje się z jednego miejsca w ciele do drugiego. Ich charakterystyczną cechą jest to, że są okrągłe, puste w środku, podłużne i otwarte z obu stron. Dzięki mocnym ścianom rura nadaje kształt temu, co przez nią przepływa, gromadzi to i skupia, sprawiając, że ciecz lub gaz nie rozprzestrzeniają się, nie wsiąkają, nie przenikają ani nie znikają, innymi słowami nie podlegają prawu, które zwykle je obowiązuje. Rura jest spokrewniona z rynną – pewnego rodzaju otwartą rurą bez pokrywy, w której to, co płynie, jest widoczne, i z przewodem – pewnego rodzaju rurą bez pustego środka, w której to, co nie płynie, ale również nie jest ciałem stałym ani nie jest rozciągliwe, a mimo to porusza się, jak elektryczność, jest transportowane z jednego punktu do drugiego. I właśnie to trio, rura, rynna i przewód, łączy wszystkie nasze budynki, tworząc bardzo fizyczną sieć, która oplata całą kulę ziemską niczym wąż, zarówno nad powierzchnią ziemi, jak i pod nią. W ten sposób zapewniają nam wolność; dzięki nim możemy być samowystarczalni w naszych domach i nie musimy tracić czasu ani sił na zdobywanie rzeczy, których potrzebujemy, czy to będzie woda do umycia rąk, czy codzienna porcja wiadomości, ani na usuwanie tego, co zużyliśmy, jak odchody czy woda po kąpieli. Z drugiej strony obnażają one naszą zależność, bo czymże innym jest rura, która kończy się kranem, jak nie przedłużeniem przelyku, rura, która odchodzi od muszli klozetowej – przedłużeniem odbytnicy i moczowodu, przewód, który doprowadza obraz do telewizora – przedłużeniem oczu, a przewód przesyłający informacje do komputera – przedłużeniem mózgu? Żyjemy w sieci rur i przewodów i pytanie o naszą wolność jest w zasadzie pytaniem o to, czy w tej sieci jesteśmy pajakiem, czy jego łupem. Moim zdaniem raz jednym, raz drugim, a ta ambiwalencja jest naszą fundamentalną cechą, począwszy od okresu prenatalnego, kiedy leżymy w brzuchu matki połączeni z nią pępowiną, odmianą rury i przewodu, przez którą przepływa wszystko, czego potrzebujemy do życia. Kiedy się rodzimy, pępowina jest przecinana, ale zależność, którą reprezentuje, nie znika, lecz przybiera inne formy. Najpierw jest to zależność od matki, która karmi nas mlekiem wypływającym z jej wnętrza przez niezliczoną ilość małych rurek, następnie od ludzi wokół nas. Przez wspomniany wcześniej system rur i przewodów, przypominający gigantycznego węża opasującego Midgard, resztę życia spędzamy na odłączaniu i podłączaniu się. To, że nasze ciało jest wypełnione płynami, a nasze życie zależy od tego, by te płyny były odpowiednio dystrybuowane z jednego organu do drugiego przez tysiące

rurek – od dętkowatych jelit do naczyń włosowatych w mózgu – i że każdy żywy organizm, nawet najprymitywniejsze drzewa, jest w ten sposób przeniknięty rurami, sprawia, że zasada rury stanowi, być może, najważniejszy warunek istnienia życia i czyni człowieka bratem trzciny.

Bałagan

Należymy do tych rodzin, które mają w domu bałagan. Bałagan mi dokucza, może nie mocno, ale stale i cicho, co widać wyraźnie w sposobie, w jaki o tym mówię: twierdząc, że jesteśmy jedną z wielu rodzin, które tak mają, próbuję, rzecz jasna, unieszkodliwić bałagan, przydzielić go jak największej liczbie osób i dzięki temu zminimalizować jego znaczenie. Nie tylko my mamy bałagan, należymy do większej grupy, bałagan to zwykły ludzki stan, nie ma się czego wstydzić. Ale ja się wstydzę. Kiedy ktoś puka do drzwi, a ja otwieram je na tyle szeroko, że odwiedzający może zajrzeć do środka, gdzie buty i kalosze nie stoją przy ścianie ani na stojaku, lecz leżą rozrzucone na podłodze, na ławce pod oknem wała się mnóstwo ubrań, a nawet ręczników, które dzieci zostawiły tam w drodze z łazienki do salonu, a ze ściany pod schodami wyrasta mała góra złożona z rolek, kasków rowerowych i jeżdżieckich, bryczesów, worków na gimnastykę, tornistrów... Kiedy między tym wszystkim leżą liście, lodygi, źdźbła trawy, grudki ziemi i drobne kamyki, nie mówiąc o czapkach i rękawiczkach, szalikach i skarpetkach, wtedy się wstydzę i marzę tylko o tym, żeby gość już sobie poszedł, aby ten wstyd, który płonie we mnie jak jedna z tych wielkich nadmuchanych figur trzepoczących przed centrami handlowymi lub barami szybkiej obsługi, mógł zostać ugaszony. Ale ci, którzy tu przychodzą, to najczęściej rodzice przyjaciół naszych dzieci, którzy przyprowadzają lub odbierają swoje pociechy, więc po prostu wypada zaprosić ich do środka, a w każdym razie do przedpokoju, na czas, kiedy ich dziecko zdejmuje lub wkłada ubranie wierzchnie. Myślę sobie wtedy, że przychodzą po raz ostatni, że zobaczywszy nasz bałagan, już nie wrócą. Czasem zdarza się, że kiedy rodzic przychodzi po dziecko, ono bawi się na piętrze i nie chce zejść na dół. Ponieważ nie mogę przekonywać cudzego upartego dziecka, tak jak to robię w przypadku własnych: przekupstwem, perswazją, siłą argumentów, prośbą lub groźbą, koniec końców ojciec lub matka delikwenta musi pójść na górę, gdzie panuje jeszcze większy bałagan. To jest straszne. Ale wszyscy udają, że go nie widzą, chociaż bałaganu, w którym toniemy, nie sposób nie zauważyć. Jeszcze nikt nie powiedział: „Ależ wy macie bałagan! W życiu czegoś takiego nie widzieliśmy! Naprawdę tak chcecie żyć? Powinniście posprzątać! Nie pozwolimy Tildzie tu przychodzić, dopóki nie weźmiecie się za siebie. O ile dacie radę”.

Bałagan w domu zdaje się podlegać innym regułom, tworzy się w określonych miejscach. Na blacie kuchennym, pod szafkami z filiżankami i szklankami, gdzie zwykle kładziemy wszystko, co przychodzi pocztą, zawsze wyrasta ogromny stos złożony nie tylko z kopert i druków reklamowych, gazet i przesyłek, ale także książek, zabawek, worków foliowych, plastikowych pudełek, skarpetek, długopisów i pisaków, gumek do włosów, narzędzi, śrub i gwoździ,

bezpieczników i żarówek. Ten kopiec rośnie powoli i żyje zupełnie innym rytmem niż stos piętrzący się po drugiej stronie kuchni, na blacie ze zlewem; przy dobrych wiatrach ten drugi potrafi zniknąć w ciągu zaledwie kilku godzin, przy złych także jest on w stanie przybrać monstrualne rozmiary. Na pierwszym piętrze bałagan jest również statyczny i składa się głównie z zabawek, piętrzących się od ścian w kierunku środka pokoi, przez które wiedzie dość wąska ścieżka. Bałagan rozprzestrzenia się po domu w podobny sposób jak śnieg w lesie: tu i ówdzie oblepia pnie drzew, miejscami tworzy głębokie zasy, a jeszcze gdzie indziej przykrywa wszystko cienką warstwą. Jednak bałagan nie jest pojęciem, które odnosi się do natury; bez względu na to, jak dziko rosną chaszczki lub jak wiele drzew powaliła burza czy osmalił pożar – natura nie ma dwóch poziomów, idealnego i rzeczywistego, lecz istnieje tylko na jednym, rzeczywistym. Natomiast gospodarstwo domowe lub rodzina istnieją w rzeczywistości i próbują sięgnąć ideału. Wszystkie tragedie, tak jak wszystkie triumfy, wynikają właśnie z tego dualizmu. Ale teraz wypełnia mnie poczucie triumfu: kuchnia w domu po drugiej stronie trawnika, świecąca w ciemności jak przedział pociągu, którą zaledwie kilka godzin temu posprzątałem na święta, lśni czystością.

Odgłosy zimy

Spacer po lesie zimą jest czymś zupełnie innym niż w lecie. Już jesienią las zaczyna opróżniać się z dźwięków, ptaki wędrowne odlatują na południe, liście, które przez całą ciepłą połowę roku wypełniały las szumem i szelestem, opadają z drzew. Kiedy przychodzi mróz, strumienie zamarzają i ich masowe pluskanie i szemranie – które, jeśli strumienie są dość duże, z daleka brzmi jak świst, a nawet, o ile płynąca woda rezonuje w szczelinach lub stromych ścianach skalnych, jak głośnie brzęczenie – ustaje. Pierwsza warstwa śniegu sprawia, że ostatnie dźwięki, szelest stóp wśród opadłych liści, znikają, a jednocześnie inne, większe kroki stają się głuche. W ciągu następnych miesięcy w lesie panuje cisza, lecz podobnie jak wcześniej blady i anonimowy kolor może nagle zapłonąć na tle bieli, jeśli jest w niej sam, pojedyncze, sporadyczne dźwięki, które słychać w lesie, wydają się przybierać na sile, mając w tle ciszę. Na przykład krakanie wrony, latem zaledwie jeden z odgłosów w większej pajęczynie dźwięków, zimą samo wypełnia powietrze, a każdy niuans w tym szorstkim, ochrypłym, wibrującym spółgłoskami krakaniu staje się wyraźny: najpierw rosną agresywnie, potem opadają żałośnie, by pozostawić po sobie czasem melancholijny, innym razem budzący niepokój nastrój między drzewami. Równie uderzające jest to, jak głośnie stają się dźwięki, których źródłem są nasze własne ruchy, zupełnie jakby cały las rozbrzmiewał chrobotem papieru ściernego, wydawanym przez syntetyczne powierzchnie, które trą i pocierają o siebie, a kiedy człowiek się zatrzymuje, dźwięki również milkną i robi się tak cicho, jak wtedy, gdy warkocząca maszyna, do której człowiek zdażył się przyzwyczaić i przestał zwracać na nią uwagę, niespodziewanie zostaje wyłączona. Tylko oddech nie przestaje dźwięczeć, jak szum powietrza z zaworu, narastając i opadając, jakby był wyciskany przez tłok, z którym pulsowanie w skroniach i gardle i kłęby pary wydobywające się z ust wydają się powiązane. Takie myśli nigdy nie pojawiają się latem, kiedy w większym stopniu jesteśmy zjednoczeni z naszymi ruchami i odgłosami. Ale zima nie tylko wycisza niektóre dźwięki, a wzmacnia inne; zima posiada cały arsenał własnych unikatowych dźwięków, a niektóre z nich należą do najpiękniejszych na świecie. Na przykład huk wydobywający się z pokrytych lodem stawów i jezior, kiedy woda pod taflą zamarza, co często się zdarza w bezchmurne dni lub noce, gdy łapie siarczysty mróz – ten dźwięk ma w sobie coś złowieszczonego lub potężnego, ponieważ nie wiąże się z żadnym widocznym ruchem. Nieruchoma, metalicznie błyszcząca powierzchnia, czarne żąbkowane jodły, które ją otaczają, migoczące w ciemności gwiazdy i huk dobiegający spod tafli lodu. Zimową pieśnią nad pieśniami jest jednak ostry jak brzytwa, pełen zawijasów dźwięk łyżew używanych w łyżwiarstwie szybkim. W chwili gdy ostrze tnie lód i opuszcza go. Nadal

intensywne, choć odrobinę bardziej tępe, jest stukanie łyżew do hokeja, które przechodzi w krótki świst, kiedy hokeista nagle zawraca i ostrze pracuje przeciwko ruchowi ślizgowemu; chwila, gdy fontanna drobno sproszkowanego lodu wytryska spod płozy, nie jest może równie podniosła, ale robi niemałe wrażenie. Nie mówiąc już o głuchym miękkim pacnięciu, które rozlega się, kiedy szerokie narty do slalomu lądują równoległe po krótkim locie; świeży śnieg tłumi odgłos lądowania, dzięki czemu dźwięk przypomina plaśnięcie, ale nie całkiem, bardziej „klapnięcie”. Wszystkie te dźwięki są charakterystyczne dla zimy, ponieważ tylko w niej występują, a mimo to nie można powiedzieć, że wyrażają zimę, ale jedynie pewien jej aspekt. Biel stanowi nieobecność koloru, więc ekwiwalentem bieli w świecie dźwięków musi być cisza. Kiedy przysypany śniegiem las leży nieruchomo pod delikatnie ciemniejącym niebem, jest zupełnie cicho. Kiedy zaczyna padać śnieg i powietrze wypełniają białe płatki, nadal jest zupełnie cicho, ale cisza brzmi inaczej, staje się jakby głębsza, bardziej skondensowana, a ten dźwięk, który nie jest żadnym dźwiękiem, ale jedynie odmianą ciszy, jej pewnego rodzaju intensyfikacją lub pogłębieniem, stanowi akustyczne wyrażenie istoty zimy.

Prezenty świąteczne

Jest dwudziesty trzeci grudnia. Wcześniej tego dnia zrobiłem zakupy: najpierw produkty spożywcze, sześć reklamówek pełnych błyszczących paczek świątecznego jedzenia, owoców, orzechów, napojów i piwa, potem zajrzałem do sklepu z zabawkami i księgarni, żeby kupić ostatnie prezenty dla dzieci. Niebo było szare i ciężkie i chociaż nie padał deszcz, krajobraz wydawał się przesiąknięty wilgocią, jak zawsze zimą w tej okolicy: mokra, ciemna ziemia, błyszcząca trawa, nagie drzewa, stale wiejący wiatr. Teraz siedzę w swoim gabinecie zawałony papierem do pakowania, rolkami taśmy klejącej, arkuszami nalepek, wstążek w wielu kolorach i dwoma stosami prezentów: już zapakowanymi i tymi, które wciąż czekają na swoją kolej. Jedyne źródłem światła jest lampa stojąca obok biurka. Światło, które pada na podłogę, tworzy okrąg, coraz słabszy i słabszy, a w rogach pokoju prawie go nie widać. Zupełnie jakbym przebywał w grocie. Załedwie kilka minut temu, gdy siedziałem na podłodze i przycinałem papier, owijałem nim prezenty, oklejałem taśmą i obwiązywałem wstążeczkami, byłem połączony ze wszystkimi rzeczami; różnica między nimi a mną prawie się zatarła, znajdowaliśmy się w tym samym wirze ruchów. Teraz patrzę na nie jak na oddzielne obiekty z różnych stron świata, które przez przypadek wylądowały tutaj, bez żadnego innego powiązania z tym, co żywe, poza tym, co jest w moim wnętrzu. Na przykład robot, który pół stoi, pół leży, oparty o nieotwartą rolkę papieru do pakowania, na oko trzydziestocentymetrowy, szary i z plastiku, jest jedynie przedmiotem, jak kamień na plaży. Nie mówiąc już o króliku przytulance leżącym na plecach na worku foliowym w głębi pokoju. Nic nie dają ani niczego nie zabierają, po prostu są, podobnie jak patyki, liście, gałęzie, igły z drzew i różne małe plastikowe elementy po prostu są jesienią w starorzeczu. Ale jutro wieczorem, kiedy dzieci je rozpakują, robot i pluszowy królik otrzymają imiona i cechy, stając się pełnoprawnymi członkami ich świata. Ta umiejętność ożywiania tego, co martwe, tworzenia świata, w którym to, co zamknięte, otwiera się na nas, została doprowadzona do perfekcji w literaturze, bo nie ma żadnej zasadniczej różnicy między tym, co dzieje się, kiedy otwieram jedną ze stojących tu książek, powiedzmy *Wojnę i pokój* Tolstoja, a tym, co się stanie, kiedy dzieci rozpakują jutro swoje prezenty. Odrobina czerni na kartce papieru wywołuje burzę uczuć, sprawiając, że wszystko inne znika; to samo stanie się, kiedy robot zrobi kilka kroków po podłodze, a królik zostanie przyciśnięty do piersi i wycalowany. Mostem między tymi dwoma martwymi światami, literatury i zabawek, jest, być może, lista życzeń, która nie ma nic z namacalności zabawek, a jedynie ją przyciąga, tak jak literatura zawsze przyciągała namacalny świat i pozwalała, by unosił się lekko i zwiewnie w naszych umysłach. Jednak w odróżnieniu od

literatury listy życzeń mogą zostać zrealizowane i dlatego siedzę tutaj co roku, w samym środku rzeki prezentów, i staram się urzeczywistnić marzenia dzieci. One same uważają, że w prezentach pod choinkę chodzi wyłącznie o to, ale ja wiem, że podróż prezentów świątecznych jest dłuższa: jak nadzieje nadpływają z wysp wyimaginowanej przyszłości do plaż rzeczywistości, gdzie zyskują wagę i ciężar, ale nie na długo, ponieważ muszą wyruszyć w dalszą drogę, na drugą stronę, do utraconej przeszłości, w której ich życie toczy się dalej w postaci bezcielesnych wspomnień. Zresztą kto wie, czy to nie najważniejsza część ich egzystencji: podtrzymywanie świątecznych wspomnień z dzieciństwa.

Święci Mikołajowie

Wczoraj wieczorem znalazłem się na zwirowej drodze, siąpił deszcz, miałem na sobie czerwoną pelerynę, na nogach długie wełniane skarpety naciągnięte na eleganckie buty, a na głowie maskę, która wpatrywała się w wilgotną, zwartą ciemność nieba. W jednej ręce trzymałem jutowy worek, w drugiej staroświecką latarenkę. Gdy zbliżyłem się do jasno oświetlonego domu na końcu drogi, przystanąłem, otworzyłem latarenkę, zapaliłem podgrzewacz do herbaty, zamknąłem małe drzwiczki, naciągnąłem maskę na twarz, zarzuciłem worek na plecy, zgarbiłem się i krótkimi krokami starca podszedłem do okna. Do tej chwili byłem lekko zdenerwowany, ale napięcie zniknęło, gdy tylko zgiąłem się w pół, zupełnie jakbym stał się starym człowiekiem, a nie tylko go grał. Zastukałem mocno. Usłyszałem, że ktoś nadbiega, i cofnąłem się instynktownie. Dziecięca twarz rozpląszczyła się na szybie. Uniosłem dłoń w drżącym geście pozdrowienia i ruszyłem do drzwi wejściowych, które po chwili otworzyły się z impetem. „Wesołych Świąt wszystkim!”, powiedziałem piskliwym głosem. Chłopiec przyglądał mi się intensywnie przez kilka sekund, najwyraźniej gotów mnie zdemaskować, ale ostatecznie, lekko zaniepokojony, wycofał się w głąb pokoju. Nadeszli rodzice, spojrzeli na mnie z uśmiechem i spytali, czy nie chcę czegoś na rozgrzewkę. Potrząsnąłem głową. „Prowadzę”, odparłem i przeniosłem wzrok na chłopca. „Jak masz na imię?”, zagadnąłem go. Podał swoje imię. Powtórzyłem je, mamrocząc, i sięgnąłem do worka. Gdy podałem mu prezent, rozpakował go z papieru w eksplozji ruchów. Wkrótce stałem znowu na dworze, przy krótszej ścianie domu, z maską odsuniętą na czubek głowy i zapalonym papierosem w ustach. Ojciec wyszedł na zewnątrz, rozejrzał się dookoła. „Tutaj!”, zawołałem cicho. „Dobrze poszło”, powiedział i stanął przede mną. „Tak”, potwierdziłem. „Wygląda na to, że w tym roku również to łyknął. Dasz jednego?”, poprosił. „Jasne”, odparłem. Poszliśmy w stronę mojego samochodu, który stał zaparkowany na końcu szosy, obok skrzyżowania z główną drogą. Wsiadliśmy do środka. „Miałeś dobry pomysł, żeby tu zaparkować”, pochwalił mnie. „Był pewny, że uda mu się ciebie zdemaskować dzięki autu”. „Wiem”, odpowiedziałem i uruchomiłem samochód. Droga była zupełnie opustoszała, również w środku wsi, nigdzie żywej duszy. Zaparkowałem tuż przy szkole i wysiedliśmy na deszcz. „Napijesz się whisky?”, zaproponowałem. Skinął głową. Wyjąłem szklanki i butelkę, które trzymałem w aucie, i nalałem nam whisky. Było dziwnie cicho, w jakikolwiek inny wieczór od czasu do czasu przejeżdżałyby tędy jakiś samochód. Gdy szklanki były puste, włożyłem je z powrotem do auta, zdjąłem pelerynę i podałem mu ją. Wsunął ramię do rękawa, potem drugie. Wiatr szarpał połami peleryny. Wręczyłem mu maskę i powiedziałem: „Odczekaj kilka minut, okej?”, i ruszyłem w stronę domu.

Dwoje z moich dzieci wyszło z salonu, gdy usłyszało dźwięk otwieranych drzwi. Trudno im było uwierzyć, że naprawdę wyszedłem po papierosy, więc pokazałem im na dowód paczkę. „Nie jestem Świętym Mikołajem. Pojechałem na stację benzynową, żeby kupić papierosy, tak jak wam mówiłem”, powiedziałem. Nie wiedziały, co o tym wszystkim sądzić. W tej samej chwili rozległo się pukanie do drzwi. „Kto to może być?”, zdziwiłem się. Najstarsze z dzieci spojrzało na mnie ironicznie. Otworzyłem. Na progu stał Święty Mikołaj z latarenką w dłoni i workiem na plecach. „Czy są tu jakieś grzeczne dzieci?”, spytał. Nie mówił piskliwym głosem, lecz fińską odmianą języka szwedzkiego. „Mamo, mamó, przyszedł Święty Mikołaj!”, zawołało najmłodsze. Wszyscy wyszli z salonu i w korytarzu zrobiło się tłoczno. Staliśmy w półokręgu i przyglądaliśmy się Świętemu Mikołajowi, który powolnymi ruchami wyciągał z worka prezenty, jeden po drugim, wręczał je uroczyście dzieciom, które wpatrywały się w niego jak w obraz. „Może się czymś posilisz, Mikołaju?”, spytałem, a on skinął głową i opróżnił kieliszek koniaku jednym haustem.

Gdy wyszedł, dzieci były zbyt pochłonięte prezentami, żeby zauważyć, że wymknąłem się za nim z domu. Stał przy samochodzie i czekał na mnie, wciąż z maską na głowie.

Uderzyło mnie, jak nieprzyjemnie wyglądał, w samym środku znajomej okolicy, z groteskową maską na twarzy.

Znowu wyjąłem butelkę, nalałem nam whisky do szklanek i podałem mu jedną.

„Wesołych Świąt”, powiedział i wyciągnął szklankę w moją stronę.

„Wesołych Świąt”, odparłem.

Goście

Mówi się, że dom jest tym miejscem, do którego nie można wejść, lecz trzeba zostać wpuszczonym. Jest to również miejsce, gdzie nie odgrywa się ról, jest się sobą. Jeśli musisz grać, jeśli musisz kogoś udawać, wówczas jesteś gościem we własnym domu. Goście to ludzie, którzy przebywają czasowo w miejscu, które nie jest ich domem. To może być hotel, gdzie płaci się za możliwość mieszkania, lub dom innych ludzi, najczęściej krewnych albo przyjaciół, gdzie nie jest wymagana żadna pieniężna rekompensata. To z kolei zaburza równowagę w relacji i przypomina o tej, którą tworzy prezent: gospodarze dają, goście otrzymują. Dlatego goście powinni okazać wdzięczność, dać odczuć gospodarzom, że doceniają dar, a czynią to, chwając go, mówiąc, że dom jest piękny, i proponując pomoc, a poza tym starając się być jak najmniejszym ciężarem. Dobry gospodarz odrzuca wszelkie propozycje pomocy i stara się zaspokoić wszystkie potrzeby gościa, często zanim jeszcze się pojawią. Ta formalna gra utrwała role, dystans między nimi, i chociaż role stoją wobec siebie w sprzeczności – gospodarz, który daje gościom dużo miejsca, goście, którzy chcą go zająć jak najmniej – właśnie dzięki prostym zasadom gry obie strony są przez cały czas widoczne: dopóki trzymają się swoich ról i nie wykraczają poza nie, nic nie jest ukryte i żaden konflikt nie jest możliwy. W momencie, w którym role odgrywa się niezgodnie z zasadami, na przykład gospodarz nakrywa do stołu, wzdychając ciężko i dając w ten sposób do zrozumienia, że się poświęca, lub goście siadają do śniadania, nie chwając go ani w żaden inny sposób nie doceniając starań gospodarza, lecz traktują wszystko jak coś oczywistego (może jeszcze dodają, że wolą bekon mocno wysmażony, nie taki miękki, i udzielają gospodarzowi rad, jak należy to robić: trzeba położyć mięso na porządnie rozgrzanej patelni, zamiast męczyć je na małym ogniu, wtedy nie będzie wyglądało jak te ociekające tłuszczem skrawki) – wtedy zacierają się wyraźnie granice między gościem a gospodarzem i pojawia się niejasność, a w relacjach międzyludzkich niejasność rodzi frustrację i podejrzliwość i staje się dla nich pożywką. Dlatego łatwiej jest, gdy goście są przyjaciółmi lub gdy samemu jest się gościem u przyjaciół.

Więzy rodzinne są silne, o wiele silniejsze od tymczasowych więzi wynikających z odgrywanych ról. Na przykład kiedy matka gospodarza przychodzi z wizytą, trudno jest jej nie zachowywać się jak matka również w domu dorosłego syna lub córki, ponieważ w swojej świadomości nigdy nie przestaje nią być, i nawet jeśli nie przejmuje sterów, nie zaczyna przygotowywać jedzenia, nie gotuje, nie szarogęsi się w kuchni, nie myje szafek ani nie układa ubrań w komodzie, jej obecność i tak stanowi wyzwanie dla relacji gospodarz – gość, ponieważ znosi wyobrażenie o domu i przynależności: to ona jest domem. Nagle

dom staje się rolą, a przynajmniej domem drugorzędym, próbą upodobnienia się lub stworzenia alternatywy dla domu pierwszorzędnego. Skutek jest taki, że wszystko, co w domu nie funkcjonuje, wszystko, co nie wygląda tak, jak powinno, staje się nagle widoczne, ponieważ rola odnosi się wyłącznie do fasady, zatem pęknięcia w roli pociągają za sobą pęknięcia w fasadzie i ukazuje się to, co rzeczywiste. W domu można tolerować to, co rzeczywiste, to część jego funkcji, skoro dom i to, co domowe, nie jest dla innych, lecz podlega standardom, wymaganiom i możliwościom tych, którzy w nim mieszkają. W domu, w którym zawsze panuje idealny porządek, który lśni czystością, obecność rodzica odsłania coś neurotycznego, chorobliwe przejmowanie się tym, co ludzie sobie pomyślą, odsłania życie, w którym fasada triumfuje nad rzeczywistością, natomiast obecność rodzica w domu, w którym panuje brud i bałagan, może uwidaczniać lenistwo, ustępliwość, brak kręgosłupa moralnego, słabość.

Przez tych pięć lat, które tu mieszkamy, przewinęło się przez nasz dom całe spektrum gości: od tych najbardziej uważnych i świadomych swojej roli, do tych, którzy przetoczyli się jak walec i próbowali dokonać aneksji naszego domu, gości roszczeniowych, którzy traktują cudzy dom jak swój, czyniąc nas, mieszkających w nim, gośćmi. Niewiele rzeczy wywołuje we mnie większą wściekłość, mimo to nigdy nie porzucam roli gospodarza: sprzątam po nich z uśmiechem i przytakuje uprzejmie; nie zareagowałem, gdy wczoraj w sklepie gość wyjął z mojego koszyka mięso, mówiąc, że jest za drogie, a jedzenie tak drogiego mięsa jest nieetyczne i niemoralne. Gdy tego samego wieczoru smażyłem tanie kotlety, nie zaprotestowałem, gdy gość wyrwał mi łopatkę z ręki i odwrócił mięso na patelni, lecz grzecznie odsunąłem się na bok. I gdy po kolacji siedzieliśmy wokół stołu, z zimową ciemnością za oknami przypominającą ocean czerni, zdusiłem w sobie nagłą chęć, by pójść do gabinetu po *Eddę*^[2] i przeczytać im na głos fragment z *Hávamál*, tego staronordyckiego podręcznika etykiety, w którym trzydziesta piąta strofa brzmi następująco:

*Ruszać w drogę należy, gościowi nie wolno
Długo siedzieć pod tą samą strzechą;
Kto miłym był, natrętem się stanie
Gdy ciągiem siedzi na ławie^[3].*

Nos

Nos jest dramatycznie pochyłym i godnym uwagi wyrostkiem na środku twarzy, pod oczami i nad ustami, z którymi łączą go wewnętrzne przewody. Dawne wyobrażenie o tym, że pierwszy człowiek został ulepiony z gliny, może mieć swoje źródło w obserwacji nosa, który nie tylko wygląda, jakby był zmontowany – z kośćmi jak listewkami, na które naciągnięto tkankę chrzęstną i skórę, tworząc coś w rodzaju małego namiotu – lecz także wymodelowany, ponieważ w obszarze między kością nosową a skrzydełkiem nosa znajduje się małe wgłębienie, pozostawione – jak łatwo sobie wyobrazić – przez palec, który ostrożnie dokładał masę, warstwa po warstwie, a potem formował skrzydełko, wyciskając glinę na zewnątrz, by uzyskać pożądany łuk, i tak owo wgłębienie powstało. Jednak najbardziej zaskakującą cechą nosa jest to, że kończy się tak raptownie, dwoma łukowatymi portalami, co czyni go odrobinę podobnym do kościoła, i że te portale, oddzielone od siebie przegrodą nosową, są stale otwarte. Wszystkie inne otwory ciała można zamknąć: mięśniami zwieraczami, jak w przypadku odbytu i gardła, lub fałdami skórnymi, jak wargi sromowe i napletek, albo stałą wewnętrzną ścianą, jak w uszach. Tylko nozdrza są przez cały czas otwarte. Dzieje się tak oczywiście dlatego, że przez nie przepływa lwa część powietrza, którym oddychamy. Umieszczenie w takim miejscu bramy, która podnosiłaby się i opadała, na przykład jak w garażu, lub urządzenia przypominającego klapkę dla kota w drzwiach wejściowych, byłoby ekstremalnie niezręczne i energochłonne i wiązałoby się z pewnym ryzykiem, ponieważ wystarczy kilkuminutowa przerwa w dostawie powietrza, by nastąpiła śmierć, i chociaż usta stanowią pewne wsparcie dla nosa, dzieląc z nim przewody, które prowadzą zarówno w górę, do mózgu, jak i w dół, do płuc, bezpośredni otwór w nosie jest mimo wszystko najlepszym rozwiązaniem.

W związku z powyższym można by sądzić, że nos, ten namiot policzków, ten kościół twarzy, stanowi jej centralny punkt i najważniejsze miejsce – nos to jedyna część twarzy, która z niej wystaje, jest umieszczony w samym centrum, a przez jego długą konstrukcję przypominającą nawy boczne świątyni przepływa jedyna rzecz, której nieustannie potrzebujemy, by żyć. Czy zatem to nie nos powinien odgrywać kluczową rolę, kiedy spotykamy drugiego człowieka? Czy to nie nosem powinniśmy identyfikować jego charakter, osobowość, temperament, duszę?

Ale tak nie jest. Ten zaszczyt przypadł w udziale oczom.

To, że właśnie oczy symbolizują wewnętrznego człowieka w zewnętrznym świecie, nie jest niczym dziwnym, zważywszy na fakt, że w przeciwieństwie do nosa są ruchome, potrafią przemieszczać się w górę, w dół i na boki, dzięki czemu lepiej reprezentują wnętrze człowieka, które jest zawsze ruchome i zmienne, bez

względu na to, jak bardzo skostniała wydaje nam się dana osoba. Ale ważniejsze jest to, że oczy są jedynym miejscem na ciele, które nie jest przykryte skórą (z wyjątkiem paznokci i włosów, które i tak są już martwe), i w ten sposób sprawiają wrażenie, że można przez nie patrzeć jak przez okna domu. Na korzyść oczu przemawia również to, że zostały wyposażone w bramy garażowe, których odmówiono nosowi, a mianowicie powieki, które można zamykać i otwierać do woli, co świadczy o ich elastyczności, a jednocześnie podkreśla statyczność nosa. A mając na uwadze duszę, nie sposób nie zauważyć, że zmysł wzroku, domena oczu, ma przewagę nad zmysłem węchu, domeną nosa, i to z tego prostego powodu, że ten, na kogo się patrzy, również widzi tego, kto patrzy, a przez to odsłania znaczną część swojego wnętrza. Istotne jest także to, że oczy się nie starzeją – w przeciwieństwie do nosa, który na starość robi się dłuższy, bardziej czerwony i czasem przypomina starą zapadłą stodołę – ponieważ dusza również się nie starzeje, lecz pozostaje taka sama przez całe życie. To, że produktem odpadowym oczu są łzy, opiewane w pieśniach i wierszach, natomiast produktami odpadowymi nosa są smarki i krew, dodatkowo komplikuje życie nosa. Mówi się, że ładny nos to taki, którego nie widać, który jest tak symetryczny, zgrabny i wąski, że nie skupia na sobie uwagi. Zbyt długi, szeroki lub krzywy jest nieszczęściem dla twarzy i wymaga wiele od swojego właściciela, który od najwcześniejszych lat ma świadomość tego, że ludzie kojarzą go z tym dziwnym tworem, i który musi to przepracować w ten czy inny sposób, w toku długotrwałego wewnętrznego konfliktu tożsamości, w każdym razie w nastoletnim wieku, zanim pojednanie stanie się możliwe. Widziałem kiedyś taki nos. To było na początku lat dziewięćdziesiątych, byliśmy z Espenem w Pradze, w małym sklepie spożywczym. Nagle Espen pociągnął mnie za rękaw i powiedział cichym podekscytowanym głosem: „Widziałeś go?”. „Kogo?”, spytałem. „Tego z nosem”, odparł. „Tam dalej”. Spojrzałem w tamtym kierunku. I nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Zobaczyłem ciemnowłosego, niepozornego, chudego faceta po czterdziestce z ogromnym nosem przyklejonym do twarzy. Nos był długi jak trzonek i sękaty, jakby usiany małymi wyrostkami. Właśnie tak: przypominał korzeń. Nigdy w życiu nie widziałem niczego bardziej szokującego. Nie byłem w stanie oderwać od niego oczu. Mężczyzna wyglądał jak stara baba z baśni, której nos ugrzązł w pieńku do rąbania drewna, lub jak średniowieczna karykatura, która miała podkreślać groteskowość człowieka. Zarówno Espen, jak i ja zapomnieliśmy o dobrych manierach i gapiliśmy się na niego przez co najmniej kilkanaście sekund. Facet to oczywiście zauważył i odwrócił się do nas plecami. Co nas tak zafascynowało? Tak długi nos sprawiał, że jego właściciel w pewnym sensie przestawał być człowiekiem i zamieniał się w coś innego. Było w nim coś zwierzęcego, co rosło w niekontrolowany sposób, coś, co mogło być diabłem lub Panem^[4], gdyby nie fakt, że od tysięcy lat nos jest uważany za atrybut komiczny.

Wyszliśmy ze sklepu i stanęliśmy po drugiej stronie ulicy, a gdy wyszedł, ruszyliśmy za nim, zaczęliśmy go śledzić. Tak pociągający był jego nos. Teraz jednak najbardziej pamiętam jego spojrzenie, gdy zrozumiał, że się na niego gapimy, krótkie spojrzenie jego oczu, w którym widać było ekstremalne udręczenie i które stanowiło przeciwieństwo zwierzęcego nosa, choć przez niego zostało wywołane, i które teraz wspominam niemal jak kwintesencję ludzkiego stanu ducha.

Przytulanki

Na pierwszym piętrze, gdzie dzieci śpią w trzech przymocowanych do podłogi łóżkach, jedno za drugim, jak na pokładzie statku, aż roi się od przytulanek, jest ich tam chyba ze sto. Niedźwiedzie polarne i brunatne, szopy pracze, wilki, rysie, psy i koty. Krowy, konie, owce, jeże, króliki, wrony i sowy. Lwy, tygrysy, krokodyle, żyrafy, foki, wieloryby, rekiny i delfiny. Są wykonane z pewną dozą realizmu i zachowały niektóre ze swoich istotnych cech – foki mają płetwy, słonie trąby, wrony dzioby – ale zostały niejako dopasowane do horyzontu dzieci, przez co wszystkie są niemal takiej samej wielkości, miękkie i z materiału, można je obejmować i przytulać, i są pozbawione twardych części – tych, które mogą gryźć, ciąć, dziobać i drapać. Dzieci zanoszą je do łóżek, kiedy idą spać, zabierają je ze sobą, kiedy dokąś idą lub jadą, bawią się nimi w deszczowe dni. To nie znaczy, że nie mają pojęcia, jak te zwierzęta żyją w naturze; wszyscy troje byli na przykład bardzo przejęci krwiożerczością rekinów i oglądali wiele klipów na YouTube przedstawiających ataki tych drapieżników, ale postanowiły nie zwracać uwagi na wszelkie przejawy agresji i przemocy, jakich dopuszczają się pierwowzory przytulanek, ponieważ dla nich pluszaki należą do innego świata, oderwanego od zewnętrznej rzeczywistości, poza kształtem ciała. Wilk leży obok jagnięcia, lew obok zebry. Przytulanki są czymś w rodzaju pośredników ich uczuć, przedłużeniem ich wnętrza. Uderza zwłaszcza to, jak silne jest ich pragnienie, aby wszystkie pluszaki były miłe i żyły wiecznie. Ale kiedy realny świat wkracza w ich życie – na przykład kiedy dzieci zaczynają jeździć konno i mocują się w stajni z dużymi zwierzętami o twardych kopytach i zębach, ogromnych zadach i dużych łbach, którymi zarzucają nerwowo i na które tak trudno założyć uzdę, lub kiedy kot przynosi ptaka dyndającego mu w pysku, upuszczając go triumfalnie przed drzwiami, a ten, machając jednym skrzydłem, próbuje uciec swojemu przeznaczeniu, po czym kot uderza figlarnie łapą małe upierzone ciało albo wbija w nie zęby – nie znaczy to, że również świat pluszaków trzęsie się w posadach, że dzieci przenoszą na nie swoje doświadczenia świata rzeczywistego – nie, w pokoju na piętrze wszystko jest samą miękkością i dobrocią, tam śpi się z rekinami i bawi z lwami. Nie sądzę, by pluszaki stanowiły ucieczkę od rzeczywistości, osłonę przed brutalnością i agresją, by reprezentowały świat taki, jakim dzieci chciałyby go widzieć. Już prędzej jest tak, że pluszaki reprezentują dzieci, że właśnie tak wyglądają ich dusze: małe, miękkie, dobre i wierne. Nawet jakiś czas po tym, jak przestają się nimi bawić, i pluszaki, opuszczone i zaniedbane, nierzadko stłoczone w kartonowym pudle, z wiecznie otwartymi oczami lądują na strychu, dzieci instynktownie reagują przeciwko cierpieniom wojennym, nędzy i ubóstwu, żądają sprawiedliwości i równości, z naiwnością charakterystyczną dla wczesnego wieku

młodzieńczego, który jest ostatnią fazą dziecięcej duszy, kiedy ta po raz pierwszy stoi otwarta na świat zewnętrzny, tocząc walkę, której nigdy nie wygra, ponieważ jest bezbronna z natury i dlatego może jedynie żyć dalej w dzieciach jako coś innego, twardszego i gęstszego u tych, które sobie radzą, lub cieńszego i szklistego u tych, które świat chce złamać.

Chłód

Od jakiegoś czasu na dworze jest zimno. Zamontowane w domu ogrzewanie podłogowe nie działa. Jedyne salon i sypialnie są ogrzewane elektrycznie, natomiast kuchnia, łazienka, korytarze i jadalnia są lodowate, kiedy się budzimy. Nierzadko leżę pod kołdrą i wzdrygam się przed wstaniem z łóżka, muszę zebrać się na odwagę, by zejść po zimnych schodach, pokonać zimne kafelki na korytarzu i stanąć na zimnej drewnianej podłodze w kuchni. Ciało zdaje się kurczyć, jakby próbowało zmniejszyć powierzchnie wystawione na chłód, czasem wstrząsają nim dreszcze i pojawia się gęsia skórka, a przecież wciąż jeszcze znajduję się w środku, pod dachem, gdzie jest stosunkowo ciepło w porównaniu z ujemną temperaturą na zewnątrz. Można by sądzić, że chłód to strona aktywna, że wdiera się przez wszystkie szczeliny i otwory w domu i napiera na wszystkie ściany, tak że robią się zimne również od wewnątrz. Ale jest na odwrót: to ciepło jest stroną aktywną, to ono wypływa na zewnątrz, gdzie natychmiast rozpuszcza się w potężnych zimnych masach powietrza i znika. Zupełnie tak, jakby ta niewielka ilość ciepłego powietrza nie znała swoich ograniczeń i próbowała ogrzać mroźne powietrze, nie wiedząc lub nie rozumiejąc, że rozciąga się ono na odległość wielu mil, i to we wszystkich kierunkach, również w górę, gdzie staje się tym zimniejsze, im bliżej przestrzeni kosmicznej. Nie jest to jednak zuchwałość, lecz termodynamika. Jeśli zetkną się dwie różne temperatury, będą się starały ujednoczyć, zrównać ze sobą. Podobnie jest ze spadkiem. Temperatura obniża się na zewnątrz. Podobnie jak woda nie może zapobiec temu, że spływa w dół, w kierunku najniższego punktu w terenie, i w ten sposób staje się częścią wielkiego morza, tak ciepło nie może wzbraniać się przed skokiem w objęcia chłodu. Dziś rano wystawiłem za drzwi torbę foliową z pustymi butelkami, żeby później zawieźć je do punktu zbiórki odpadów. Wtedy były ciepłe, ale zaledwie kilka minut później miały tę samą temperaturę co ziemia. Ta siła, siła wyrównywania, to, że dwie różne wielkości nie mogą egzystować obok siebie, lecz muszą walczyć ze sobą, aż staną się jednakowe, nie dotyczy wyłącznie temperatury, ale również innych procesów, jak pożar, rdza, erozja, gnicie... Przebiegają z różną prędkością, ale mają ten sam cel: zrównać wszystko ze sobą. Samochód na podjeździe będzie powoli rdzewiał, aż w końcu przestanie istnieć, góry będą tak długo ulegać erozji, aż w końcu znikną, wszystkie żywe ciała w domu i wokół niego pewnego dnia umrą i zgniją, i nie pozostanie po nich żaden ślad. To również jest upadek: od bycia kimś, ciałem o jasno określonych granicach, do bycia nikim, przepędzonym na cztery wiatry. Życie można zdefiniować jako walkę z siłami ujednoczającymi, którą życie prędzej czy później przegra. Zatem życie egzystuje niejako wbrew i jest tragiczne w swojej naturze. W tragedii upadek jest oczywisty od pierwszej chwili, tylko nie dla występujących w niej postaci,

a tragedia polega właściwie jedynie na tym, w jaki sposób prawda o tym, co nieuniknione, dotrze do bohaterów. Śmierć i nicość czekają, ale my tak powoli upadamy w ich kierunku, że tego nie zauważamy. Nie myślimy o tym, że to właśnie przed nimi staramy się uchronić, izolując nasze domy, tak aby ciepło pozostawało wewnątrz, jak w basenie. Miasta w Skandynawii składają się z takich basenów i wież ciepła, a samochody są jak małe ciepłe jeziora. Trudno nie patrzeć na te próby utrzymania ciepła w małych pomieszczeniach jak na coś pięknego, jak na przepelnioną wyjątkową godnością sprzeciw, ponieważ przestrzeń, w której owe próby się odbywają, jest nie tylko czarna, lodowata i bezkresna, lecz również ekspansywna.

Fajerwerki

Kocham fajerwerki. Ale nie te, które wybuchają na ziemi lub też nad nią jak petardy, *Christmas crackers*, spadające gwiazdy, rzymskie ognie lub fontanny; moja miłość do fajerwerków obejmuje wyłącznie te, które są wystrzeliwane rakieta nośną i odsłaniają całe swoje piękno wysoko, wysoko na nocnym niebie. Kocham sztuczne ognie, odkąd pamiętam. Wychowałem się na osiedlu działek budowlanych, to znaczy w środku długiego rzędu identycznych domów, z identycznymi podjazdami, otoczonych ogrodami o takiej samej wielkości, i chociaż wewnątrz tych domów z pewnością działy się różne rzeczy, życie widziane z zewnątrz było dość podobne. Wyjątek stanowił wieczór sylwestrowy, godziny około północy, ze szczególnym uwzględnieniem ostatnich minut przed i pierwszych minut po, gdy dzieci stały w ogrodzie blisko matki i patrzyły, jak ojciec stoi pochylony nad wyrzutnią i majstruje przy niej, aż w końcu podpala lont, odskakuje do tyłu i ustawia się obok reszty rodziny, by obserwować, jak rakietka odrywa się od ziemi, leci w górę i wyrzuca trzeszczące kwiaty płomieni tak wysoko, że nie tylko ta mała rodzina zebrana przy tylnej ścianie domu (przez co niewidoczna dla innych) była w stanie je dostrzec, lecz także pozostali mieszkańcy osiedla, dzięki czemu mogli zobaczyć, raz w roku ten kto właściwie tam mieszka, kim naprawdę są mieszkańcy domu. Och, tak! Te fantastyczne kolory, ten wielobarwny blask, który nie tylko przypominał eksplozję, ale również zastygał na moment na czarnym nocnym niebie, a potem powoli opadał – to wszystko mówiło, z kim mają do czynienia. W każdym razie tak było w przypadku mojego ojca. Gdy wczesnym wieczorem pierwsze rakiety świstały i wybuchaly nad osiedlem, ojciec potrzasał tylko głową, nie ruszając się z fotela, w przeciwieństwie do mojego brata i mnie, którzy lecieliśmy do okna, żeby popatrzeć: to musiał być sąsiad z domu na zakręcie drogi, to jemu zabrakło cierpliwości, to on nie umiał czekać, nie potrafił zachować się jak należy. Gdy zbliżała się północ i jedna rakietka za drugą wystrzeliwały z ogrodów położonych wokół nas, ojciec oceniał je chłodnym okiem, czasem był pełen uznania („niezła była rakietka, którą odpalił Hansen”), czasem pełen potępienia, jeśli z jakiegoś ogrodu wystrzeliła cała kaskada fajerwerków, ponieważ uważał, że sąsiedzi chcieli się popisać i oczekiwali poklasku, na który nie zasłużyli. „Jak można tak szastać pieniędzmi?”, zwykł wtedy mawiać. Natomiast gdy inni wystrzeliwali tylko jedną lub dwie rakiety, w dodatku niezbyt widowiskowe – wtedy byli „skąpi”, „pozbawieni polotu”. Przez cały czas dawał do zrozumienia, że on, a tym samym my, nasza rodzina, nie tylko wie dokładnie, jak należy to robić, i nie przesadza w żadną stronę – ani nie szasta pieniędzmi, ani ich nie skąpi – ale również robi to idealnie, czego pozostałe rodziny wkrótce staną się świadkami i czemu przyklasną z podziwem. Wcześniej ustawiał

suszarke do bielizny, która służyła mu za wyrzutnię największych rakiet, a dookoła niej kilka butelek, z których startowały mniejsze fajerwerki. Nigdy nie widziałem go tak szczęśliwego jak właśnie w tych momentach, z zapalniczką w jednej dłoni, z drugą osłaniającą lont; pamiętam, jak podnosił się gwałtownie i podbiegał do nas – poza tym nigdy nie biegał – i jak błyszczały mu oczy, gdy iskra zapalała proch i rakietę leciała w górę. Najpierw te małe, potem coraz większe, aż w końcu ta największa, którą ojciec odpalał jakieś dwadzieścia sekund przed północą i która miała wieńczyć całość potężnym hukiem i gigantycznym, podobnym do motyla tworem na niebie, zawisłym nad naszym osiedlem dokładnie w chwili, gdy kończył się jeden rok, a zaczynał drugi. To, że nikt nigdy nie pochwalił ani nie skrytykował naszych fajerwerków, które prawdopodobnie nikły wśród wszystkich innych wystrzałów, nie miało najmniejszego znaczenia, bo tych dwadzieścia minut w roku wypełniała tak intensywne radość i moc, że nigdy nie mieliśmy wątpliwości, że ten obraz, który sztuczne ognie malowały nad naszymi głowami, świata nad światem, przez krótką chwilę przesycony pięknem i bogactwem, nie był iluzją, lecz przedstawiał coś prawdziwego: tak mogło wyglądać również nasze życie.

Listy do nienarodzonej córki

1 STYCZNIA. Pierwszy dzień 2014 roku jest wilgotny i łagodny, i jakby pusty. Odkąd byłem mały, pierwszy stycznia zawsze mi się z tym kojarzył: z dziwnym poczuciem pustki. Pewnie dlatego, że ostatnie wielkie wydarzenie ferii zimowych, wieczór sylwestrowy, było już za nami, nic wyjątkowego mnie nie czekało, a jednocześnie nic się nie zmieniło: nowy rok nie objawił się żadną nowością, na co prawdopodobnie podświadomie liczyłem, tak jak liczyłem na to, że po drugiej stronie granicy wszystko będzie inne za każdym z tych razów, gdy wyjeżdżaliśmy z Norwegii. Dlatego pierwszy dzień nowego roku okazywał się niemal najzwyczajszym i najmniej spektakularnym ze wszystkich dni. Dzisiaj jest podobnie. Ale teraz umiem to docenić, ponieważ pustka jest tutaj zawsze obecna, w tym otwartym krajobrazie pod otwartym niebem. To my nadajemy rys każdemu dniowi poprzez nasze działania, które, choć małe, wypełniają niejako tę pustkę. Ale nie dzisiaj, nie pierwszego stycznia 2014 roku.

To Twój rok, rok, w którym przyjdiesz na świat, tak jak 1968 jest moim rokiem. Ci, którzy urodzą się w tym roku, będą Twoim pokoleniem, spotkasz ich w podstawówce, gimnazjum, na studiach i będziesz miała z nimi więcej wspólnego niż ze mną, bo chociaż Twoja osobowość i cechy charakteru są uwarunkowane genetycznie i właściwie już ukształtowane, czas, w którym zostaną wystawione na próbę, będzie miał decydujące znaczenie, to on wpłynie na to, co będziesz myśleć i robić – i to bardziej, niż sobie wyobrażamy, w każdym razie tak mi się wydaje.

Gdy dorastałem, jedno z czasopism science fiction, jeśli się nie mylę, nosiło tytuł „1999”. Film fantastyczny Kubricka był zatytułowany *2001: Odyseja kosmiczna*. W szkole pisaliśmy czasem wypracowanie „Jeden dzień z życia w roku 2000”. Ten dzień jest pierwszym w 2014 roku, więc od długiego czasu żyję w przyszłości swojego dzieciństwa. Tymczasem jedyną osobą, która wygląda odrobinę przyszłościowo, jesteś Ty: leżysz jak astronauta w czarnej przestrzeni, z dużym kaskiem, drobnym ciałem i cienkimi kończynami, i z przewodem łączącym cię z okrętem-bazą, zwiniętym wokół Ciebie i unoszącym się tak jak Ty. Na ostatnim zdjęciu USG, które widzieliśmy, wyciągałaś uniesiony kciuk w naszą stronę, a my śmialiśmy się, widząc ten gest: że w brzuchu jest okej. Do porodu zostały dwa miesiące. Nasz niepokój budzi jedynie to, że z Twoją stopą coś jest chyba nie tak. Położna zatrzymała obraz i długo się jej przyglądała, potem przesunęła głowicę aparatu, żeby móc spojrzeć na nią pod innym kątem, i znowu zatrzymała obraz. „Wygląda na to, że ma stopę końsko-szpotawą”, powiedziała. „Stopę końsko-szpotawą?”, powtórzyłem. „Tak”, potwierdziła. „To nie jest groźne i można to leczyć”. Dodała, że najprawdopodobniej będziesz operowana i założą Ci specjalną szynę. Nie wpłynie to na Twoje dalsze życie, bo stopa się wyprostuje,

choć, jak powiedziała położna, być może w przyszłości nie będziesz mogła uprawiać slalomu narciarskiego. „Lekarze świetnie radzą sobie z takimi rzeczami, nic nie będzie widać, na pewno wszystko się uda”, uspokajała nas. Wieczorem zadzwoniłem do Yngvego, mojego brata, Twojego wujka, i opowiedziałem mu o wszystkim. „Ty też to miałeś”, odparł. „Stopę końsko-szpotawą?”, zdziwiłem się. „Miałem stopę końsko-szpotawą? Pierwsze słyszę”. „Możliwe”, odpowiedział. „Ale tak właśnie było”.

Przeżyłem czterdzieści pięć lat, nie wiedząc, że urodziłem się ze stopą końsko-szpotawą. Powiedziano mi jedynie, że z moją stopą było coś nie tak i że najpierw wsadzili mi ją w gips, a potem codziennie masowali, aż wszystko wróciło do normy. Myślałem, że moja stopa była trochę krzywa, i tyle.

Zadzwoniłem do matki, żeby jej opowiedzieć, czego się dowiedzieliśmy na badaniu USG. Okazało się, że dla niej termin „stopa końsko-szpotawa” był tak okropny, że nigdy go nie używała. Natychmiast przychodziła na myśl czasy średniowiecza, kulejący dzwonnik w gotyckim kościele albo lord Byron, który kojarzy się przede wszystkim ze zdeformowaną stopą, mimo że pod tak wieloma względami był fascynującym człowiekiem.

Jednak fakt, że ja też urodziłem się z tą wadą, chociaż nie miałem o tym pojęcia, a z moją stopą jest już wszystko w porządku, mimo wszystko podniósł mnie na duchu.

Nie jesteś już małym płodem, lecz małym noworodkiem, i to w pełni rozwiniętym. Czasem czuwasz, kiedy Twoja mama śpi, a czasem śpisz, kiedy mama czuwa, jakbyś już teraz żyła swoim własnym życiem, w swojej małej kawalerce.

Odebrałem wózek i łóżeczko od kolegi – wózek stoi w domu letniskowym, łóżeczko w pokoju, który będzie Twoim pokojem – i kupiłem karuzelę z małymi samolotami, które latają wokół słońca. Powieszę ją nad przewijakiem w łazience. Czasem myślę, że brakuje już tylko Ciebie, czuję się trochę tak, jakbyśmy mieli pojechać do szpitala, żeby Cię stamtąd zabrać, a przecież Ty przez cały czas jesteś z nami, w łazience, w sypialni, w kuchni, w samochodzie, w mieście. Kanał, który oddziela nas od Ciebie, ma zaledwie kilka centymetrów długości, a mimo to odnoszę wrażenie, że jesteś w innym świecie. Kiedy patrzę na wózek i łóżeczko, wypełnia mnie nie tylko oczekiwanie, ale także dyskomfort, ponieważ oba te przedmioty należą do nieobecnego dziecka. Wtedy przypominam sobie, że właściwie już tu jesteś. I myślę o kciuku, który uniosłaś.

STYCZEŃ



Śnieg

Deszcz jest częścią ciągłego ruchu: krople wody zbierają się w kałużach, stawach, strumieniach, wodospadach, jeziorach, morzach lub podziemnych korytarzach, by w pewnym momencie zacząć parować i unieść się znów w powietrze; śnieg natomiast oznacza chwilowe ustanie tego ruchu. Śnieg to deszcz, który na pewien czas wypadł z obiegu, który przez kilka miesięcy jest magazynowany gdzie popadnie, jak towar składowany na cle. Transformacja deszczu w śnieg jest radykalna, ponieważ cechy kropeł w obu stanach skupienia bardzo się od siebie różnią, i chociaż dobrze wiem, co jest powodem tej przemiany, chociaż wiem, że chodzi tylko o temperaturę i że nie jest to kwestia woli, trudno mi to zrozumieć. Nie jestem w stanie pojąć absolutu, ostatecznej granicy, tego, że po jednej stronie coś jest ciecżą, a po drugiej ciałem stałym. Nie pojmuję też tego, że przejście z jednego stanu w drugi *z a w s z e* odbywa się pod pewnymi warunkami. Innymi słowy, mam problemy ze zrozumieniem porządku rzeczy. Jeśli dwa samochody się zderzą, każdy kolejny ruch – od rozbitych reflektorów do toru, który pokona plastikowa butelka z półki nad bagażnikiem do przestrzeni między przednimi fotelami – będzie wynikał z prędkości samochodów i kąta, pod którym doszło do kolizji – żaden inny wynik tego zdarzenia nie jest możliwy. Odprysk przedniej szyby musi zostać wyrzucony dokładnie tam, karoseria musi zostać zgnieciona dokładnie tak. Podobnie jest z deszczem, kiedy temperatura spada i krople wody zmieniają się w płatki śniegu. Śnieg to sześcioramienne kryształki, których każde ramię jest identyczne, ponieważ powstały blisko siebie, w tych samych warunkach, ale każdy kryształek jest inny, powstał bowiem w innym miejscu i w innych okolicznościach. Nawet ta ekstremalna czułość na zmienne warunki jest w zgodzie z porządkiem rzeczy. I kiedy owe nieprzebrane ilości płatków śniegu wypełnią przestrzeń nad Tobą, jak białe migotanie na tle szarego nieba, i kilka płatków stopnieje na ciepłej skórze Twojej twarzy, a wszystkie inne osiadą bezszelestnie wokół Ciebie na drzewach i krzewach, wrzosach i trawach, również to nie może odbyć się w żaden inny sposób. Ta obfitość zegarmistrzowskiej precyzji, ta potęga pojedynczych zdarzeń mają jednak ten sam skutek: równość, bo kiedy śnieg przykrywa krajobraz, wszystko znika w bieli. Wszystkie najróżniejsze oblicza lasu – korzenie drzewa, które oplatają węzowatym ruchem nagą skałę i połyskują czerwonawo, kiedy jest mokro, żółte i brązowe igły, które leżą na ścieżce wdeptane w ziemię, i tak dalej *ad infinitum* – wraz z pojawieniem się śniegu sprowadzają się do jednego i przez kilka kolejnych miesięcy wyrażają tylko jedno: biel. Jak orkiestra, w której każdy instrument zaczyna grać ten sam dźwięk. Wszyscy, którzy dorastali wśród śnieżnych zim, znają ten dźwięk; może on zabrzmieć nawet w skąpanym w słońcu ogrodzie,

w samym środku lata: człowiek, nagle ogarnięty niezrozumiałą tęsknotą, widzi oczami wyobraźni pusty las, przez który wiatr pędzi welony płatków śniegu między nieruchomymi ciemnymi pniami drzew o zmierzchu.

Nikolai Astrup

Jesteśmy z wizytą u mojej matki w Ålhus w Jølster. Jej dom leży rzut beretem od plebanii, na której dorastał Nikolai Astrup^[5]. Dzisiaj poszedłem tam z dziećmi, żeby pojeździć na sankach – w zeszłym roku na Boże Narodzenie dostały nartosanki, które stały tu od tamtej pory. Wlokąc je za sobą, przedarliśmy się przez głębokie zaspę śniegu, aż dotarliśmy na szczyt łagodnego zbocza, tuż przy ogrodzeniu plebanii, gdzie zaczyna się nasza trasa zjazdowa. Wszystko, co tam zobaczyliśmy, Astrup uwiecznił na swoich obrazach. Budynek plebanii z połyskującymi białymi ścianami, otaczający go ogród, kościół u podnóża zbocza, dolinę i leżące za nią góry. I to nie są jakieś tam obrazy; mienią się kolorami i uproszczonymi płaszczyznami, sprawiającymi, że jego płótna emanują niezwykłym blaskiem, do którego żadna inna sztuka ani literatura z tej części kraju nawet się nie zbliżyła. Jego obrazy są zupełnie pozbawione psychologii, co odróżnia Astrupa od współczesnego mu Muncha; nie wyrażają ani samotności, ani witalności, przygnębienia ani euforii, są niejako odcięte od uczuć malarza, a jednocześnie nie zwracają się ku samemu krajobrazowi, by uchwycić jego esencję lub uczucia, które może wzbudzać. Chociaż Astrup przez całe życie mieszkał w Jølster i motywy czerpał prawie wyłącznie stamtąd, jego płóciem nie charakteryzuje żadna zażyłość z tamtejszym krajobrazem; żaden z jego obrazów nie mógłby być zatytułowany: „Z moich rodzinnych stron”, chociaż wszystkie stamtąd pochodziły. I dlatego mogłem tarzać się w śniegu z dziećmi, otoczony zewsząd motywami z obrazów Astrupa, w ogóle o tym nie myśląc. Nie dlatego, że namalował je sto lat temu; pomijając wyjątkowo ruchliwą drogę, która tędy przebiega, i kilka nowych domów, prawie wszystko wygląda jak za jego życia. Krajobraz, który śnieg przysypał tak ciężko i miękko tego ołowianoszarego przedpołudnia, był taki sam jak na jego obrazach: zarówno góry ginące w niskiej powłoce chmur, jak i szara tafla wody, prawie nie do odróżnienia od mgły, która nad nią zawisała – wydawało się, że nie istnieją żadne punkty styczne. Wróciliśmy do domu po niecałej godzinie, dzieci były wykończone, nie przywykły do tak długiego przebywania na dworze, w każdym razie nie w ten sposób, a mnie przypomniały się czasy, gdy sam byłem mały, jak bawiliśmy się na dworze od rana do wieczora, wracaliśmy do domu dopiero wtedy, gdy mrok był tak gęsty, że prawie się nie widzieliśmy. Poczulem ukłucie żalu, ale musiało ono pochodzić z mojego utraconego dzieciństwa, nie moich dzieci, bo one wydawały się całkiem szczęśliwe, gdy z czerwonymi policzkami zrzuciły niedbale kozaki, zawiesiły na kołku mokre spodnie narciarskie i rozeszły się po domu ze swoimi iPadami. Po obiedzie przyjrzałem się półce na książki należącej do mojej matki, po chwili wyciągnąłem album o Astrupie i zacząłem go przeglądać. I właśnie wtedy zdałem

sobie sprawę, że Astrup namalował cały ten świat i że wychowałem się na tych obrazach – w naszym domu wisiała jedna reprodukcja, u dziadków w salonie druga – a mimo to nie wpłynęły na sposób, w jaki ten świat przeżywałem. Zupełnie jakby Astrup malował w równoległym wszechświecie, w świecie, który znajdował się ramię w ramię z tym. Z książki wyczytałem, że Astrup skrupulatnie zapisywał w swoim notatniku wszystko, co widział z terenu plebanii. Krzak za krzakiem, drzewo za drzewem, dom za domem, szopa za szopą. Ale tylko to, co znajdowało się tam w czasach jego dzieciństwa. Wszystko, co pojawiło się później, zostało pominięte. Czy to był ten równoległy wszechświat? Czy właśnie jego malował? Dzieciństwo jest głębią tylko wtedy, gdy stoi się daleko od niej. Gdy stoi się w niej, dzieciństwo to płaszczyzny i kolory: Astrup musiał je widzieć jak przez szybę, do której przyciskał twarz.

Uszy

W uszach zadziwiające jest to, że są tak mechaniczne. Ze swoimi błonami, kosteczkami, przewodami i małymi jamami wypełnionymi płynem ucho równie dobrze mogłoby zostać skonstruowane w warsztacie mechaniki precyzyjnej – na stole warsztatowym z małym, starannie wypolerowanym i dobrze natłuszczonym kowadłem leżącym obok strzeżniczka i zdecydowanie większego, choć nadal miniaturowego ślimaka, może na białej szmatce, którą kowal (pochylony właśnie nad tylnym kanałem półkolistym i wyścielający go dywanikiem z włókien) rozłożył, żeby lepiej widzieć poszczególne elementy oraz żeby brud i kurz ze stołu się do nich nie przyczepiły – trudno sobie wyobrazić, żeby inne organy zmysłów, takie jak oko czy usta, mogły powstać w podobny sposób. Dzieje się tak, ponieważ dźwięk jest zjawiskiem mechanicznym. Coś wprawia powietrze w drganie i to drganie rozchodzi się coraz dalej, jak kręgi na wodzie w niezbyt upalny letni dzień, z prędkością dochodzącą do trzystu pięćdziesięciu metrów na sekundę. Te fale, niewidoczne dla oczu, a jednak fizycznie istniejące, zostają wprowadzone do głowy zgodnie z zasadą lejka: ucho zewnętrzne, okrągła, lekko nachylona małżowina zbudowana z chrząstki, znajdująca się po obu stronach głowy, prawie na wysokości nosa, kieruje fale dźwiękowe w dół przewodu słuchowego, w którym zderzają się z cienką ścianą i cichną. Ale siła ich uderzenia jest przekazywana dalej i wywołuje coś w rodzaju reakcji domina: drżenie ściany rozchodzi się i powoduje drżenie kilku wysoce precyzyjnych kosteczek, i jeszcze dalej, przez wypełnione płynem przewody, które także trzęsą się i wibrują, aż to drżenie dociera do małej przestrzeni, gdzie uchodzą wszystkie włókna nerwowe, tworząc coś w rodzaju maty sensorycznej przekształcającej ruch w impulsy elektryczne, które małymi przewodami mkną do mózgu z prędkością światła.

Chyba wszystkie dzieci widziały kogoś pracującego w dużej odległości od nich – na przykład postać uderzającą młotem kowalskim o kamień – i dziwiły się, że dźwięk nie pokrywa się z ruchem. Młot trafia kamień bezgłośnie i dopiero sekundę później rozlega się huk. Ale to nie wszystko: dźwięk odbija się rykoszetem i słychać go wiele razy: BUM-BUM!, a potem coraz ciszej: bum-bum, bum-bum. Gdy zrozumiałem, że również dźwięk jest zjawiskiem fizycznym, czymś, co przemieszcza się w przestrzeni, ogarnęło mnie uczucie jasności: a więc świat nie ma żadnych tajemnic ani żadnej głębi, wszystko jest w nim otwarte i przejrzyste jak woda w strumieniu, jak pokryte śniegiem pola, jak usiane gwiazdami nocne niebo.

Ale jeśli ten kompleks, jaki stanowi organ słuchu, jest z natury mechaniczny, to jest również wrażliwy i podatny na błędy, zarówno z uwagi na niezwykłą złożoność (ponieważ wszystkimi swoimi przewodami łączy się z nosem, gardłem

i ustami), jak również mnogość zadań, które wykonuje. Ucho nie tylko odbiera i przekształca fale dźwiękowe, lecz także odpowiada za zmysł równowagi, pomagają mu w tym małe kamyczki leżące w jednej z jam, tak zwane otolity, które poruszają się po dywanie z włókien nerwowych za każdym razem, kiedy głowa zmienia położenie względem otoczenia, dzięki czemu pozycja głowy jest stale monitorowana.

Jak skomplikowaną istotą jest człowiek! Kilka ruchomych błon i kosteczek sprawia, że słyszymy. Kilka małych kamyków w uchu sprawia, że trzymamy się w pionie. Z tej perspektywy niewiele nas różni od dinozaurów, które, by strawić posiłek, połykały ogromne kamienie, a gdy dinozaur szedł, kamienie leżące w żołądku ocierały się o siebie, mieląc pokarm. Gdy ich powierzchnie stawały się zbyt gładkie, dinozaur zwracał zużyte kamienie i połykał nowe. Było to, co prawda, prymitywne zachowanie, ale pokazuje ono, jak cienka może być linia oddzielająca świat materialny od stworzeń. Bo tak to już jest: życie zawsze łąpało się wszystkich środków, by przetrwać, i wcielało elementy świata materialnego do swoich ciągłych procesów udoskonalających. Prąd w nerwach, woda w jamach, kamyki w uszach.

Björn

Twarz Björna jest podłużna i niemal prostokątna, podbródek lekko wystający, kości policzkowe wysokie, ale niezbyt mocno zarysowane, usta sprawiają wrażenie krzywych – może bierze się to stąd, że Björn często zaciska wargi, jakby coś ssał. Ma niebieskie oczy i łagodne, przyjazne spojrzenie. Najbardziej charakterystyczną cechą jest chyba jego chód: Björn porusza się tak lekko, jakby prawie nic nie ważył, jakby siła ciężenia go nie dotyczyła, jakby unosił się nad ziemią. Byle podmuch wiatru może go porwać ze sobą – ta myśl przychodzi mi do głowy, kiedy widzę, jak idzie wiejską drogą, którąś z ulic w mieście lub po trawniku w stronę domu, w którym siedzę. Potrafię go rozpoznać od tyłu, z odległości stu metrów, wśród tłumu, i nigdy się nie mylę: to Björn. Lekkość jego chodu jest nie tyle elegancka – Björn jest wysoki i ma długie ręce, które mają na prawo i lewo – ile eteryczna, bliższa powietrzu niż ziemi; gdy patrzy się na niego, ma się wrażenie, że gdyby mógł, rozpostarłby ramiona i machając nimi powoli, wzniosłby się w powietrze jak żuraw albo pelikan. Björn zawsze ubiera się elegancko, w koszule, swetry z wełny merynosowej, apaszki, garnitury, płaszcze, ale i swobodnie – w tym znaczeniu, że ten niemal arystokratyczny styl ubierania się nie ciąży mu, w żaden sposób go nie uwiera, jest czymś, z czym czuje się zupełnie naturalnie. Dopiero przebywając z nim w jednym pokoju, można łatwo dostrzec, że ta elegancja nie jest perfekcyjna, lecz udawana i niechlujna: marynarki od garnituru są pogniecione, nierzadko brudne, jakby pracował w nich w ogrodzie, koszule poplamione jedzeniem, na przykład jajkiem albo sosem, a jego włosy, niegdyś jasne, obecnie ciemniejsze, są zawsze w nieładzie. Björn lubi rozmawiać, temat zdaje się nie mieć znaczenia, najważniejsze jest to, że siedzi z kimś, a nie sam. Jeśli może pokierować rozmową, często porusza tematy związane z historią, zwłaszcza z historią wojskowości, szwedzkiej, niemieckiej i rosyjskiej, od siedemnastego wieku do czasów współczesnych, z naukami przyrodniczymi, szczególnie astronomią i geopolityką. W tym, co mówi, jest głębia, ponieważ Björn dużo wie i zwiedził cały świat, był w najbardziej egzotycznych miejscach, ale rzadko albo nigdy tego nie podkreśla, w rozmowie nigdy nie jest stroną dominującą; można odnieść wrażenie, że dominacja i zwierzchność nie leżą w jego charakterze, są mu obce. Jeśli wokół niego dochodzi do konfliktów, próbuje je zbagatelizować lub zignorować, a kiedy to się nie udaje, wycofuje się. To, że szuka towarzystwa – dlaczego? z czym nie chce zostać sam? – a jednocześnie nie wytrzymuje konfliktów ani dominacji, musi być tym, co czyni go tak niespokojnym, tak niezwiązanym, tak lekkim. Björn ma łagodną naturę i przyjazną duszę, ale tym swoim wycofaniem i lękiem przed zaangażowaniem się na pewno zadaje innym ból, brak odpowiedzialności zawsze

tym skutkuje, prędzej czy później. Björn ma sześćdziesiąt lat, ale nie jest skostniały, nie pozwala mu na to niepokój, który odczuwa. Jediną cechą starego człowieka, jaką można u niego zaobserwować, jest słabość do cukru. Kawę słodzi trzema łyżeczkami i zawsze musi mieć pod ręką coś słodkiego. Kiedy siedzę z nim w pokoju i z jakiegoś powodu spuszczam lub odwracam wzrok, a potem nagle na niego spoglądam, Björn ma zawsze uśmiech na twarzy, jakby wiedział o mnie coś, o czym ja sam nie mam bladego pojęcia.

Wydra

Wydra ma okrągłe czarne oczy, nos w kształcie wyraźnie zaznaczonego łuku i długie usta o opadających kącikach. Kształt ust sprawia, że wydra wygląda tak, jakby była niezadowolona lub zła, a czasem smutna. To samo dotyczy spojrzenia, które w powieściach kryminalnych często nazywa się „przenikliwym”, a które nierzadko robi wrażenie żalosego. Włosy czuciowe pod nosem przypominają rzadkie wąsy, a odstające uszy uwydatniają niskie czoło. Ale powiedzieć tyle o wyglądzie wydry to jak nic nie powiedzieć, ponieważ w ogromnym stopniu wiąże się on z ruchem, prędkością, zwinnością i płochliwością – wszystkie te cechy wpływają na rysy twarzy lub ukrywają je niemal całkowicie. Pewnej zimy wydra stała się moim kompanem, widywałem ją regularnie przez prawie trzy miesiące, często o zmierzchu lub o świcie, nigdy jednak nie znalazła się tak blisko mnie ani nie znieruchomiała, bym mógł przyrzeć się dokładnie jej pyszczkowi. Zupełnie jakby zlał się ze sposobem, w jaki wydra się poruszała, a ten z kolei zlał się z jej postacią – takie wrażenie pozostało we mnie, gdy wydra zniknęła. Coś niespokojnego, bo była w ciągłym ruchu, coś systematycznie badawczego, ponieważ przystawała co jakiś czas i rozglądała się dookoła; wyglądała tak, jakby pilnowała całego krajobrazu. Wydra ma krótkie nogi, za to jest zaskakująco długa, i ten jej czasem bardzo szybki, niemal wijący sposób poruszania się sprawia wrażenie tak mocno zorientowanego na ziemię, że to właśnie ziemia, której wydra zdaje się częścią, jest jej domeną – jej ruchy nabierały dostojności, gdy wyciągała szyję i spoglądała w stronę horyzontu na zachodzie lub w kierunku sąsiednich wysp na wschodzie. Innym razem, na długich otwartych przestrzeniach, ruchy wydry miały w sobie coś z truchtów, szarpanego i zrywnego jak podskoki kuny, z którą jest spokrewniona. W wodzie, skąd wystawała jej tylko głowa, przypominała z kolei małą fokę.

Przybyłem na wyspę w pewne styczniowe popołudnie; gdy zszedłem na ląd, było już ciemno i wyjątkowo zimno jak na tę część wybrzeża – minus piętnaście stopni. Wynajmowałem tam dom, którego wnętrze wyglądało jak żywcem wyjęte z lat pięćdziesiątych; pierwszą noc przespałem w ubraniu, pod trzema kołdrami, na kanapie w salonie, zanim udało mi się ogrzać cały dom. Na wyspie oprócz mnie mieszkały tylko cztery osoby, trzyosobowa rodzina, która prawie cały czas spędzała w domu, i samotnik mieszkający na poddaszu jednej z szop na nabrzeżu; jego obecności nie byłem świadomy przez wiele tygodni. Wyspa była mała, wiele razy przeszedłem ją wzdłuż i wszerz i wkrótce znałem ją na pamięć. Wydrę zobaczyłem pierwszy raz w świetle samotnej latarni stojącej przy kei niedaleko domu, musiała przed chwilą wyjść na ląd, bo otrząsała się z wody. Nie spuszczałem z niej oczu, gdy śmiesznie podskakując, zaczęła się oddalać, aż

w końcu zniknęła w mroku. Następnym razem zauważyłem ją po drugiej stronie wyspy, gdy płynęła w odległości około dwudziestu metrów od brzegu. Morze było całkiem spokojne, a śnieg wyściełający wszystkie zagłębienia i przykrywający wszystkie powierzchnie wzdłuż przybrzeżnych skał sprawiał, że woda wydawała się zupełnie czarna. Wydra wyskoczyła na występ skalny kawałek dalej, znieruchomiała, spojrzała na mnie, po czym dała drapaka. Było w niej coś samotnego – zawsze, gdy ją widziałem, była sama, i zawsze w drodze dokądś, jak strażnik lub kontroler sprawujący nadzór nad dużym obszarem, w świecie, w którym nie było drugiej takiej jak ona. Najczęściej obserwowałem ją przez okno, gdy kręciła się przy kei, jej widok sprawiał mi radość, w pewnym sensie przywiązałem się do niej, w końcu dzieliliśmy ten sam los. Nie licząc rozmowy telefonicznej z matką raz w tygodniu, z nikim nie rozmawiałem. Kilka razy wyspę przysypał śnieg, wychodziłem wtedy z domu i szukałem śladów wydry. Te, które znajdowałem, biegły najczęściej wzdłuż tych samych tras i zawsze kończyły się na brzegu. Aż pewnego dnia, w jasne słoneczne przedpołudnie, zauważyłem coś, co wyglądało jak ślizg na śniegu, ślad prowadzący w dół, wzdłuż wewnętrznej krawędzi nadmorskiej skały. Zaciekało mnie to. Przez kilka następnych dni zahaczałem o to miejsce, żeby przekonać się, czy jest tak, jak myślę. I miałem rację. Pewnego popołudnia zobaczyłem wydrę na półce skalnej; stałem w dużej odległości, ale widziałem wyraźnie jej sylwetkę na tle ciemnoniebieskiego nieba. Zwierzę podbiegło do płaskiego śladu i ześliznęło się aż do brzegu morza, po czym wskoczyło do wody, zanurkowało i zniknęło mi z oczu. Nie istniał żaden praktyczny powód, dla którego wydra miałaby się ślizgać, więc musiała to robić dla zabawy, z czystej radości. I ta myśl, że to samotne, żarłoczno-drapieżne stworzenie potrafiło nagle wznieść się ponad swoją nacechowaną instynktami egzystencję i cieszyć życiem, zapaliła we mnie światło i stała się pierwszym impulsem do powolnego wychodzenia z ciemności, którą przyniosły kolejne tygodnie.

Kontakty społeczne

Zimowe miesiące, które spędziłem na małej wyspie daleko na morzu, były prawie zupełnie pozbawione wydarzeń. Przybyłem tam z miasta, gdzie ciągle coś się działo, zarówno na obrzeżach życia, które wiodłem – z tymi wszystkimi ludźmi siedzącymi w samochodach, w autobusach, przechodzącymi przez place, wychodzącymi i wchodzącymi do domów i sklepów – jak i w jego centrum: śniadania, obiady, wieczory przed telewizorem z tą, z którą się ożeniłem, częste rozmowy przez telefon, częste spotkania, częste imprezy. Na opustoszałej wyspie nie działo się nic z tych rzeczy. Przez pierwsze tygodnie nieobecność odczuwałem jako ssanie, tęsknotę za czymś, czego całym sobą potrzebowałem, a nie mogłem dostać. Dlatego będąc tam, nie czułem błęgiego spokoju, cisza i bezczynność wywoływały odwrotny skutek: uruchamiały pokłady niepokoju, pozwalały, żeby szalał w moim wnętrzu. Siłę, jaka tkwi w kontaktach społecznych, dostrzegamy dopiero wtedy, kiedy zostajemy ich pozbawieni, podobnie jak narkoman odczuwa moc heroiny, kiedy jej nie ma. A przecież ta walka rozgrywa się właśnie w samotniku i w narkomanie, to w ich wnętrzu są uruchamiane siły; to zaś, co zewnętrzne – kontakty społeczne i heroina – istnieją niezależnie od nich i są równie biernie co obojętne.

A więc potrzebowałem innych ludzi, ich nieobecność rozsadzała mnie od środka. Tylko do czego byli mi potrzebni? Chciałem, żeby mnie zauważali? Dotykali? Potwierdzali moją obecność? Nie lubiłem być dotykany, więc to nie było to, ale chciałem być zauważany i zawsze szukałem potwierdzenia. A jednak to nadal nie było to: jako pisarz mogłem zyskać uwagę i potwierdzenie, nie spotykając się z nikim. W takim razie o co chodziło?

Ta silna potrzeba innych ludzi, która krzyczała we mnie, gdy kręciłem się po pustym domu lub po pustej wyspie, z czasem stawała się coraz słabsza, potrafiła ucichnąć zupełnie na kilka godzin, potem nawet na kilka dni. Ponieważ nasze wnętrza nigdy nie jest puste ani ciche, nawet kiedy śpimy, lecz zawsze wypełniają je wrażenia, myśli i uczucia, w miejsce, które do niedawna zamieszkiwały kontakty społeczne, a później tęsknota za nimi, powoli przesączało się coś innego. Były to wydarzenia niespołeczne. Równie bogate i złożone, choć zupełnie innej natury. Ściana chmur zbierających się na horyzoncie, która sprawiała, że morze pod nią czerniało. Brzęczenie wszystkich łańcuchów i trzeszczenie wszystkich lin i fałów w porcie, gdy nadciągał sztorm. Wycie wiatru wiejącego zza rogów domu, ciche pohukiwanie fal dochodzące z drugiego końca wyspy. Kotwiczka wędkarska, która przez chwilę leżała w dłoni, jej trzy zardzewiałe, lecz ostre haczyki dotykające skóry zaczerwienionej od zimnej, słonej wody. Zapach mydła przypominający tak intensywnie ten z dzieciństwa, dwie ryby w błyszczącym zlewozmywaku

w kuchni, które nagle zaczęły podskakiwać. Stara, ubita pokrywa śnieżna w zagłębieniach, którą przysypał świeży śnieg i która przywiodła mi na myśl relacje między dziadkami a wnukami. Nic z tego nie wystarczało, potrzeba czegoś więcej ciągle we mnie rosła, chociaż to i tak było dużo. Czego więc stale brakowało?

Brakowało odpowiedzi. Kotwiczka wędkarska ze swoim małym gładkim wyrostkiem z trawy morskiej była piękna, gdy tak leżała w mojej zziębniętej dłoni, ale nie odpowiadała na nic we mnie ani nie reagowała na to, co robiłem, inaczej niż w sposób czysto mechaniczny: unosiła się w powietrzu długim, trzydziestometrowym łukiem i przebijała się przez twardą taflę wody z niewielkim pluskiem, gdy brałem zamach, lub upadała z brzękiem na skałę. Gdy nawinąłem prawie całą żyłkę na kołowrotek i szarpnąłem wędką po raz ostatni, woda nagle zwolniła uścisk, kotwiczka poszybowała w górę i wylądowała za mną. Przebywając na wyspie, ćwiczyłem się w nieoczekiwaniu na odpowiedź, nieoczekiwaniu na reakcję, w akceptowaniu tego, że wszystko istnieje samo w sobie i wchodzi w interakcje jedynie czysto mechanicznie. Nauczyłem się tego, że oczekiwanie na odpowiedź jest tak głęboko zakorzenione, że prawdopodobnie należy do najbardziej fundamentalnych warstw człowieczeństwa, że jest to jedna z cech natury ludzkiej. I zrozumiałem, że ten nowy wirtualny świat, w którym wzrastają nasze dzieci, jest tak uzależniający właśnie dlatego, że zaspokaja potrzebę odpowiedzi i reakcji zwrotnej, i robi to natychmiast. W ten sposób świat wirtualny wnika do jądra kontaktów społecznych i rozdaje nam wszystkim nagrody, które są tych kontaktów owocami, nie każąc nam ponosić za nie żadnych kosztów: możemy siedzieć zupełnie sami, każdy na swojej wyspie, a mechaniczne interakcje mogą nigdy nie dopuścić do tego, by tęsknota za innymi ludźmi została rozbudzona i miotała się w naszym wnętrzu jak dopiero co schwytane zwierzę w klatce.

Kondukt żałobny

Pewnego przedpołudnia, gdy zszedłem do salonu w domu na wyspie, do najdalej położonego pomostu przycumowała łódź. Padał śnieg i wiał porywisty wiatr, pędząc płatki niemal poziomo. Widoczność była słaba, a mimo to bez trudu dostrzegłem, że to była wodna karetka pogotowia. Do tej pory nie miałem pojęcia, że coś takiego w ogóle istnieje, chociaż to było przecież oczywiste, skoro wzdłuż brzegu jest rozszanych tak wiele wysp i tak wiele razy ich mieszkańcy wymagają interwencji lekarskiej z powodów, które nie są ani tak nagłe, ani tak groźne, by ściągać jeden z drogiego śmigłowców pogotowia ratunkowego.

Woda w zatoce była całkiem czarna, a krajobraz, który wznosił się po obu stronach, tworząc literę V, był szaro-biały. Łódź podskakiwała na falach i szarpała cumami jak pies na smyczy. Poszedłem do kuchni i zrobiłem sobie kilka kanapek. Gdy wróciłem do salonu z talerzem w jednej ręce i szklanką wody w drugiej, zobaczyłem czteroosobowy pochód idący wąską drogą. Dwie osoby niosły między sobą nosze. Pacjent był przykryty czymś w rodzaju koca, czarnego i przypominającego futerał. Pomyślałem, że to jakiś specjalny sprzęt stosowany podczas transportu drogą morską, rzeczywiście, morze bywa czasem tak wzburzone, że nie wystarczają zwykłe koca lub kołdry, pacjenci muszą być osłonięci czymś szczelnym, wodoodpornym. Na chwilę zniknęli za ścianami hangaru na łodzi, a gdy znowu ich ujrzałem, szli po pomoście w kierunku łodzi. Chociaż ich sylwetki odznaczały się wyraźnie na ruchomym tle wirujących płatków śniegu i pędzących chmur, było w nich coś zamglonego, niejasnego, jakby to one, a nie płatki śniegu wirowały na wietrze. Tak, w tych czterech postaciach niosących piątą było coś upiornego, tak jak upiorne wydawały mi się hangary na łodzi, z rozdziawionymi drzwiami i oknami, i przystań z jej dźwigami, zupełnie jakby miały zamiar przenieść się w inny wymiar. A jednak dopiero wtedy, gdy zatrzymali się przed łodzią, opuścili nosze i jeden z mężczyzn wykonał pewien gest nad osobą, która na nich leżała, a dokładniej mówiąc, nad workiem – wyglądało to tak, jakby przeciągał suwak zamka błyskawicznego do samego końca – zrozumiałem, co się stało, że człowiek, którego nieśli, był martwy, i że przyplłynęli tu po to, by zabrać go na stały ląd.

Uklonili się. Potem podnieśli nosze i wprowadzili je na pokład. Uruchomili silnik, odcumowali łódź, która chwilę później cofnęła się, zawróciła i zaczęła się powoli oddalać, pod ciężkim szarym niebem, z którego spadała nieskończona ilość nowych płatków śniegu, w tym pełnym przepychu nadmiarze martwoty i chłodu.

Podczas gdy czwarty mężczyzna, który został na przystani, ruszył z powrotem i wkrótce zniknął za hangarem na łodzi, ja wciąż śledziłem wzrokiem wodną karetkę, podświadomie oczekując, że nadal będzie płynęła z prędkością

trollingową z szacunku dla zmarłego, ale gdy tylko minęła szkiery, przyspieszyła, i powstał ten dziwny efekt, kiedy warkot silnika przybiera na sile i jednocześnie, z powodu oddalania się, słabnie. W chwili, w której karetka została pochłonięta przez szarość, pomyślałem, że właśnie tym jest śmierć.

Wrony

Wrony to szare ptaki z czarnymi głowami, czarnymi skrzydłami, czarnym dziobem i czarnymi pazurami. Podobnie jak sowy są od dawien dawna kojarzone ze śmiercią, lecz z innych powodów: sowa ze swoim bezszelestnym lotem i aurą tajemniczości należy do nocy i mistycyzmu, wrona zaś jest z natury wszędochy i hałaśliwa, żeby nie powiedzieć wrzaskliwa i awanturnicza. Czarna głowa przypomina kaptur naciągnięty na szarą pierś i szary grzbiet. Kaptur, który przywodzi na myśl te noszone przez katów, w połączeniu z dźwiękami wydawanymi przez wrony, ochrypłym, przenikliwym „kra, kra, kra”, które ma niewiele wspólnego ze śpiewem, sprawia, że wrony wywołują nieprzyjemne wrażenie, czego nie można powiedzieć o sowach. Bo chociaż i jedno, i drugie zwiastują śmierć, musi chodzić o różne rodzaje śmierci lub różne jej aspekty. Może sowy symbolizują samo przejście z jednego stanu do drugiego, kiedy lecą przez las o zmierzchu lub o świcie, jak między nocą życia pozagrobowego a dniem życia ziemskiego, wrony zaś, tak dobrze widoczne i słyszalne, wyrażają to, co w śmierci ohydne, fizyczne, cielesnie namacalne. Wrona nie stara się niczego ukryć, dzięki czemu ta ohyda jest widoczna nie tylko w przelotnym spojrzeniu, lecz manifestuje się otwarcie i bez wstydu, co także nasuwa skojarzenia z martwym ciałem, które nie może już niczego zasłonić, lecz jest skazane na to, by ukazać wszystko.

Widziałem wronę nie dalej niż dziś rano, stała na rondzie tuż za Ystad i przyglądała się samochodom, gdy odwoziłem dzieci do szkoły. Poza tym nie ma tu zbyt dużo wron – to znaczy są, ale należą do innego gatunku niż wrona siwa, która towarzyszyła mi w dzieciństwie; tutejsze wrony są mniejsze i całe czarne, długo myślałem, że to kawki, ale kawki mają ciemny dziób, a te jasny, więc w końcu doszedłem do wniosku, że prawdopodobnie chodzi o gawrony. Zachowują się zupełnie inaczej od wron siwych, tworzą ogromne stada liczące po kilkaset sztuk i każdego wieczoru przelatują nad dachami domów, w wolnych przestrzeniach między koronami drzew – co latem, kiedy listowie jest gęste i połyskuje zielono w świetle słońca, stanowi piękny widok, lecz co teraz, kiedy gałęzie są nagie, a barwy krajobrazu szare i brązowawe, ma w sobie coś bezpłodnego i beznadziejnego – w drodze do miejsca, w którym spędzają noc, to znaczy do kilku potężnych drzew rosnących w alei jakieś sto metrów od naszego domu. Co wieczór powietrze gęstnieje od ich wrzaskliwych śmiechów – można odnieść wrażenie, że gawrony budują wokół siebie coś w rodzaju akustycznej kopuły, i choć na początku wydawało mi się to nieprzyjemne, ponieważ dźwięki zdają się wydobywać z jednego stworzenia, które nie może znaleźć spokoju w ciemnościach, teraz uważam, że kryje się w tym coś bezpiecznego, potwierdzenie, że wszystko jest takie, jak być powinno.

Dlaczego więc właśnie wrona reprezentuje to, co bolesne i złowieszcze, skoro wokół jest tak wiele innych ohydnych istot, z których można by wybierać?

Z wroną sprawa przedstawia się podobnie jak z sową: jest z natury nieco podobna do człowieka i w ten sposób bliższa naszemu światu niż robak, żaba czy mewa. Wrona, którą widziałem dziś rano, zaczęła spacerować po białozółtej trawie, gdy przejeżdżaliśmy obok, a ponieważ jej skrzydła są czarne, a ciało szare, wyglądała tak, jakby szła z rękami założonymi na plecy, a do tego kiwała głową, jakby sobie potakiwała. Uśmiechnąłem się, bo przyszła mi na myśl pewna znajoma wrona, która mieszkała w okolicy gospodarstwa moich dziadków. Dziadek, który przypisywał wszystkim ptakom określone cechy i znaczenia, wyjątkowo nie lubił wron, niemal ich nienawidził, i kiedyś, gdy był jeszcze pełen wigoru, zdarzało mu się nawet do nich strzelać. Mierząc do tej wrony, lekko spudłował i kula trafiła ją w nogę. Przez wiele lat ptak żył z jedną nogą i był częstym gościem w gospodarstwie. Być może zapomniał o tym, co dziadek mu zrobił, ale ja zawsze uważałem, że to wydarzenie zapadło wronie głęboko w pamięć i że siedząc wysoko na drzewie jak kapitan Ahab, śledziła dziadka wzrokiem, gdy ten o zmierzchu przechodził powoli obok niej w drodze do obory.

Stawianie granic

Jestem zdenerwowany. Niepokój jest jak deficyt czegoś, nagły brak, jakby coś zostało ze mnie wyrwane i ciało pragnęło to odzyskać. Uczucia ciskają się z kąta w kąt, zderzają ze ścianami mojego wnętrza. Dzieje się tak tylko wtedy, kiedy równowaga między mną a innymi ludźmi zostaje zachwiana. Kiedy ktoś czegoś chce, a ja się temu sprzeciwiam. Albo kiedy ktoś mówi „nie”, a ja mimo to narzucam mu swoją wolę. Obu tych postaw staram się unikać, zarówno sprzeciwiania się, jak i zmuszania innych do czegoś, czego nie chcą. Na tym właśnie polega słabość, kiedy człowiek jest tak wrażliwy, że nie ma odwagi sprzeciwiać się woli innych. Archetypem konfrontacji własnej woli z wolą innych jest spotkanie rodzica z dzieckiem – to w tej relacji buduje się stosunek do woli, wszystko, co następuje później, to jedynie drobne zmiany i ulepszenia. I dlatego jestem zdenerwowany. Godzinę temu mieliśmy jeść lunch, ale jedna z córek nie chciała usiąść z nami, zamiast tego wyszła do przedpokoju, włożyła kalosze i płaszcz przeciwdeszczowy i oznajmiła, że idzie do sklepu po sobotnie słodczyce. Odpowiedziałem, że może to zrobić potem, ale nie teraz, bo siadamy do stołu. Powiedziała, że nie jest głodna. Ja na to, że w porządku, ale i tak musi usiąść z nami. Odmówiła i otworzyła drzwi. Chwyciłem ją w pasie i wciągnąłem do środka, usiłowała przytrzymać się futryny, ale wepchnąłem ją do jadalni, kopała i biła na oślep, kolejny raz próbowała chwycić się czegoś, ale odciągnąłem ją i posadziłem na jej miejscu przy stole, przy którym pozostali siedzieli w milczeniu i zerkali na nas. „Będziesz tu siedzieć, dopóki nie skończymy jeść”, powiedziałem. Przedrzeźniała mnie, nie chciała stracić twarzy przed rodzeństwem, ale widziałem, że ma łzy w oczach. Odwróciła się na krześle, żeby siedzieć plecami do mnie. Jedliśmy w ciszy, nikt się nie odzywał. Nagle odwróciła się, nałożyła jedzenie na talerz i zaczęła jeść, z przesadną łapczywością, ryż wysypywał się na stół, nóż i widelec uderzały o talerz. Powiedziałem, żeby przestała. „Przecież chciałeś, żebym jadła!”, odpaliła. „Owszem, ale jedz porządnie”, odparłem. „Jem, jak mi się podoba!”, zawołała. Jej oczy były wciąż szkliste. W tej samej chwili, w której ostatnia osoba skończyła jeść, córka wstała, wyszła z domu, trzaskając drzwiami, przemaszerowała za oknem i zniknęła. Sprzątnąłem ze stołu i przyszedłem tutaj. Jednym z najważniejszych zadań rodziców jest wyznaczanie dzieciom granic, nie dlatego, że to, co robią dzieci, posuwając się za daleko, jest aż tak niebezpieczne, ale dlatego, że muszą wiedzieć, że granice istnieją, że nie wszystko stoi przed nimi otworem, bo to, co otwarte i bezgraniczne, jest niepewne, i dzieci są w tym pozostawione same sobie. Wyznaczanie granic, ustanawianie zasad i tworzenie rutyny daje im poczucie bezpieczeństwa, sprawia, że świat staje się rozpoznawalny i przewidywalny. Jednocześnie jedną z najgorszych rzeczy, które rodzice mogą

zrobić swoim dzieciom, jest znieważenie ich, sprawienie, że tracą twarz i poczują się bezsilne. A ja właśnie to zrobiłem. I źle się z tym czuję. Jej również jest przykro, ale z przeciwnego powodu. Wiem, jak to jest, niewiele wspomnień tkwi we mnie głębiej od tych, gdy ojciec mnie obrażał, narzucając mi swoją wolę, rzucając na kolana z powodu jakiejś błahostki, jak słaby i bezwartościowy się wtedy czułem, gdy płacząc, stawiałem mu się bez nadziei na wygraną, jego wola była przecież znacznie silniejsza od mojej.

Jedyne, czego teraz pragnę, to naprawić to, co się stało. Ale jeśli wejdę teraz do jej pokoju i będę próbował jej to wytłumaczyć, wepchnie palce do uszu, będzie chciała, żebym również jej upokorzenie zostawił w spokoju. Zamierzam więc zrobić coś innego: odszukam młotek i takie małe bolce, którymi mocuje się przewody, i zamontuję tę lampę, którą od wielu miesięcy obiecuję zawiesić w jej pokoju. Lampa składa się z długiego szeregu małych kul z papieru ryżowego w różnych kolorach, które zawisną nad jej łóżkiem jak girlanda.

Krypta

W tym samym roku, w którym trzecia najokazalsza łódź wikińska została wydobyta z ziemi w Oseberg w Norwegii, spłonęło Ålesund. Łodzie wikińskie stały wówczas w prowizorycznych halach wystawowych i wielki pożar miasta przyspieszył budowę muzeum. Architekt Fritz Holland zaproponował, by zbudowano dla łodzi ogromną kryptę pod Pałacem Królewskim. Miała mieć długość sześćdziesięciu trzech metrów, szerokość piętnastu metrów, z niszą dla każdej z łodzi. Ściany miały zdobić płaskorzeźby z motywami wikińskimi. Istnieją szkice tej podziemnej kamiennej hali, pełnej łuków i sklepień. Łodzie stoją w pewnego rodzaju zagłębieniu w podłodze. Przypomina to bardzo grobowiec. I słusznie, można by pomyśleć, ponieważ te trzy odnalezione łodzie były pierwotnie grobami, a poza tym umieszczone w krypcie pod ziemią w parku królewskim jawiłyby się jako ucieleśnienie narodowego mitu, przebrzmiałego w rzeczywistości, żyjącego jedynie w świecie symboli. Krypty nigdy nie zbudowano, a moc historii nad narodowym tworzeniem tożsamości prawie zupełnie wygasła. Istnieje również inna niezrealizowana wizja Oslo, pochodząca z lat dwudziestych ubiegłego wieku, z wysokimi, murowanymi, podobnymi do drapaczy chmur budynkami wzdłuż Karl Johan i unoszącymi się nad miastem sterowcami. Kiedy spoglądam na te rysunki, wizje, które nigdy się nie urzeczywistniły, i czuję ich potężną siłę przyciągania, której nie potrafię wytłumaczyć, wiem, że ludzie żyjący w Kristianii w 1904 roku przyglądaliby się niemal wszystkiemu, co nas otacza – a na co prawie nie zwracamy już uwagi, bo tak przeniknęło to naszą codzienność – z otwartymi ustami, nie wierząc własnym oczom. Czymże jest kamienna krypta wobec telefonu pokazującego żywe zdjęcia? Albo spisanie *Draumkvedet*^[6] wobec robota-kosiarki, który kosi trawnik automatycznie?

Ponieważ opowiadanie w swojej najgłębszej istocie dotyczy wiarygodności, niewiele opowiadań trudniej doprowadzić do szczęśliwego końca niż te kontryfakcyjne. Podczas gdy historie, które rozgrywają się w równoległych rzeczywistościach lub w przyszłości, są z zasady całkowicie oderwane od wydarzeń w naszym świecie i w ten sposób wolne, opowiadania kontryfakcyjne są z tymi wydarzeniami ściśle związane, więc żądanie, które przed nami stawiają, abyśmy odrzucili wszystko, co wiemy, i pozwolili tej masywnej, rozległej wiedzy ważyć mniej niż pojedyncze rozumowanie w pojedynczej książce, trudno spełnić. Z drugiej strony każda pojedyncza chwila, w której się znajdujemy, jest otwarta we wszystkich kierunkach, jakby miała troje lub siedmioro drzwi, jak w baśniach, prowadzących do pokoi, które kryją różne przyszłości. Te hipotetyczne rozgałęzienia czasu znikają z każdym dokonywanym przez nas wyborem i nigdy

nie istniały same w sobie, trochę jak obce twarze, które czasem widzimy we śnie. Podczas gdy przeszłość jest stracona raz na zawsze, to, co się w niej nie wydarzyło, jest podwójnie stracone. Prowadzi to do szczególnej formy poczucia straty, melancholii niezrealizowanej przeszłości. To uczucie brzmi jak coś przestylizowanego i niepotrzebnego, coś, co może wypełniać bierne i odrealnione dusze, lecz u jego źródła leży fundamentalna ludzka refleksja i tęsknota: wszystko mogło potoczyć się inaczej.

Zima

Jesień jest przejściem, czasem opróżniania się nieba ze światła, powietrza z ciepła, drzew i krzewów z liści. Następująca po niej zima jest stanem, w którym rządzi bezruch. Ziemia zastyga, woda zamienia się w lód, śnieg przykrywa świat. To, że personifikacją tego stanu jest czasami król, wynika być może z faktu, że bezruch jest czymś narzuconym, czymś, co przychodzi z zewnątrz i niejako stosuje gwałt na krajobrazie. Król Zima, bo tak się nazywa, niemal automatycznie kojarzy mi się z inną personifikacją, a mianowicie z Królem Alkoholem. Dwaj monarchowie upadku, dwaj opróżniacze świata, dwaj sprawcy bezruchu. Jeden władający z rozmachem, na wielką skalę, w całych krajach i królestwach, drugi skromniej, na mniejszą skalę: pojedynczy człowiek to tu, to tam. Ale czy rzeczywiście mają ze sobą cokolwiek wspólnego? Czy Król Alkohol nie włada upojeniem i życiem bez granic, czy nie jest monarchą afirmacji? Czy kiedy upojenie rozchodzi się z krwią, nie ma się wrażenia, że w oczach zapala się światło i wewnętrzne ciepło wygładza rysy twarzy, mało tego: że życie napływa wezbraną falą? Natomiast w przypadku zimy napływa chłód i, w przeciwieństwie do alkoholu, wszystkie procesy zostają zatrzymane lub spowolnione – czyż nie tak? Tak to wygląda, ale Król Alkohol jest iluzjonistą: to życie, które nagle błyszczy w oczach, to tylko odbłask, podobny do życia, który jednak życiem nie jest. Właśnie w ten sposób alkohol jest powiązany z zimą, również stanowiącą inscenizację wydarzeń pseudorealistycznych. Kiedy światło słoneczne pada na biały krajobraz w bezchmurny, lodowaty zimowy dzień i śnieg mieni się cudownie i zachęcająco w milionach fasetek, lub kiedy zielonkawa zorza polarna pędzi falami przez nocne niebo, kontrast z bezruchem rządzącym zimowym krajobrazem jest tak ogromny, że łatwo można to błędnie zinterpretować jako przejaw życia i tego, co żywe. Ale to światło jest zimne, niczego nie wznieca, w nic nie wnika, to, co widzimy, to tylko mechaniczne odbicie. W niewielu miejscach martwota zimy jest przedstawiona bardziej posępnie niż w *Boskiej komedii* Dantego, gdzie w ostatnim, dziewiątym kręgu piekła zmarli stoją zatopieni w ogromnym lodowatym jeziorze, znad którego wystają im jedynie głowy. Nie mogą się ruszać, nawet łzy w ich oczach są nieruchome, zamienione w lód. Poruszają się jedynie usta; dusze mogą miotać nimi przekleństwa lub wyrażać żal, ale ponieważ nie są w stanie potwierdzić wypowiedzianych słów ciałem, słowa nie mają żadnego ciężaru, nic nie znaczą. Przywodzi mi to na myśl pijaków, którzy krzyczą coś do przechodniów lub zwierają się obcym ludziom na ławce w parku, bo chociaż ich słowa mogą wyrażać złość, rozpacz, radość i serdeczność, nie pociągają za sobą żadnych konsekwencji, zostają tam, gdzie padają, w swoim życiu na ulicy. Właśnie tak zapamiętałem swojego ojca w ostatnich latach jego życia: stał się więźniem

czegoś, z czego nie mógł się wydostać. Jego zima nigdy się nie kończyła, wszędzie wiał wiatr i padał śnieg, nie tylko na zewnątrz, lecz również wewnątrz domu, w którym siedział. Właśnie tak to sobie wyobrażam: że w jego sypialni, na schodach, w kuchni i w salonie padał śnieg i hulał wiatr. Że zima była w jego duszy, zima była w jego umyśle, zima była w jego sercu.

Pożądanie seksualne

Pożądanie seksualne, obok głodu, pragnienia i zmęczenia, należy do najbardziej podstawowych uczuć i ma taką samą strukturę jak one. Czegoś brakuje i ten brak jest manifestowany przez ciało jako mniej lub bardziej intensywne ssanie, które można wyciszyć jedynie poprzez dostarczenie ciała jedzenia, picia, snu, seksu. Jednak podczas gdy głód, pragnienie i zmęczenie są stanami, w których wzrasta poziom bólu, które – jeśli potrzeby przypominane przez ból nie zostaną spełnione – prowadzą do śmierci i z racji tego mogą być nazwane uczuciami deficytu, pożądanie seksualne implikuje stan rozkoszy i jest z natury związane z nadmiarem. Nawet jeśli pozostanie niespełnione, nie będzie miało żadnych fizycznych konsekwencji, jedynie emocjonalne, takie jak rozczarowanie, złość, frustracja, poczucie niskiej wartości. Dzieje się tak, ponieważ pożądanie seksualne w przeciwieństwie do trzech pozostałych potrzeb fizjologicznych nie polega na podtrzymaniu podstawowych funkcji życiowych organizmu, czyli niedoprowadzeniu do śmierci, lecz wręcz przeciwnie: tworzeniu nowego życia, poza własnymi granicami. I dlatego pożądania seksualnego nie można zaspokoić samemu, a jedynie poprzez zaangażowanie innych osób. Z tego powodu jest to potężnie komplikująca siła w życiu i w kulturze. Nasze pozostałe podstawowe potrzeby są zaspokajane dzięki systemowi transakcji, niejako wplecionych w samo budowanie społeczeństwa, z pieniędzmi jako pewnego rodzaju pośrednikiem – bardzo nieliczni z nas produkują własne jedzenie i napoje, a mimo to codziennie zaspokajamy głód i gasimy pragnienie, ponieważ wykonujemy jedną z wielu prac na rzecz społeczeństwa i otrzymujemy za to pieniądze, za które kupujemy jedzenie i picie. To samo dotyczy ubrań, dzięki którym nie marzniemy, i mieszkań, które chronią nas przed wiatrem i mrozem i strzegą naszego dobytku. Najsensowniej i politycznie najpoprawniej byłoby zatem włączyć popęd płciowy do tego systemu, to znaczy pozwolić ludziom kupować seks, kiedy są podnieceni, podobnie jak kupuje się jedzenie, kiedy odczuwa się głód. Już sobie wyobrażam stacje popędu seksualnego wzdłuż głównych dróg, seksmarkety obok centrów handlowych i bardziej ekskluzywnie małe seksbutiki w śródmieściach. Już na starcie zrównałoby to wszystkich ludzi i pozwoliło skupić się na regulacji ekonomii społecznej, by zmniejszyć przepaść między bogatymi i biednymi, w czym tkwi największa strukturalna niesprawiedliwość. Ale wobec tej propozycji większość stanęłaby okoniem, bez względu na to, jak bliski jest ten pomysł ideologii kapitalizmu społecznego. Możemy sprzedawać naszą siłę roboczą i kupować cudzą, możemy żyć i funkcjonować w społeczeństwie, w którym wszystkie wartości przelicza się na pieniądze, w którym płacimy nawet za to, by inni opiekowali się naszymi dziećmi, mało tego: w którym wszystko, co mamy i robimy, podlega zasadzie

kupna i sprzedaży – tylko nie seks. Dlaczego? By zrozumieć, jaką rolę odgrywa w kulturze popęd seksualny, można w ramach eksperymentu myślowego odrzucić go i wyobrazić sobie społeczeństwo, w którym nikt nie odczuwa pożądania, a rozmnażanie odbywa się drogą sztucznego zapłodnienia. Co by się wówczas działo? Obie płcie upodobniłyby się do siebie tak bardzo, że w końcu złąłyby się w jedną. To jednopłciowe stworzenie, które nie pożądałoby żadnego ze swoich współtowarzyszy, zachowałoby jednak wszystkie inne ludzkie uczucia i darzyłoby na przykład serdecznością i miłością innych ludzi. Ale serdeczność i miłość to uczucia, którymi nic się nie ryzykuje i które zwracają się w stronę tego, co już jest. Celem miłości jest podtrzymywanie, a jedynymi alternatywami podtrzymywania są pogłębianie lub wyciszanie. Byłoby to społeczeństwo bez wojen, bez przemocy, dzięki czemu mogłoby realizować utopijną wizję świata opartego na dobroci i bezpieczeństwie. Nikomu nie przyszłoby do głowy, by uprowadzić Helenę. To, co teraz tworzy jedynie fasadę klasy średniej, przenikałoby wszystkie warstwy społeczeństwa, w którym nikt nie ma nic do ukrycia, społeczeństwo bez tajemnic. A seks byłby rozumiany prawie tak samo, jak dzisiaj traktujemy kanibalizm: jako coś barbarzyńskiego i dzikiego, działalność polegającą na konsumpcji człowieka, rozsiewającą wokół siebie same nieszczęścia, zawierającą elementy brutalności, podboju, bezwzględności i dominacji. Seks byłby postrzegany jako wyraz systemu wartości, w którym to, co zewnętrzne, triumfuje nad tym, co wewnętrzne, stojąc tym samym w sprzeczności ze wszystkim, co wiadano by na temat wartości człowieka. Skoncentrowany wokół rozkoszy, nieznanej w innych aspektach ludzkiego życia, tak wybuchowy, że wyrwany spod kontroli, mógłby stać się celem wszystkich rzeczy – krótko mówiąc: seks jawiłby się jako działalność wywrotowa, którą ludzie przez długi czas usiłowali kontrolować, czyniąc z niego temat tabu i otaczając go zasadami, wstydem, eufemizmami i kłamstwami, aż w końcu udało się, poprzez uświadomienie i nowe metody zapłodnienia, usunąć go zupełnie z życia człowieka. Ci nowi ludzie głaszczą się zachęcająco po policzkach i mają się dobrze, i to musi im wystarczyć.

Thomas

Oczy Thomasa są głęboko osadzone, o migdałowatym kształcie, mocno oddalone od siebie, co nadaje jego twarzy lekko mongolski wyraz. Thomas jest częściowo łysy, ma wianuszek z włosów wokół skroni i na karku, krótką brodę na podbródku i pod ustami oraz gładko ogolone policzki. Wszystko to sprawia, że wygląda jak Lenin; ta myśl przychodzi do głowy, kiedy widzi się go po raz pierwszy lub drugi, potem się o tym zapomina. Thomas opowiedział mi kiedyś pewną historię z czasów swojego pobytu w Sztokholmie: był wczesny niedzielny poranek, ulice całkiem opustoszałe, nigdzie żywej duszy. Nagle nadjeżdża limuzyna i zatrzymuje się na skrzyżowaniu, tuż przed nim. Jakiś mężczyzna siedzący z tyłu wygląda przez okno, Thomas rozpoznaje go, to Gorbaczow. Ich spojrzenia spotykają się, Gorbaczow podnosi rękę w geście pozdrowienia i samochód jedzie dalej pustą ulicą. Thomas zanosił się od śmiechu, gdy mi o tym opowiadał. Może Gorbaczow dostrzegł w nim coś znajomego i przez krótką chwilę wydawało mu się, że na chodniku stoi jego stary przyjaciel, a może to było zwykłe ludzkie spotkanie, które chciał uczcić. Thomas jest fotografem, ale w przeciwieństwie do większości kolegów po fachu wydaje się nie interesować chwilą, bardzo rzadko fotografuje to, co dzieje się tylko raz, a nawet jeśli to robi, to w tej ulotnej chwili zawsze wychwytuje coś jeszcze, coś, co trwa. Tak, Thomasa fascynuje trwanie. I w przedziwny sposób to, co ponadczasowe, stanowi integralną część jego osobowości, bo choć jego dzieciństwo przypadło na lata pięćdziesiąte, młodość na sześćdziesiąte, a wczesna dorosłość na siedemdziesiąte, w Sztokholmie, razem z innymi fotografami, którzy później zyskali sławę, Thomas prawie nigdy nie rozmawia o przeszłości, zawsze interesuje go teraźniejszość. Jest prostolinijny, mało wymagający, przez co często bywa niedoceniany, przynajmniej przez innych artystów, ponieważ nigdy nie odzywa się po to, by zrobić wokół siebie szum, lecz wyłącznie dlatego, że ma coś ważnego do powiedzenia. W jego zdjęciach jest wielka ciemność, fotografie są pełne cieni i murów, ciemność jest także w nim, zwłaszcza zimą, ale nie taka, która ciąży innym, bo jego ciemność również jest mało wymagająca, nie dokłada niczego w kontekście społecznym, tylko coś zabiera, część jego obecności, która czasem przestaje istnieć, jakby Thomas był zupełnie gdzie indziej. Chociaż w ten sposób trochę się izoluje, nigdy nie epatuje samotnością. Myślę, że odczuwa samotność, kiedy – wypełniony ciemnością – jest sam, ale również, że inni wyciągają go „na zewnątrz” i że Thomas jest autentycznie przejęty spotkaniami z ludźmi, że w tych chwilach żyje w nich. Wielkim zmartwieniem Thomasa jest to, że nie ma własnych dzieci, przez pierwsze lata naszej znajomości byłem bardzo ostrożny w opowiadaniu mu o swoich, bałem się, że to dla niego zbyt bolesne, ale potem zrozumiałem, że

Thomas nie łączy tych spraw, zrozumiałem to po sposobie, w jaki wypowiadał się o moich dzieciach, po tych drobnych szczegółach, na które zwracał uwagę, a które były dla nich charakterystyczne, trwałe. Thomas nie jest żadnym intelektualistą, prawie nikt, kto robi zdjęcia, nim nie jest, wychodzi światu naprzeciw całym sobą, bez żadnej teorii na jego temat, co nie znaczy, że świat, który tworzy, jest otwarty, lecz zamknięty w sposób osobisty. Świat, w którym działa, kiedy na przykład siedzi na kanapie w mojej pracowni i się śmieje, a trzymany pod górną wargą snus sprawia, że wygląda, jakby szczyrzył zęby jak wilk, czyni go otwartym, prawie tak jak droga, którą odśnieża się regularnie, by była przejezdna – to daje mu życie. Natomiast samotność, ciemność i śmierć, które są w nim, zamykają świat tworzony przez Thomasa. Taki właśnie jest Thomas: stoi w świetle i robi zdjęcie cieniowi, który rzuca na ziemię.

Pociągi

Pierwszy odgłos pociągu, cichy szum, jest nie do odróżnienia od wiatru wiejącego między drzewami. Potem rozlega się sygnał dźwiękowy z pobliskiego przejazdu kolejowego, również słaby, i człowiek wyobraża sobie, jak po obu stronach torów opuszczają się zapory, chociaż w pobliżu nie ma żywego ducha. Jesteśmy na spacerze z wózkiem, jest zima, białe niebo, stara leśna droga przykryta cienką warstwą świeżego śniegu, który przy najlżejszym porywie wiatru tworzy różne wzory na lodzie w śladach kół. Szum wzmagą się, towarzyszy mu masywniejszy, metaliczny dźwięk wydawany przez ciężkie wagony toczące się nad podkładami kolejowymi i coś w rodzaju elektrycznego brzęczenia. Nasza córka, która niedługo skończy rok i siedzi w wózku zapakowana w ciepły czerwony kombinezon, białą czapkę i białe rękawiczki, odwraca głowę. Pociąg przejeżdża przez las, nie stukocze jak te stare czworokątne ciężkie wagony, które toczyły się po torach w latach siedemdziesiątych, lecz mknie, szybko i lekko, otoczony tumanem śniegu. Prześlizguje się przez niewielki zakręt i w następnej chwili znika za drzewami. Wkrótce szum pociągu zlewa się z wiatrem, aż w końcu i on cichnie. Idziemy dalej leśną drogą, ale jestem jakiś niespokojny, podminowany, jakby coś było nie tak. Mija kilka minut, zanim uświadamiam sobie, że ma to związek z pociągiem. Pociąg zmierza w inne miejsce, ja nie. Nietrudno wyperswadować sobie tę tęsknotę, bo kiedyś jechałem tym samym pociągiem do Malmö, siedziałem w jednym z tych oświetlonych przedziałów, tak hipnotycznie wyglądających z zewnątrz, i nudziłem się. Spoglądałem przez okno na ośnieżony las; co wówczas czułem, jeśli nie tęsknotę za tym, by zamieszkać w jednym z tych obcych domów, które mijalem po drodze? Jestem tego świadomy, gdy tak idę obok wózka starą leśną drogą. Ale symboliczna moc pociągu jest silniejsza od rozumu, lub operuje w zupełnie innym obszarze, i jego przyciąganiu trudno się oprzeć. Samolot, który nie tylko zmierza w inne miejsce, lecz także dociera tam znacznie szybciej, nie roztacza tej samej aury, samochód również nie. Podróż autem stała się czymś zbyt zwyczajnym, zbyt powszednim, za bardzo związanym z wyjazdami na zakupy do supermarketu, z kolei podróż samolotem jest zbyt realistyczna, wiesz, że do tego Stambułu, w którym już za kilka godzin gwałtownie wylądujesz, niemożliwością będzie się przywiązać. Za to podróż pociągiem jest jakby ucieleśnieniem samej tęsknoty, kiedy pociąg powoli wije się przez krajobraz i nigdy nie zatrzymuje dłużej niż to konieczne dla załatwienia paru formalności, a widok z jego okien wciąż się zmienia, jak we śnie. Pociąg nigdy nie przeskakuje z „tutaj” do „tam” – to jego wspólna cecha z tęsknotą, która, gdy tylko dociera „tam”, zamienia je w „tutaj”, ale ze swej natury go nie uznaje i zaczyna kierować się w stronę nowego „tam”. W ten sposób toczy się życie.

Georg

Niektórych pisarzy nie da się zrozumieć, dopóki się ich nie spotka. Tak było z Georgiem. Wiele razy próbowałem namówić go na wywiad, dla różnych gazet; za każdym razem odsyłał mnie do swojego kolegi, który, jak się wyraził, ma mnóstwo do powiedzenia, w przeciwieństwie do niego. Wtedy w oczach wielu osób, również w moich, młodych i niedoświadczonych, Georg uchodził za największego intelektualistę w kraju i za najwybitniejszego norweskiego poetę: w latach sześćdziesiątych nikt nie pisał lepiej od niego. Dopiero gdy spytałem o coś w imieniu Radia Studenckiego, które było organizacją non profit, zgodził się na rozmowę. Zorganizowaliśmy festiwal, na którym Georg miał czytać swoje wiersze. Spotkałem go przed Centrum Studenckim i miałem mu towarzyszyć w drodze do Hulen^[7], gdzie odbywała się impreza. Było sobotnie przedpołudnie. To musiała być jesień, bo pamiętam jasne niebo nad Nygårdshøyden^[8] i to chłodne powietrze. Widziałem Georga wiele razy, korpulentnego starszego pana z brodą, wyjątkowo nieelegancko ubranego, często z torbą przewieszoną na ukos przez pierś, idącego zwirową alejką w stronę Sydneshaugen^[9] lub ulicą obok Centrum Studenckiego, tą, która prowadziła do Møhlenpris po drugiej stronie. Wyglądał tak, jakby chodzenie sprawiało mu trudność. Był żywą legendą. I w Bergen miał swoich uczniów, członków Forum Retorycznego, którzy nazywali go „Georgusiem” lub po prostu „Georgiem”, by pławić się w jego blasku, zaliczać do grona jego zaufanych. Występowali przeciwko romantyczności, przeciwko stolicy, przeciwko gazetom, przeciwko powieściom i przeciwko każdemu wyobrażeniu na temat autentyczności. Opowiadali się za tym, co klasyczne, za chłodnym analitycznym wyrazem dystansu. Byli swego rodzaju antyhistorykami, chociaż ich uwielbienie dla Georga miało charakter, przynajmniej z boku tak to wyglądało, jeśli nie histeryczny, to w każdym razie czołobitny. Nigdy nie odważyłem się tam pójść, za bardzo przypominali sektę; myślałem, że trzeba mieć ogromną wiedzę, by stać się ich częścią. To było piękne, że najwybitniejszy poeta w kraju wycofał się, przestał pisać wiersze i zaczął uczyć studentów niższych lat literatury skandynawskiej. I że można go było widywać i myśleć: oto Georg. Wszystko, co uczyniło z niego wielkiego poetę i błyskotliwego krytyka społecznego, nieprzeciętnego człowieka, takiego jak na przykład Jens Bjørneboe, w sztuce retoryki prawdopodobnie tak biegłego, że kiedy dochodziło do dyskusji, stawała się ona bezsensowna; lepiej już uczyć młodzież, zebrać część z niej wokół siebie i dyskutować na tematy, które cenił wysoko. To wszystko otaczało go tamtej soboty, gdy niemal drżąc z przejęcia, zobaczyłem go idącego w stronę Centrum Studenckiego, gdzie mieliśmy się spotkać. Gdy podszedł do mnie, przedstawiłem się i podaliśmy sobie rękę. I właśnie wtedy, w tamtej chwili, zrozumiałem, kim był, a raczej co było jego

kwintesencją. Miał najczulsze oczy, jakie kiedykolwiek widziałem. Były pełne smutku i wszystko absorbowały. W drodze do Hulen byłem tak wstrząśnięty, że nie mogłem myśleć o niczym innym. On sam mówił przez cały czas, mówił bez ustanku, przyjaźnie i trywialnie, i rozumiałem, że to jego sposób radzenia sobie z życiem. Był tak blisko świata i tak blisko innych ludzi, i tak pełen uczuć, że – aby sobie z tym poradzić – musiał stale i niezmiennie trzymać się na dystans od wszystkiego i wszystkich. Gdy szliśmy do klubu, właśnie to robił, mówiąc i nie dopuszczając mnie do głosu, mimo że tego chciałem, jakby musiał odwrócić kierunek ruchu do wewnątrz, tak że wszystko wchodziło do środka, z podobnie silnym ruchem na zewnątrz. I cała jego estetyka, z akcentem na to, co klasyczne, racjonalne, rzeczowe, suche i nieidentyczne, niesentymentalne, nieuczuciowe i trzeźwo wyważone, była również sposobem na to, by przetrwać. W tym, co zewnętrzne, szukał wszystkiego, co stało w sprzeczności z jego wnętrzem. W tej dynamice, tej równowadze, która nie jest niczym niezwykłym – widziałem oczy innego pisarza, Olego Roberta Sunde, które również są ekstremalnie uczuciowe. Wiem, jak on pisze: tworzy świat widziany przez odwrotną stronę lornetki. W efekcie powstaje coś, co jest niezwykle i co charakteryzuje absolutnie najlepszą literaturę: ekstaza trzeźwości.

Szczoteczki do zębów

Szczoteczki do zębów całej rodziny stoją w kubku w łazience, włosiem do góry, przypominając odrobinę kwiaty w wazonie, z rączkami zamiast łodyg i szczoteczkami zamiast kielichów kwiatów. Ale ich wymowa jest, oczywiście, zupełnie inna. Wazon z kwiatami emanuje świeżością – tak niedawno zostały pozbawione swoich korzeni, że wciąż charakteryzuje je wilgotny blask życia. Z tą pewnością, że można podziwiać je w pełnej krasie tylko wtedy, kiedy są świeże, szczoteczki do zębów nie mają nic wspólnego, ponieważ są wykonane z plastiku i sztucznego włókna, które nie rozłożą się przez setki lat. Poza tym wazon z kwiatami wnosi powiew wolności i dzikości świata spoza czterech ścian domu, a szczoteczki do zębów są produktem przemysłowym i ich domeną jest wnętrze; rzadko opuszczają łazienkę, która jest najbardziej zamkniętym ze wszystkich pomieszczeń w domu, i służą do mycia zębów w jamie ustnej, która tworzy pewnego rodzaju pokój w pokoju. A mimo to, gdy widzę kubek ze szczoteczkami do zębów stojący na umywalce, myślę właśnie o wazonie z kwiatami, odwróconym, zanegowanym, tworzącym niejako antyobraz piękna i wolności, który ma jednak nikły udział zarówno w tym, co piękne – dzięki kolorom, syntetycznej zieleni, syntetycznej niebieskości, syntetycznej żółci; dzięki szczoteczkom, sztuczному włosiu, sztywnemu, a mimo to elastycznemu, charakteryzującemu się nieskończenie trwałą nieorganiczną bielą – jak i w tym, co wolne, dzięki przytłaczającej liczbie szczoteczek na świecie i przypadkowemu umiejscowieniu pojedynczej szczoteczki do zębów w tym istnym zalewie krewnych, co przypomina stosunek pojedynczego kwiatu do bujnej obfitości, z której się wywodzi. Nasze dzieci to rozpoznają, bo chociaż wyjątkowo skrupulatnie strzegą swojego prawa własności do wszystkiego, co posiadają, i nie pozwalają innym używać niczego bez wcześniejszej zgody – czasem udzielanej dopiero po długich pertraktacjach, często wywołujących silne emocje wyrażane krzykiem, piskiem, łzami, prośbami – są całkowicie obojętne, jeśli chodzi o szczoteczki do zębów. Nawet wtedy, gdy dostawały swoją pierwszą szczoteczkę, poczucie własności rozplywało się, gdy tylko szczoteczka lądowała w bukietcie razem z innymi. Kiedy, ociągając się, idą wieczorem do łazienki, ich mowa ciała wyraża niechęć, bo nie chcą się kłaść spać, a mycie zębów jest jednoznacznym sygnałem, że wieczór się skończył i czas do łóżka; wyciągają z kubka pierwszą lepszą szczoteczkę, różową, jasnoniebieską, szarą, białą, to nie ma żadnego znaczenia, wyciskają odrobinę pasty na włosie i zaczynają szczotkować zęby mechanicznymi, roztargnionymi ruchami, robiąc jednocześnie mnóstwo innych rzeczy: przyglądają się sobie w lustrze, przeczesują włosy palcami, przypatrują się swoim stopom, drapią się po brzuchu, odkręcają kurek z wodą. Jakaś część mnie

protestuje przeciwko temu, uczucie, które wzbudza we mnie dzielenie się szczoteczką, ma związek z brakiem higieny, bałaganem, zamieszaniem, chaosem, szwankującym zdrowiem. Przypomina uczucie, które ogarnia mnie, kiedy czytam, jak w dawnych czasach w rodzinach chłopskich jadano kaszę z tej samej miski lub jak puszczano w obieg misę z piwem, by każdy mógł się napić. To uczucie jest całkowicie irracjonalne, ponieważ jako rodzina i tak żyjemy blisko siebie: korzystamy z tej samej toalety, jemy te same potrawy, siedzimy na tej samej kanapie, czasem śpimy w tych samych łóżkach, czeszymy się tymi samymi szczotkami i wycieramy ręce w te same ręczniki; gdy jedno zachoruje, wkrótce zarażają się pozostali.

A jednak, dzieci chyba nie powinny dzielić się szczoteczkami do zębów?

Dość często przyglądam się naszemu życiu z perspektywy Urzędu Ochrony Praw Dziecka lub pomocy społecznej. Czy w naszym domu nie panuje zbyt duży bałagan? Czy nie powinniśmy już zmienić pościeli? Kiedy dzieci się ostatnio kąpały? Ile krzywdy wyrządziłem ich psychice, gdy ostatnim razem byłem tak wściekły, że krzyczałem na całe gardło, chwyciłem jedno z nich za kark i wepchnąłem do pokoju?

Dość często wyobrażam sobie, że przedstawiciel tych służb stoi obok mnie i notuje to, co się tutaj dzieje. Widzę jego notatki sporządzone czerwonym tuszem: „Tłuste włosy. Brudne paznokcie. Jedno z dzieci złości się o byle co, nie kontroluje agresji. Drugie jest milczące, markotne, brak komunikacji. Poza tym dzielą się szczoteczkami do zębów. Umieścić w rodzinie zastępczej?”.

Gdy ja dorastałem, każde z nas miało swoją szczoteczkę do zębów, nikt nie miał żadnych wątpliwości, czyja jest czyja, i było zupełnie nie do pomyślenia, by użyć cudzej. Mieliśmy również stałe dni kąpieli, rozpiska wisiała na drzwiach, i jeśli się nie mylę, ja kąpałem się w poniedziałki i czwartki. Szczoteczki do zębów kojarzyły mi się wówczas częściowo z czterema nastolatkami przesiadującymi przed stacją benzynową, a częściowo z czterema końmi wychylającymi łeb za ogrodzenie. Szczoteczkę do zębów wiązałem przede wszystkim z przykrym obowiązkiem, chyba bardziej niż cokolwiek innego, bo jaką inną nudną czynność człowiek musi wykonywać z niechęcią dwa razy dziennie przez całe życie? Z czasem szczoteczka zaczęła mi się również kojarzyć z kłamstwem. Z moim pierwszym razem, gdy świadomie okłamałem ojca. Pamiętam, jakby to było wczoraj, ponieważ było to coś absolutnie niesłychanego: była zima, miałem dziesięć lat, siedziałem na krześle w kuchni, a ojciec przygotowywał jedzenie i nagle spytał, czy umyłem dzisiaj zęby, a ja, po kilku sekundach zastanowienia, odpowiedziałem, że nie pamiętam, chociaż pamiętałem doskonale, że ich nie umyłem, więc to było kłamstwo. Ojciec odparł, że w takim razie muszę je umyć jeszcze raz, żeby mieć pewność. Zrobiłem to, ale wtedy odkryłem, że o pewnych sprawach można kłamać bez ryzyka, że kłamstwo się wyda. Od tamtej pory

mogłem mówić, że umyłem zęby, chociaż tego nie zrobiłem. I od tamtej pory to, że nie umyłem zębów, kojarzyłem z wolnością. Oczywiście, to jest powód, dla którego moje zęby są tak przebarwione i tak żółte, i dlatego przestałem je pokazywać, teraz zawsze uśmiecham się z zamkniętymi ustami, mało tego: zdarza mi się zasłaniać ręką usta, kiedy się śmieję.

Jaźń

Szczególną cechą życia, tym, co w sposób radykalny oddziela życie od nie-życia, żywą materię od martwej, jest wola. Kamień nie chce nic, żdźbło trawy chce czegoś. A tym, czego chce życie, co oddziela je od nie-życia prawdziwą przepaścią, jest więcej życia. Bez tej woli pierwsze życie po prostu by wymarło, więc wola, by życia było więcej, musiała istnieć od zarania dziejów, prawdopodobnie jako konstytutywny składnik tego, wówczas nowego, zjawiska. Gdy komórki zbierały się w większe skupiska, co stanowiło inną konsekwencję woli, by życia było więcej, coś musiało koordynować ich działania, musiała pojawić się jakaś forma komunikacji między poszczególnymi członami. Z tych sygnałów lub impulsów wykształciły się głód i ból, które najprawdopodobniej były pierwszymi uczuciami, oraz koordynacja komórek w stosunku do tych dwóch uczuć. Podstawa jaźni musi znajdować się właśnie tutaj, w przestrzeni między pożądanym a jego spełnieniem, między bólem a unikaniem go, bo jest c o ś, co pożąda i chce, i jest c o ś, co boli i nie chce. Co to takiego?

Na początku jaźń nie mogła być niczym więcej niż mglistym wyobrażeniem zasięgu, tego, co wewnętrzne i zewnętrzne – dla większości stworzeń chyba nadal tym właśnie jest. Natomiast ta gałąź życia, do której my należymy, razem z psami, kotami, małpami i świniami, przez tysiące lat otwierała się na ciągle nowe ścieżki sensoryczne i ciągle nowe możliwości poruszania się, co wymagało coraz większej koordynacji. Dowodem tego jest budowa mózgu, w którym wszystko to leży pozwijane w warstwach ewolucyjnych. Również jaźń się rozwijała, to znaczy stale dostarczano jej nowych komponentów. Ale to, co pierwotne, nadal się tam znajduje. Dzięki prostym eksperymentom, niemal iluzjonistycznym, można sprawić, by mózg powiększył swoją domenę, by uwierzył, że granice ciała przebiegają dalej niż w rzeczywistości, i w ten sposób nakłonić go do tego, by czuł ciało tam, gdzie go nie ma. Bóle fantomowe, gdy mózg nadal czuje amputowane części ciała, można wytłumaczyć tym, że stare połączenia nerwowe są budzone do życia, bo przecież one wciąż istnieją, chociaż ręki lub nogi już nie ma. Jednak odczuwanie nowego obszaru poza granicami ciała jako części siebie jest czymś innym, czymś, co pokazuje, jak kluczowe pozostaje poczucie zasięgu i na jak prymitywnym i kruchym fundamencie spoczywa tożsamość.

O ile poczucie rozmiaru jest w jaźni pierwotne, o tyle poczucie jednolitości jest wtórne. Chociaż ból z punktu widzenia ewolucji ma źródło w najwcześniejszych warstwach mózgu, niebezpieczne dla tożsamości jest to, że nie jest tak postrzegany – to znaczy jakby pochodził z prostszej i prymitywniejszego miejsca, jak coś obcego i gadziego – lecz przeciwnie: jest doświadczany jak równie istotna, współczesna i pełnoprawna część jednostki. To

poczucie homogeniczności musiało mieć decydujące znaczenie, by organizm mógł przejść od fazy jednokomórkowej do wielokomórkowej, i od tamtej pory mocno się trzyma dzięki rozwojowi coraz większej biologicznej złożoności stworzeń. To, że poczucie homogeniczności nie ma żadnego miejsca, żadnego punktu, do którego można by je odnieść, lecz należy niejako do całego ciała, choć ma swoje źródło w mózgu i jego aktywności, doprowadziło do rozdziału ducha od materii, duszy od ciała, ponieważ jedyne, czego poczucie jednolitości nie może objąć, to ono samo.

W świetle powyższego dziwi fakt, że największa część mózgu, kresomózgowie, składa się z dwóch części, z dwóch półkul, z których każda zawiera kompletny zestaw ośrodków percepcji i motoryki. W normalnych okolicznościach opiekują się obiema stronami ciała, lecz jeśli jedna zostanie uszkodzona, druga może przejąć jej funkcje. Półkule mózgowe komunikują się przez tak zwane ciało modzelowate, przez które przechodzą pęczki włókien nerwowych. Gdyby ciało modzelowate zostało zniszczone, a włókna nerwowe przerwane, powstałby organizm z dwoma niezależnymi od siebie mózgami, z których każdy miałby własną wolę. Nie wiedziałyby o sobie nawzajem i każdy próbowałby kontrolować całe ciało. Poczucie rozmiaru byłoby prawdopodobnie nietknięte, w przeciwieństwie do poczucia homogeniczności, ponieważ powstałby człowiek o dwóch wolach i dwóch jaźniach. Czy ten człowiek czułby przynależność do jednej jaźni? Czy czułby, że reprezentuje ona jego duszę, a druga jaźń byłaby mu obca? A może używałby ich zamiennie: raz jednej, raz drugiej? Bawimy się tym rozszczepieniem w thrillerach, z doktorem Jekylllem i panem Hyde'em jako sztandarową postacią, co mówi wiele o tym, jak uzależnieni jesteśmy od tego, by stanowić jedność dla samych siebie, ale chyba jeszcze bardziej dla innych. Posiadanie przyjaciela, kochanka lub dziecka, które zmienia osobowość, jest czymś niebezpiecznym. Gdy tak się dzieje, patologizujemy to i nazywamy schizofrenią lub chorobą afektywną dwubiegunową. Są to stany, w których jaźń abdykuje lub osłabia uścisk, w jakim trzyma swoje królestwo, pozwalając wszystkim elementom, które zawiera, całej złożoności duszy robić to, co jej się żywnie podoba. To jest ucieczka od pracy, którą jaźń winna wykonywać, a mianowicie łączyć wszystkie uczucia, impulsy, myśli i działania w jedną spójną całość, bez względu na to, jak bardzo były ze sobą sprzeczne w punkcie wyjścia. W tej walce jaźni, która rozpoczyna się z chwilą odstawienia niemowlęcia od piersi i przerwania tej symbiotycznej więzi łączącej je z matką i która trwa aż do śmierci lub do momentu, gdy cierpiący na demencję starzec zwolni uchwyt, chodzi wyłącznie o stworzenie opowiadania, na tyle elastycznego, by zmieścić wszystko w jednym życiu, ale także wystarczająco realistycznego i prostego, by funkcjonowało bez zarzutu, które nie cofnie się przed plagiatami, oszustwami, kłamstwami ani zaprzeczeniami oczywistych prawd: bo dla jaźni gra zawsze toczy się o życie.

Atomy

Pewnego wieczoru kilka tygodni temu siedziałem i przyglądałem się sekretarzowi stojącemu przy ścianie w pokoju obok gabinetu. Jest brązowy, zdobiony precyzyjnymi rzeźbieniami i prawdopodobnie pochodzi z końca dziewiętnastego wieku. Ale z czego się składa?, pomyślałem. Z drewna, to jasne, może bejcowanego, z metalowymi okuciami, śrubami i gwoździami. Ale z czego składają się drewno, bejca i metal? Wiedziałem, że z atomów. Mikroskopijnych, niewidzialnych cząsteczek, których jest tak dużo, że razem tworzą ten namacalny mebel.

Wstałem i postukałem w niego palcem, wysunąłem szuflady, zakołysałem nim.

Jak to możliwe?

Jeśli to o atomach było prawdą, jak mogły trzymać się razem, tworząc właśnie taki kształt? Co decydowało o sposobie, w jaki się łączyły? Jak to się działo, że atomy palca tworzyły palec i pozostawały w nim, a atomy plastiku tworzyły torbę foliową i pozostawały w niej? I jak wytłumaczyć fakt, że palec i torba foliowa były tak różne materiałowo? Folia przezroczysta, gładka i cienka, palec gruby, miękki na zewnątrz, a w środku najpierw elastyczny, a potem twardy? Co o tym decydowało?

Co stałoby się z atomami, gdyby torbę foliową wrzucono do ogniska? Folia by się stopiła, ale co by to oznaczało dla atomów? Gdy w korzeń mojego paznokcia wdała się infekcja, jaki był stosunek atomów żółtozielonej ropy do atomów palca? Co się wtedy działo, daleko, daleko, w głębi atomowego świata, w którym pojedyncze cząsteczki zapewne unosiły się w próżniach, które w porównaniu z nimi były ogromne?

Nagle zrozumiałem, że nic nie wiem o świecie, nawet tym najbliższym. Nie miałem zielonego pojęcia, z czego składa się to, co widziałem, ani dlaczego poszczególne rzeczy wyglądają tak, jak wyglądają, i mają takie cechy, jakie mają. Czym była czerwień? Nie wiedziałem. Czym było światło? Fotonami, oczywiście, ale czym są fotony? Czy można sprawić, by jakaś substancja zamieniła się w inną, tak jak niegdyś marzyli o tym alchemicy?

Nie miałem zielonego pojęcia, a świadomość tego, że nie wiem właściwie nic, sprawiła, że wpadłem w panikę. Wszedłem na Amazon, wyszukałem pozycje o atomach, fizyce cząstek elementarnych, radioaktywności, energii jądrowej, i zamówiłem wszystkie podręczniki na ten temat, które udało mi się znaleźć. Gdy kilka dni później przyszły książki, od razu zacząłem je czytać. W jednej z nich było napisane, że kropka na końcu zdania składa się z setek miliardów atomów węgla. Gdybyśmy chcieli zobaczyć jeden z nich, musielibyśmy powiększyć kropkę tak,

aby miała sto metrów średnicy. A gdybyśmy z kolei chcieli zobaczyć jeden z elektronów zawartych w atomie, kropkę należałoby powiększyć do dziesięciu tysięcy kilometrów.

Relatywizacja odległości, którą to za sobą pociąga, to, że elektrony w skrzynce pocztowej znajdują się równie daleko od elektronów mojego biurka, jak daleko ja znajduję się od gwiazd we wszechświecie, znosi wszystkie pojęcia dotyczące rozmiarów, bo kto wie, jak ogromny jest wszechświat? Równie dobrze może być maleńki. Równie dobrze może znajdować się w innym, większym wszechświecie, na przykład w postaci skrzynki pocztowej. A Droga Mleczna jest przecinkiem w zdaniu w gazecie, której jeszcze nie dostarczono. Bo również pojęcie czasu jest względne; cztery miliardy lat tutaj mogą trwać trzy minuty tam. Zarówno ruch w stronę subatomowego poziomu rzeczywistości, jak i ruch w kierunku nieskończoności czasoprzestrzeni czynią nas bezradnymi, i w świetle tego monoteistyczny Bóg wydaje się stanowić o wiele bardziej adekwatną odpowiedź na zagadki egzystencji niż nauka. Wszystko, co znajduje się poza możliwościami rozumu, podlega Bogu, którego imienia nie można wymienić, ponieważ Bóg znajduje się również poza językiem, a mimo to jest obecny w nas, skoro zostaliśmy stworzeni na Jego obraz. Istnieje relacja, pozawerbalna, i kiedy zwracamy się ku Bogu, czujemy ją przez niespotykaną pełnię uczuć, która łączy nas ze wszystkim, co jest, wszystkim, co było, i wszystkim, co będzie. Jednak tego, czego się nauczyliśmy, nie da się oduczyć. Teraz żyjemy w rzeczywistości atomów, samotni w świecie.

Loki

Loki był według Snorriego^[10] bardzo piękny, bardzo przebiegły i bardzo perfidny. Nie był bogiem, należał do olbrzymów, ale ponieważ w początkach świata zawarł z Odynem braterstwo krwi, mógł przebywać wśród bogów i był traktowany jak jeden z nich. Loki nie był częścią nordyckiego kultu, nie istniały żadne ołtarze ofiarne nazwane jego imieniem, a mimo to stanowił jedną z najważniejszych postaci mitologii nordyckiej. Nadawał bieg sprawom, często robiąc rzeczy, których absolutnie nie powinno się robić, zakazane i niszczące. Zasłynął głównie tym, że doprowadził do śmierci Baldura, syna Odyna, i w ten sposób uruchomił ciąg zdarzeń prowadzących do upadku świata w czasie ragnarök. Wszystko zaczyna się od tego, że Baldurowi śni się własna śmierć. Odyn udaje się do Hel, córki Lokiego i władczyni krainy zmarłych, by dowiedzieć się, czy sen ulubieńca bogów jest proroczy. Gdy słyszy, że naprawdę spodziewają się tam Baldura, wraz z resztą bogów każe przysiąc wszystkim żywym istotom, że nie uczynią Baldurowi krzywdy; przysięgi tej nie składa tylko jemiola, którą Loki wręcza niewidomemu bratu Baldura, Hodurowi. Ten podczas zabawy ciska w brata wykonaną z jemioly strzałę i Baldur umiera. Ponieważ do tej pory bogowie nie znali śmierci, ich świat zaczyna się rozpadać, ale to pęknięcie było tam przez cały czas w postaci Lokiego, pochodzącego z zewnątrz, z Utgardu, którym rządzi to, co niedokończone, niezdefiniowane i chaotyczne. Loki wnosi to ze sobą do uporządkowanego świata bogów, w ambiwalencji, która dotyczy również jego ciała – Loki przemienia się w fokę, łososia, ptaka, klacz, w której postaci rodzi źrebię, i w ten sposób przekracza granicę nie tylko między postacią ludzką i zwierzęcą, lecz także między mężczyzną i kobietą, ojcem i matką. Śmierć nieśmiertelnego Baldura jest początkiem końca, wkrótce świat ulegnie zagładzie i wszyscy bogowie zginą w straszliwej ostatecznej bitwie, kiedy słońce stanie się czarne, ziemię pochłonie morze, brat podniesie rękę na brata, wilki będą rozrywać ciała, a statek zbudowany z paznokci zmarłych wyłoni się spośród fal, z Lokim za sterem. Wszystko to opisują pieśni *Eddy*, ale krótko i zwięźle, jakby oświetlały niewielkie obszary większej rzeczywistości. W wielu z nich Loki, podobnie jak pozostałe postaci, jest przede wszystkim sprawcą, inicjatorem działań, z pewnymi określonymi cechami związanymi ze swoim imieniem. Istnieje jednak jeden doskonały wyjątek, gdy Loki wkracza na scenę w pełnym oświetleniu, z psychologiczną złożonością, obcą pozostałym mitologicznym opowiadaniom. Pieśń nosi tytuł *Kłótnia Lokiego*, akcja rozgrywa się po śmierci Baldura, ale przed ragnarökiem. Bogowie przybywają na ucztę do olbrzyma Agira, władcy mórz. Loki jest jednym z gości, ale nie mogąc znieść tego, że wszyscy obsypują pochwałami służących Agira, Fimafengura i Eldira, zabija Fimafengura i zostaje stamtąd

wygnany. Pieśń rozpoczyna się od powrotu Lokiego. „Potem wszedł Loki do hali, a gdy ci, co tam byli, zobaczyli, kto wszedł, umilkli wszyscy”^[11]. Loki zdaje się tego nie zauważać. Pyta jedynie, z lekką pogardą, dlaczego milczą, jakby nie mogli wykrztusić słowa. Zaproście mnie do stołu lub każcie wyrzucić za drzwi, mówi. Wie doskonale, że nie mogą go wyrzucić, muszą go tolerować, stąd bierze się jego pewność siebie. Loki zawarł z Odyńem braterstwo krwi, więc nikt nie może mu zabronić udziału w uczcie. Rozpoznawalność tej sceny jest ogromna. Gość, którego nikt nie chce znać, niemiła i uciążliwa postać, często pijana, której towarzystwo mimo wszystko trzeba znosić, ponieważ jest spokrewniona z innymi obecnymi lub z nimi zaprzyjaźniona – któż tego nie zna? Loki uczynił coś niesłychanego, a teraz siada przy stole, jakby nic się nie stało, i ta wrogość, którą wyczuwa, ta nienawiść i pogarda, którą dostrzega w spojrzeniach biesiadników, nie wywołują w nim wstydu ani poczucia winy, wręcz przeciwnie: prowokują go, pobudzają do działania, sprawiają, że przechodzi do ataku. Mówi najgorsze rzeczy o wszystkich obecnych. Mówi to, czego się nie mówi na głos, a o czym wszyscy wiedzą, że jest prawdą. O Idunn mówi, że współżyła z zabójcą swojego brata. O Bragim mówi, że jest największym tchórzem spośród wszystkich bogów. O Odyńie mówi, że w przebraniu czarownicy latał między ludźmi, i używa słowa określającego pasywną stronę w związku homoseksualnym, by wyrazić swój stosunek wobec poczynąń Odyńa. W ten sam sposób obraża Heimdalla. O Frei mówi, że wszyscy obecni na uczcie byli jej kochankami. O Njordzie mówi, że ma dziecko z własną siostrą. Do Skadi mówi, że zabił jej ojca. A do Frigg, matki Baldura, zwraca się: „Jeszcze chcesz, Frigg, bym ci więcej mówił słów, które cię dotkną: otóż ja to sprawiłem, że Baldura nigdy już nie zobaczysz”^[12]. Po tej rundzie obelg, z których żadna nie była nieprawdą, a mimo to każda brzmiała jak oszczerstwo, zjawia się Thor, a wraz z jego przybyciem warstwa realistyczna zostaje zniesiona i następuje powrót do warstwy mitologicznej. Thor wyrzuca Lokiego, który ucieka i przemienia się w łososa, by ukryć się przed bogami w wodospadzie Frananger, ale zostaje znaleziony, związany jelitami własnego syna i przykuty do skały, pod wężem, z którego pyska sączy się jad. Żona Lokiego, Sigyn, trzyma misę nad jego twarzą, ale za każdym razem, kiedy ją opróżnia, krople jadu spadają na Lokiego, którym wstrząsają tak gwałtowne konwulsje, że cała ziemia się trzęsie. I to tłumaczy występowanie trzęsień ziemi. Kiedy to się dzieje, trudno powiedzieć, ponieważ czas mitologiczny jest również ambiwalentny, jakby przeszłość, teraźniejszość i przyszłość leżały obok siebie i jakby to, co jeszcze się nie wydarzyło, wpływało na to, co dzieje się teraz, równie mocno jak na to, co już się wydarzyło. Ale skoro trzęsienia ziemi nadal się zdarzają, musimy znajdować się gdzieś pomiędzy śmiercią Baldura a ragnarökiem. To, co niesłychane, już się wydarzyło: bogowie odkryli, że są śmiertelni, lecz konsekwencje tego jeszcze się nie ujawniły. Brak równowagi w świecie jest nadal niewidoczny, jak kruchość lodu

na chwilę przed pierwszym pęknięciem.

Cukier

Cukier to małe białe kryształki, które trzeszczą między zębami, rozpluwają się na języku i mimo swojego niepozornego wnętrza wypełniają jamę ustną równie charakterystycznym, co wysoce pożądanym smakiem; są słodyczą w najczystszej formie, tak, samą słodyczą. Wiedząc, że składniki cukru zawarte w cukrze są bardzo szybko pobierane przez krew i dostarczają organizmowi natychmiastowej energii, zupełnie jakby w ciało wstąpiły nowe siły, trudno się dziwić, że paczki cukru znajdują się w każdym domu. Jednak w ciągu ostatnich lat stosunek do cukru się zmienił: od relatywnie neutralnej używki do czegoś, czego należy unikać. Mimo to kilogramowa paczka cukru nadal stoi w szafkach kuchennych na całym świecie, choć jako jedyny z przechowywanych w nich produktów jest stygmatyzowany. Ani mąka pszenna, ani drożdże suszone, ani płatki owsiane, ani proszek do pieczenia nie budzą takiej niechęci, żadne z nich nie jest traktowane jako nośnik niskiej jakości życia, jako coś niezdrowego i niemoralnego, jedynie cukier ma tak złą prasę. Dlaczego? Jak coś tak czystego, białego i bezwarunkowo dobrego jak cukier może stać się czymś podejrzanym, i to niemal z dnia na dzień?

W latach siedemdziesiątych, gdy dorastałem, cukier był wszędzie, nie istniały żadne lub prawie żadne ograniczenia w jego stosowaniu, w każdym razie nie w naszym sąsiedztwie. To, czym smarowało się kanapki na śniadanie, lunch i kolację, często opierało się na cukrze: Nøtte, Nugatti, Sjokade, Banos, Sunda^[13], dżemy i syropy owocowe. Herbatę słodziłem trzema lub czterema łyżeczkami cukru, posypywałem cukrem kaszę, naleśniki i gofry. Cukier był w sokach i napojach gazowanych, w ciastkach i bułkach maślanych, w gumach do żucia i batonikach. Pamiętam, że wielu kolegów z klasy przynosiło kanapki z białego pieczywa z cukrem, a nasi dziadkowie z obu stron potrafili ssać kostki cukru, pijąc kawę. Z cukrem rzecz miała się podobnie jak z benzyną, którą w tamtych czasach również szastano i która, tak jak cukier, wywołuje teraz poczucie winy. Lata siedemdziesiąte należały do benzyny i cukru, to były złote lata niewyszukanego i niewinnego konsumpcjonizmu, niewątpliwie mającego korzenie w kulturze biedy, z której wywodzili się nasi dziadkowie, a którą porzucili nasi rodzice. To była kultura oszczędzania, nie z wyboru, lecz z przymusu, a w niej cukier był prostym i tanim źródłem radości. Gdy nastały czasy bogactwa, z różnicowaniem dóbr i afirmacją tego, co kosztowne, a co w kulturze pieniądza oznacza rzeczy trudno dostępne, rzadkie i unikatowe, ani dla benzyny – która lała się wartkim strumieniem do wnętrza żarłocznych maszyn lat siedemdziesiątych, przekształcana w prymitywną siłę i prędkość – ani dla cukru, z jego prostą formą, masową dostępnością i niewymagającym wysiłku przesłaniem, nie było miejsca innego niż na zewnątrz, u innych, u mas, które, podobnie jak cukier, w kulturze pieniądza

również nie były różnicowane, lecz zwracano się do nich jak do czegoś bliżej nieokreślonego, pozbawionego twarzy i podklasowego. To, że te masy zorganizowały się i utworzyły własną partię, było jedynym rzeczywistym novum w życiu politycznym lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. To, że ten ruch polityczny, który przyjął nazwę Partia Postępu, walczył między innymi o niższe ceny benzyny, nie było oczywiście żadnym przypadkiem, ani to, że ich pierwszy postępowy lider, Carl I. Hagen, wywodził się z branży cukrowniczej. I dlatego logiczne jest, że Partia Postępu, z jej programem i wyborcami, jest postrzegana przez elitę społeczeństwa, nośnik wartości i kultury, mniej więcej w ten sam sposób jak cukier i benzyna: jako krótkowzroczna, niszczycielska, niemoralna, niechciana. Tak samo logiczne jest to, że benzyna i cukier na poważnie zaczęły wchodzić w fuzję mniej więcej w tym samym czasie, w którym Partia Postępu zaczęła się rozrastać; mam na myśli stacje benzynowe, które teraz, kiedy członkowie Partii Postępu zasiadają w rządzie, wyglądają jak wielkie świecące pałace z cukru, wypełnione po brzegi bułkami z rodzynekami, bułkami maślanymi, bułkami z czekoladą i karmelem, paletami napojów i wszystkim, co smaczne i słodkie, a co tylko można sobie wyobrazić.

Listy do nowo narodzonej córki

29 STYCZNIA. Siedzę w sali szpitalnej w Helsingborgu, na krześle pod oknem. Jest noc, Linda śpi na łóżku w głębi pokoju, a Ty leżysz w inkubatorze obok mnie, pod kocykiem, ubrana w biały pajacyk i białą czapeczkę, i śpisz. Urodziłaś się wczoraj wieczorem i wszystko poszło dobrze, chociaż przyszłaś na świat ponad miesiąc za wcześnie. Jesteś cała i zdrowa, i nie masz stopy końsko-szpotawej! Zarówno pielęgniarki, jak i lekarz zbadali dokładnie Twoje stopy, wszystko jest z nimi w porządku. Po tym, jak się urodziłaś, czuwałaś może przez godzinę; wpatrywałaś się we mnie tymi swoimi małymi czarnymi oczami, gdy ubierałem Cię w pajacyk, podczas gdy Twoja mama leżała wycieńczona na łóżku i przyglądała się nam. Przytuliłem Cię do piersi, jedną ręką podtrzymując Twoją główkę i kark, drugą resztę ciała, które skuliło się i było tak małe, że moja dłoń przykrywała je niemal w całości. Czułem się tak, jakbym obejmował zwierzątko. Gdy poczułem ciepło bijące od Ciebie i gdy poczułem Twój zapach, tak miły i tak podobny do zapachu Twojego rodzeństwa, gdy byli noworodkami, ogarnęła mnie nieopisana radość, nieporównywalna z niczym innym. Od tamtej pory głównie śpisz. Ja też zaraz się zdrzemnę, tuż obok Ciebie. A jutro pojedę po Twoje siostry i brata, którzy zobaczą Cię po raz pierwszy.

Wody odeszły w środku nocy, a ponieważ stało się to przed terminem i ponieważ musiałem zostać w domu z dziećmi, Linda została odwieziona do szpitala karetką. Bała się, gdy siedziała i na nią czekała, była chyba druga nad ranem, pustą ulicę oświetlała żółta poświata latarni ulicznych, odbijając się od leżącego na poboczu śniegu. Karetka przemknęła za naszymi oknami, miękko i bezgłośnie, Linda włożyła dużą puchową kurtkę, odebrała ode mnie torbę, którą spakowałem w dzikim pędzie, i stąpając powoli i ostrożnie, ruszyła w stronę karetki. Po odwiezieniu dzieci do szkoły zadzwoniłem do mamy Lindy, a gdy się zjawiła, pojechałem do szpitala. Lekarze chcieli wykonać cięcie cesarskie następnego dnia, ale odważna położna, która tego wieczoru miała dyżur, przekonała Lindę do porodu naturalnego, twierdziła, że nie ma żadnego powodu, by zakończyć ciążę operacyjnie. Wkrótce Linda leżała z elastyczną taśmą wokół brzucha. Sala była kliniczna i pełna specjalistycznego sprzętu, łóżka regulowane, metalowe, przed zlewem dwa dozowniki: jeden ze środkiem dezynfekującym, drugi z mydłem. Gdy niedługo potem skurcze nasiliły się i poród rozpoczął się na dobre, wszystko to zniknęło. Linda klęczała, wisząc nad krawędzią łóżka. Przy każdym skurczu chwytiała maskę z gazem rozweselającym i oddychała do niej głęboko. Czasem do niej krzyczała. Zupełnie jakby przez jej ciało przetaczały się fale, a ona poddawała się ich rytmowi jak w transie, który przenosił ją niejako w inne miejsce, z bólu, ciała, ciemności. Jej krzyki były głuche i jakby bezkresne,

bez początku ani końca. Z czasem stawały się coraz głębsze, bardziej zwierzęce, zawierające tak ogromne cierpienie i rozpacz, że to, co robiłem – obejmowałem ją ramionami i przyciskałem swój policzek do jej twarzy albo masowałem jej plecy – było zaledwie małymi bezradnymi zmarszczkami na powierzchni głębiny, w której się znajdowała. Była w samym środku czegoś, w miejscu, do którego nie miałem dostępu, które mogłem obserwować jedynie z zewnątrz, a jednak zmieniło ono całkowicie również mnie, było jak tunel, w którym to, co materialne, ginęło w mroku: to były uczucia, które ujawniły się i oładnęły mną, patrzyłem na wszystko przez ich pryzmat. Linda weszła na łóżko i położyła się na boku. Teraz już nie oddychała miarowo ani nie zdejmowała maski, kiedy fale bólu odpływały, tylko leżała i krzyczała na całe gardło, aż nie mogła złapać tchu – wtedy nabierała powietrza, jakby brała rozbieg, i znowu krzyczała z całych sił, i chociaż jej krzyk ginął częściowo w masce, był przeszywający i nieporównywalny z niczym, co do tej pory słyszałem. Chwilę później wysliznęłaś się na łóżko. Byłaś fioletowa, a gruba pępowina prawie całkiem niebieska. Twoja główka była ściśnięta i błyszcząca od wilgoci, twarz pomarszczona, oczy zamknięte. Leżałaś zupełnie nieruchomo. Nie żyjesz, pomyślałem. Trzy położne podbiegły szybko do łóżka, wyfroterowały Twoje małe gładkie ciało i wtedy wydałaś pierwszy krzyk. Krótki i niepozorny, bardziej przypominał beczenie jagnięcia niż krzyk noworodka.

Dotąd nikt ani nic nie mogło Cię dosięgnąć, gdy leżałaś otoczona wodą w środku innego ciała, i przez kilka sekund pozostawałaś nietknięta również na świecie, leżąc jak martwa, zamknięta w sobie, nie oddychając ani nie otwierając oczu, ale nagle poczułaś dotyk i wtedy nabrałaś powietrza, nie bez bólu, jak sądzę, a świat wpłynął w Ciebie szerokim strumieniem.

LUTY



Jamy

Spora część aktywności człowieka polega na tworzeniu jam, to znaczy na budowaniu ścian i podłóg tam, gdzie wcześniej nic nie było, i to zarówno w dużej skali, czego przykładem są domy, budynki fabryk i stadiony piłkarskie, jak i w małej, w postaci filiżanek, szklanek, pudełek, kasetek, puszek, szkatulek, skrzynek, dzbanków, pojemników, zbiorników, wazonów, toreb, worków, siatek, wiader. Jamy służą do przechowywania lub transportu stworzeń, przedmiotów lub cieczy. Największe jamy, domy, są najczęściej stacjonarne, te mniejsze zaś mogą się zwykle przemieszczać, chociaż jest taka różnorodność rozmiarów i funkcji jam, że również między statycznym domem a mobilnym pojazdem istnieją formy pośrednie, takie jak przyczepa kempingowa czy kamper. Wielkie jamy rzadko mają jednolitą strukturę, najczęściej stanowią skomplikowany system jam w jamach. Przestrzeń, którą tworzą cztery ściany, dach i podłoga, jest podzielona ścianami, sufitami i podłogami na mniejsze części, i w tych wydzielonych przestrzeniach, na przykład w kuchni, znajdują się nowe jamy, na przykład szafki, a w nich z kolei jeszcze mniejsze jamy, na przykład filiżanki. W przypadku stacjonarnych jam często jest tak, że im są większe, tym lepsze; zamek uchodzi za wspanialszą jamę niż domek letniskowy, wielki stadion piłkarski robi większe wrażenie od małego, natomiast w przypadku jam mobilnych jest często na odwrót: im mniejsze, tym lepsze. Mała filiżanka jest ładniejsza od dużego kubka, ale duży kubek jest ładniejszy od wiadra. A najcenniejsze przedmioty w domu przechowuje się w maleńkich ozdobnych szkatułkach. Chęć i potrzeba tworzenia jam jest głęboko zakorzeniona i nie dotyczy wyłącznie ludzi. Ptaki budują gniazda, lisy i borsuki wykopują jamy, niedźwiedzie szykują gawry, wydry szalasy, mrówki mrowiska, niektóre gatunki pszczoł mieszkają w wydrążonych pniach drzew, inne budują gniazda, mureny ukrywają się w niewielkich grotach na rafach koralowych, niektóre skorupiaki chronią swoje miękkie ciała, wślizgując się do pustych skorup. Ale żadne inne zwierzę oprócz człowieka nie tworzy mobilnych jam. Małpa potrafi złączyć dłonie, tworząc miskę, wsunąć ją pod wodę i napić się z niej, ale z chwilą, gdy rozłącza dłonie, miska przestaje istnieć. To, że ludzie nauczyli się tworzyć przenośne jamy, oznaczało, że przestali podlegać wymogom krajobrazu, uniezależnili się od niego: by móc pić wodę, nie musieli już przebywać w pobliżu jej źródła, lecz mogli transportować ją w dzbanach lub skórzanych bukłakach i pić, kiedy chcieli i gdzie chcieli. Jednak ta wolność okazała się bronią obosieczną, ponieważ ludzie, którzy do tej pory żyli na otwartej przestrzeni, zaczęli wieść życie w zamknięciu, i to zjawisko w błyskawicznym tempie przybrało gigantyczne rozmiary. Teraz żyjemy niemal wyłącznie w jamach i jeśli opuszczamy jedną, wychodząc z domu, to tylko po to, by wejść do następnej, do samochodu, który

zawozi nas do trzeciej, do biura, a stamtąd przez supermarket z powrotem do domu, gdzie wracamy objuczeni plastikowymi jamami, pełnymi jam wypełnionych jedzeniem, które wkładamy do jam w kuchni – lodówki i szafek. Ba, nawet kiedy spełnia się nasze wielkie marzenie i opuszczamy Ziemię, robimy to w kapsule niewiele większej od samochodu. Zdjęcia stamtąd, zdjęcia Ziemi, przedstawiają zupełnie okrągłą niebieską kulę, na której nie jest widoczna ani jedna z tych miliardów małych jam. Ale one tam są i wpływają na nas bardziej niż cokolwiek innego, ponieważ mózg, którym myślimy, również znajduje się w jamie, a wszystkie nasze myśli są uporządkowane jak ubrania w szafie: spodnie na jednej półce, swetry na drugiej, a koszule i sukienki wiszą na wieszakach zaczepionych o drążek, który biegnie od jednej ściany do drugiej.

Rozmowa

Duża część komunikacji międzyludzkiej odbywa się pozawerbalnie. Wystarczy spisać słowa wypowiedziane podczas dowolnej rozmowy, by się przekonać, jak wielką rolę odgrywa kontekst; zdania, które padają, same w sobie są niekompletne, pełne wahania, luk, aluzji i nierzadko znajdują się na granicy absurdu. Dzieje się tak nie tylko dlatego, że rozmawiając, używamy całego ciała, by uczynić wypowiedź kompletną, i że w rozmowie zwracamy uwagę na wszystko, co pozawerbalnie wyrażają inne ciała, ale także dlatego, że sama rozmowa bardzo często dotyczy czegoś zupełnie innego niż temat, wokół którego pozornie się toczy. Rozmowa o czymś, co ma jasno określoną wartość, w której wypowiedziane treści są ważne i interesujące same w sobie, zdarza się tak rzadko, że ewidentnie nie jest celem obcowania między ludźmi. „Zauważyłem, że pada” jest dość często powtarzaniem zdaniem i oczywiście całkowicie bezsensownym, ponieważ każdy, kto je słyszy, może sam się o tym przekonać. „No coś ty?”, pada równie bezsensowna odpowiedź. Potem następuje pauza i rozmówca dodaje: „Jutro ma być trochę lepiej”. Czego naprawdę dotyczy ta rozmowa, trudno powiedzieć, dopóki nie wiemy, gdzie i kiedy miała miejsce, kto ją prowadził i jakie relacje łączyły te osoby. Jeśli rozmowa toczy się w dużym letnim domu przed południem, po imprezie, której uczestnicy wybrali się do pobliskiego nadmorskiego miasteczka, między dwiema osobami, które postanowiły zostać, żeby trochę odpocząć, może trochę poczytać, i które się wcześniej nie znały, ale właśnie teraz przebywają w tym samym pokoju – on stoi przy oknie i patrzy na zielony, błyszczący od deszczu trawnik, ciężkie szare niebo i gęste strugi deszczu wiszące jak lekko powiewająca zasłona, a ona, która do chwili, gdy on wszedł do pokoju, siedziała w fotelu i czytała, teraz wstała, podeszła do dużego pieca kaflowego w rogu pokoju i dorzuciła do ognia kilka szczap drewna, a w momencie, gdy on dodał, że jutro pogoda ma się poprawić, oderwała kawałek gazety i wsunęła go pod polana – wymiana zdań o pogodzie może stanowić próbę nawiązania nici porozumienia, tym bardziej że choć nie znali się wcześniej, nie są sobie całkowicie obcy, mają przecież wspólnych znajomych i są teraz razem. W takim wypadku wkrótce każde z nich rozejdzie się do swoich zajęć i zarówno rozmowa, jak i cała sytuacja zostaną zapomniane na zawsze. Ale jeśli poprzedniego wieczoru podczas imprezy ich spojrzenia spotykały się wiele razy, a mimo to nie zamienili ze sobą ani jednego słowa, tylko muskali się wzrokiem, rozmowa tocząca się następnego dnia w salonie – gdy ona pociąga zapalką po chropowatej drasce dużego pudełka zapalek, a on odwraca się i patrzy na nią, a ona czuje jego wzrok, chociaż kuca odwrócona do niego plecami i przykłada zapalkę do papieru, który natychmiast zajmuje się ogniem i zaczyna tlić się nikłym płomieniem – owa rozmowa będzie

miała inne znaczenie. Kiedy ona wrzuca palącą się zapałkę do pieca i wstaje, kilka razy nieświadomie przeciąga dłońmi po udach, napotyka jego spojrzenie, on uśmiecha się trochę niepewnie, zaciskając jednocześnie zwisającą wzdłuż boku dłoń, a ona dodaje: „Przynajmniej rolnicy się cieszą”, rozmowa przeradza się w coś, czego żadne z nich nie będzie chciało zakończyć, bo dzięki niej tych dwoje ma szansę się odnaleźć, a jeśli im się to uda, jej odpowiedź: „Przynajmniej rolnicy się cieszą” może stać się klasykiem w ich osobistej mitologii, a historię pierwszego spotkania będą przypominać sobie i od czasu do czasu również dzieciom, by wzmocnić więź, która z czasem nieubłagane słabnie, skoro te rozmowy, tak obojętnie brzmiące na papierze, koniec końców nie są naładowane niczym innym, lecz wyrażają to, co wyrażają: obojętność.

To, co lokalne

Gdy się dzisiaj obudziłem, ziemia była pokryta szronem, a wszystkie małe kałuże, które utworzyły się po ostatnich opadach deszczu, zamarły i wyglądały jak okruchy szkła na kamienistej ścieżce, z białymi postrzępionymi krawędziami. Gdy wstało słońce, krajobraz mienił się jak obsypany klejnotami. Mróz utrzymał się przez cały dzień, a pola i grunty, które mijalem, jadąc do szkoły po dzieci, były jak odmienione: do niedawna przesiąknięte wodą, pochłaniające niemal wszystkie kolory, uwalniające jedynie odrobinę spłowiałej żółci i bladej zieleni między ciężkimi brązami, teraz zaś jasne i wyraziste, a włochate warstwy szronu pokrywające wszystkie źdźbła i gałęzie iskrzyły się i lśniły pod bezchmurnym błękitnym niebem. Nocą, zanim wszedłem do domu, zatrzymałem się w ogrodzie i spojrzałem w górę, w ciemność podziurawioną światłem miriadów gwiazd. Pomyślałem o tym, o czym chyba wszyscy myślą, kiedy w gwiazdzisty zimowy wieczór spoglądają w niebo. We wszechświecie istnieje niezliczona ilość słońc, a wokół miliardów z nich krążą planety, więc na niektórych z nich musi chyba istnieć życie? Myślenie o kosmosie to często abstrakcyjne zajęcie – jeśli wyobrażamy sobie jedną z planet, zwykle patrzymy na nią z zewnątrz, tak jak ogląda się zdjęcia planet naszego Układu Słonecznego, na których ciała niebieskie są jakby zawieszane w pustej czarnej przestrzeni, o kształtach i kolorach przypominających marmurowe kulki. Gdy po raz pierwszy zobaczyłem zdjęcia zrobione na powierzchni planety, byłem wstrząśnięty. To był Mars, fotografie przedstawiały piaszczysto-skalistą równinę, która ciągnęła się w stronę góry wznoszącej się w oddali; światło było bladoszare, jak to bywa w jesienne przedpołudnie. Co było w tym tak wstrząsające? Zrozumiałem, że chodzi o miejsce, równie konkretne i fizycznie realne jak pokryty szronem ogród, w którym właśnie stałem i obserwowałem niebo. Zrozumiałem, że chodzi o to, co lokalne. Że duch miejsca, to, co Rzymianie nazywali genius loci, również się tam znajdował. Może właśnie tak powinniśmy wyobrażać sobie wszechświat? Nie jako coś obcego i abstrakcyjnego, z tymi wszystkimi powodującymi zawrót głowy liczbami, z niewyobrażalnymi odległościami, lecz jako coś bliskiego i znanego. Wiatr, który tworzy zaspę śnieżną pod nawisem skalnym gdzieś w Plejadach, powietrze pełne wirujących płatków śniegu, które w słabym blasku księżyców przypominają welon, i dźwięki, piskliwe, niemal jazgotliwe, kiedy wiatr przeciska się przez szczelinę. Drzwi, które uderzają o framugę w domu na pustynnej równinie w pobliżu Achernar, idealnie okrągłe jezioro w lesie na obrzeżach Kastora. To wspaniała myśl. Straszne byłoby natomiast to, gdyby gdzieś tam istniało życie, nie podobne do naszego, lecz całkowicie nadrzędne, gdyby tamtejsze istoty wiedziały coś, czego my nie wiemy, i po przybyciu na Ziemię rozsadziłyby

niejako cały nasz świat. Cała nasza sztuka, cała nasza nauka, cała nasza filozofia, mało tego: wszystkie wysiłki, by zrozumieć siebie samych i otaczający nas świat, z dnia na dzień straciłyby jakiegokolwiek znaczenie. Ale właśnie przyszło mi do głowy, że kiedyś tak było. Zaledwie kilkaset lat temu człowiek żył w przekonaniu, że poza nim istnieje siła, która wszystko wie i wszystkim steruje, i która nie pochodzi od ludzi. Dla tej siły to, co ludzkie, było nędzne, nieistotne, nieważne, bezwartościowe. Żaden człowiek nie wierzył, że jest w stanie pojąć tę tajemnicę, a ostatecznym celem wysiłków człowieka nigdy nie było jego własne życie ani świat społeczny: zarówno sztuka, nauka, jak i filozofia miały służyć tej sile. Pokora była bezdenna, a ten, kto upomniał się o swoje lub o to, co ogólnoludzkie, ginął na stosie. Nie wiem, co jest bardziej przerażające: stworzenie na małej planecie, które wielbi samo siebie, jakby nieskończoność nie istniała, czy stworzenie, które pali swoich współpracowników, ponieważ nieskończoność istnieje.

Patyczki kosmetyczne

Patyczki kosmetyczne to małe pręciki zakończone po obu stronach wacikami. Przypominają trochę miniaturowe pałeczki mażoretkowe albo małe wiosła. Używa się ich zwykle po to, by oczyścić ucho zewnętrzne; jeden koniec patyczka wsuwamy do ucha, obracamy nim delikatnie i wyjmujemy razem z żółtobrazową woskowiną przyczepioną do białego wacika. To samo robimy z drugim uchem, drugim końcem. Patyczkiem można czyścić pępek noworodka, zanim gnijący i brzydko pachnący kikut pępowny odpadnie; w takim przypadku nasączamy wacik odrobiną wody, żeby zmniejszyć tarcie i żeby wilgoć rozpuściła brud, który się tam zgromadził. W pudełku z patyczkami kosmetycznymi jest coś pociągającego, w każdym razie dla mnie; zawsze, kiedy mój wzrok padnie przypadkiem na przezroczyste pudełko w łazience, wyjmuję patyczek i pakuję go do ucha. Przyjemność nie wynika z samego dotyku, wacik jest tępy, suchy i może się wydawać nieprzyjemny dla skóry ucha, zwłaszcza jeśli jest się niezręcznym i trafi się w błonę bębenkową. Chrobotanie, które wypełnia czaszkę, także nie jest przyjemne. Ale nic takiego się nie zdarza, jeśli w uchu zalega dużo woskowiny: likwiduje ona suchość i wycisza dźwięki lub zmienia je, z głuchych w nieco lepsze, a ciało zaczyna odczuwać zadowolenie, które pogłębia się, kiedy człowiek wyciąga patyczek z ucha i stwierdza, że wacik jest pokryty ciemną, gęstą warstwą woskowiny. Dlaczego jest to tak przyjemne, że za każdym razem, kiedy widzę pudełko z patyczkami, czuję delikatne ukłucie pożądania, nie mam pojęcia. Ale pragnienie, by usunąć woskowinę, jest spokrewnione z innymi drobnymi, nieistotnymi, a mimo to istniejącymi i powracającymi pragnieniami, takimi jak obcinanie lub odrywanie paznokci u stóp, wyciskanie zaskórników, wyjmowanie drzazg z palców, opróżnianie z ropy zainfekowanego korzenia paznokcia. Czasem czuję, że czeka mnie coś dobrego, że wkrótce zdarzy się jakaś miła rzecz, chociaż nie pamiętam dokładnie co, aż nagle przypominam sobie, co to miało być, i czuję rosnące rozczarowanie: ta miła rzecz, której się spodziewałem, to tylko oczyszczanie uszu z woskowiny. A jednak robię to i przez tę krótką chwilę, którą mi to zajmuje, jest mi miło. Chociaż patyczki kosmetyczne są szeroko rozpowszechnione, znajdują się niemal w każdym domu, rzadko się o nich wspomina. Na pudełku nie ma też żadnej instrukcji obsługi, więc używając ich, jesteśmy zdani na siebie. Teraz, kiedy to piszę, przyszło mi nagle do głowy, że nigdy nie widziałem, jak robią to inni ludzie. Nikt też nie mówił mi, do czego służą patyczki kosmetyczne, ani nie dawał żadnych wskazówek. Może patyczki służą do czegoś zupełnie innego? Może wszystko mi się pokręciło? Może Ty, który to teraz czytasz, śmiejesz się ze mnie? Słyszeliście? Facet używa patyczków kosmetycznych do wyciągania woskowiny! Pisanie o sprawach intymnych jest

zawsze obarczone ryzykiem, bo można zostać wyśmianym, a niewiele rzeczy jest groźniejszych dla pisarza. W domu można zamknąć drzwi do łazienki, upewniwszy się, że nikogo w niej nie ma, zanim przystąpi się do intymnych czynności. Nie ma wtedy żadnego znaczenia, czy zachowujemy się śmiesznie, czy nie, bo i tak nikt się o tym nie dowie. A miłą stroną zabiegów pielęgnacyjnych, kiedy wyciskamy wągry, wyrywamy najdłuższe włoski z błony śluzowej nosa czy depilujemy brwi, jest właśnie to, że nikt nas nie obserwuje ani nie ocenia, włączając w to nas samych, po prostu stoimy zupełnie puści przed lustrem, przepelnieni spokojem samopielęgnacji. Niewykluczone, że pewnego dnia człowiek zostanie wyparty przez komputery i roboty, że sztuczna inteligencja będzie potrafiła stworzyć zarówno własną wolę, jak i samoświadomość, ale nigdy nie stworzy woskowiny ani patyczków kosmetycznych, włosów w nosie ani nożyczek do przycinania włosów w nosie, i dopóki tak jest, dopóki tylko my potrafimy uspokoić się manikiurowo, damy sobie świetnie radę.

Koguty

Przed południem wybraliśmy się na lunch do miejscowej cukierni Olof Viktors. Nie serwują tam ciepłych posiłków, za to słyną z dobrego pieczywa. Za oszkloną ladą leżały wyłożone kanapki, wybór niezbyt duży, ale za to ekskluzywne. Na części z nich piętrzyły się szyjki rakowe, na innych grube kawałki brie balansowały na różnych warzywach. Ponieważ miałem ochotę na mięso, nachyliłem się, żeby przeczytać informację na małej karteczce umieszczonej między kanapkami z warstwą mięsa. Mięso było jasne, równie dobrze mógł to być kurczak, indyk lub plaster pieczeni. Jednak napis brzmiał „tupp”, to znaczy kogut. Odrzuciło mnie, wyprostowałem się, czując, że straciłem apetyt. Dlaczego nie chciałem zjeść koguta? Nie mam żadnego problemu z jedzeniem kurczaka ani kury, na przykład w formie potrawki, ale kogut wzbudził instynktownie moją niechęć. Zamiast z mięsem z koguta zamówiłem kanapkę z brie i starałem się myśleć o czymś innym, gdy usiedliśmy w dużym, prawie pustym lokalu, mogącym pomieścić tłumy, które przewalają się tędy latem. Pola za oknami przykrywała cienka warstwa śniegu, spod której tu i ówdzie wystawała brązowa ziemia, prawie jak krew przesączająca się przez cienkie warstwy bandaża. Pewnie chodzi o to, że kogut ma wyraźną tożsamość, że tak bardzo się wyróżnia, pomyślałem. Kogut ma wydłużoną sylwetkę, w przeciwieństwie do przysadzistych i niemal okrągłych kur; kiedy kroczy, wyciąga szyję, jakby chciał mieć jak najlepszy widok, odwracając jednocześnie głowę to tu, to tam w nerwowym staccato. To sprawia, że wydaje się spięty, jakby w każdej chwili mógł eksplodować ruchem; prawdopodobnie z tego powodu w czasach starożytnych uchodził za symbol czujności. Kogut korzysta ze wszystkich przywilejów kurnika: nocą zajmuje najlepsze miejsce, najwyższą grzędę, a poza tym zapładnia kury i w ten sposób przekazuje dalej swoje geny. Ale ma to swoją cenę, bo zadaniem koguta jest również ochrona stada przed napastnikami, a przywileje przysługują mu jedynie z racji tego, że jest najsilniejszy, poza tym jego pozycji stale zagrażają młodsze koguty, które przystępują do ataku, gdy tylko poczują się wystarczająco silne. Takie walki kogutów są brutalne i krwawe, ponieważ w koguciej naturze dominuje jednotorowość, więc kiedy kogut walczy, nic innego się nie liczy poza pragnieniem zadania rywalowi ran i śmierci. Czerwony koguci grzebień ma coś z triumfalistycznego wydzwiku czuba z piór przy hełmie wojownika, dla którego zresztą mógł stanowić inspirację; nie na darmo w starożytnym świecie kogut był również symbolem waleczności. Grzebień nie przypomina wyłącznie czuba, rozszerza się i okrywa głowę wokół oczu jak hełm, po czym tworzy dwa workowate wyrostki, które zwisają pod dziobem. Ale choć te człekopodobne atrybuty mogą sprawiać, że koguta trudno zjeść, nie czynią tego niemożliwym, tak

czy siak opór szybko topnieje, jak w przypadku innego mięsa. W drodze powrotnej, mijając szerokie, uśpione pola, pomyślałem nagle, że z kogutem wiąże się również coś podziemnego. Coś podziemnego? Skąd mi się to wzięło? To chyba miało jakiś związek z wierszem Olava H. Haugego? Gdy wróciłem do domu, sięgnąłem po pełne wydanie jego poezji i przejrzałem spis treści. Po chwili znalazłem *Złotego kura*, który rozpoczyna się tak:

*I byłem od dawna martwy. Martwy w mojej skorupie,
i piałem jak złoty kur w Miklagardzie^[14].
Żyłem pod – słyszałem zgrzyty i odpowiedzi
i walczyłem z nimi; i głucho brzmiał skowyt zdradzonej duszy.*

Kogut w wierszu jest zagadkową figurą, kojarzącą się z zewnętrznym przepychem, może nawet z tanim efekciarstwem, ale także ze śmiercią i z tym, co podziemne. Miklagard przywiódł mi na myśl wikingów. To pierwsze zdanie wydawało mi się dziwnie znajome. „I byłem od dawna martwy...” To fantastyczne zdanie, jedno z najlepszych w całej historii norweskiej poezji, ale kilka tygodni temu przeczytałem je w innym miejscu. Znowu to mgliste skojarzenie z wikingami. Wziąłem do ręki *Eddę poetycką*. Znalazłem to zdanie w *Śmierci Baldura*. Wypowiada je Wölwa, która przebywa w królestwie zmarłych, Odyn przywrócił ją do życia, by dowiedzieć się, co oznaczają złe sny jego syna. Tymczasem w krainie zmarłych wszystko jest gotowe na przyjęcie wspaniałego gościa, którym, jak się okazuje, ma być właśnie Baldur. To oznacza, że zdanie Haugego zostało zaczerpnięte z *Eddy*, ale nie było tam przecież mowy o żadnych kogutach, więc skąd powiązanie ze światem podziemnym? Czy to był autorski pomysł Haugego? Coś mi mówiło, że nie, więc szukałem dalej, wertowałem książkę i wkrótce te stare, piękne teksty pochłonęły mnie bez reszty. Po południu, gdy znowu zaczął padać śnieg, odnalazłem staronordyckiego koguta w *Wieszczbie Wölwy*:

*...zapiał mu na drzewie
Ciemnoczerwony kogut, Fjalar zwie się.*

*Asom pieje Gollinkambi,
Budzi on wszystkich u Herjafadra,
Inny zaś pieje w głębi w podziemiach,
Jak sadze rudy, na salach Heli^[15].*

Czy to ten podziemny kogut, kogut piejący w głębi ziemi powstrzymał mnie od kupienia, z pewnością bardzo smacznego, kanapek w Olof Viktors? Nigdy się

tego nie dowiem, impulsy są rzadko powiązane z myślami, nie istnieje żadna kongruencja między uczuciem wstrętu a jego psychologicznym wytłumaczeniem. Tak czy inaczej, to przez cały czas gdzieś tam leżało, jak dźwięk, jak akord czegoś innego i mroczniejszego, ukryty pod jasnymi pojęciami świadomości „tupp”. A kiedy już dźwięk został zidentyfikowany, pojawiło się inne skojarzenie. Siostra mojej babci, Borghild Larsen, która mieszkała w Årdal w Jølster, w małym domu niedaleko miejsca, gdzie się urodziła i wychowała, opowiadała mi kiedyś, gdy siedzieliśmy na jej werandzie, spoglądając na rozległe, łagodne jezioro Jølstravatnet, że dawniej, gdy ktoś w nim utonął, do szukania zwłok używano koguta. Zabierano go na pokład łodzi, wypływano na jezioro, powoli wiosłując, i w miejscu, w którym zapiał kogut, zatrzymywano się i szukano topielca.

Ryby

Kiedy człowiek stoi na nagiej skale z wędką w ręce i nagle spławik znika pod wodą, a człowiek wyciąga rybę, która kilka minut później trzepocze na brzegu, uderzające jest to, że gładka, oszlifowana powierzchnia skały, z której nic nie wystaje, pozbawiona wszelkich chropowatości, bruzd, nieregularnych krawędzi i ścian, znajduje niejako odzwierciedlenie w ciele ryby, również jakby oszlifowanym, z lekko wrzecionowatym opływowym kształtem, który zaczyna się przy podstawie płetwy ogonowej, podnosi się w kierunku grzbietu, po czym opada skośnie w kierunku pyska, po stronie brzusznej przedstawiając tę samą wznosząco-opadającą krzywiznę, co sprawia, że ciało ryby jest zamknięte jak elipsa i w porównaniu ze zwierzętami lądowymi, z wyjątkiem węży i żmij, stanowi sam tułów. Gdybyśmy postawili się na miejscu ryby, trudno by było nie czuć pragnienia, by wyciągnąć ręce i dotknąć tego, co się widzi, i rozpaczy, że nie można tego uczynić. Ani tego pragnienia, ani tej rozpaczry ryba nie odczuwa, nie brakuje jej niczego, kiedy perystaltycznymi ruchami, rozchodzącymi się wzdłuż jej ciała jak fale podłużne, sunie blisko dna w poszukiwaniu pokarmu. To bezrękie życie, w którym wszystko chwyta się ustami, jest bardziej pierwotne od naszego, ręce stanowią pewnego rodzaju bonus, dodatkowe wyposażenie, które – bez względu na to, jak ważne wydaje się dla pełnowartościowego życia na lądzie – ściśle rzecz biorąc, nie jest wcale niezbędne; przydaje to rękóm czegoś spektakularnego, kiedy pochylamy się nad rybą, jedną dłonią wyjmujemy haczyk z jej wargi, drugą obejmujemy rybie ciało, gładkie i zimne, a mimo to pełne życia i sił, które gwałtownie z niej uchodzą w ciemnej eksplozji, kiedy uderzamy głową ryby o skałę i ryba umiera.

Wychowałem się na wyspie, a jednak życie, z którym się utożsamiałem, od czasu do czasu widywałem i o którym uczyliśmy się w szkole, to były rośliny, drzewa, zwierzęta lądowe i ptaki. Borsuk, lis, wrona, jodła, brzoza, wróbel, kruk, sarna, żmija zygzakowata, łoś, mewa, zawilec gajowy, żaba, dzwonek okrągłolistny, zaskroniec, jesion, dąb, wiewiórka, naparstnica, skrzyp polny, mech, zajac bielak, sosna. Nie żeby życie w otaczającym mnie zewsząd morzu było przeze mnie zapomniane, po prostu nie należało do świata, z którym się identyfikowałem i którego byłem częścią, lecz do zupełnie innego, leżącego jakby po drugiej stronie, prawie jak rozgwieżdżone niebo, tylko bliższego i przez to bardziej neutralnego. Zarzucić wędkę, poczuć, jak ciężarek mknie w dół, jak znika w głębinie pod łodzią, aż w końcu trafia w dno z nagłą nieważkością, podkręcić go lekko i pozwolić, żeby unosił się w wodzie jak coś w rodzaju sondy, z szeregiem metalowych haczyków, które ryby, poruszające się ospałym rytmem prądu morskiego, miały połknąć – to było oczywiście fascynujące, ale w mechaniczny

sposób (czy ryby będą brały?), podobne do tęsknoty za golem w meczu piłki nożnej, i nie miało w sobie niczego z migoczącej fantastyki rozgwieżdżonego nieba. Nawet wtedy, gdy ryby połykały przynętę i stawały się widoczne w wodzie pod łódką, podobne do srebrzystych błysków.

Stało się to dopiero tamtego lata, gdy skończyłem trzynaście lat: nagle zrozumiałem, z mocą, z jaką odkrywamy oczywiste prawdy, że wysepki szkiełkowe to były w rzeczywistości górskie szczyty, a morze należało do krajobrazu, wdzierало się w ląd, przykrywało to, co niskie, i tworzyło kanały między tym, co wysokie, dzięki czemu ryby pływały między górami na dole, tak jak ptaki fruwały między górami na górze. Ta myśl włączyła raptownie ryby do świata i zrównała makrelę ze sroką, dorsza z bobrem, flądrę z jeżem, molwę z jaskółką. Powoli krążyły po swoich dolinach, przepływały przez podmorskie lasy, nad otwartymi równinami, aż do wznoszących się stoków, gdzie niektóre z nich, zwłaszcza dorsze, lubiły przebywać zimą, a tymczasem mój ojciec, zaledwie kilka metrów nad nimi, zarzucał przynętę, ze mną w roli widza, fale rozbijały się z potężną siłą o nagie skały pod nami i wypełniały powietrze kroplami słonej wody, które intensywny, wiejący od morza wiatr porywał ze sobą w głąb lądu, sprawiając, że nasze włosy były sztywne, gdy wracaliśmy później do domu z wiadrem pełnym gładkich, zimnych ryb, które wciąż trzepotały ogonami, chociaż od dawna były martwe.

Kozaki

Przez te wszystkie lata miałem około trzydziestu par kozaków – gdy dorastałem, tak nazywaliśmy wszystkie rodzaje obuwia zimowego – i musiałem je nosić każdego dnia przez całą zimę, czasem przez dwie, a mimo to nie pamiętam żadnej z nich. Dzieje się tak, ponieważ używamy ich bardzo często i traktujemy jak coś oczywistego: codzienność sprawia, że wszystko znika, codzienność jest jak strefa, w której wszystko, co się w niej znajdzie, zostaje skazane na zapomnienie. Poza tym kozaki podlegają również duchowi czasu, tej niewidzialnej nici łączącej wszystkich ludzi, która powoduje, że tworzą oni rzeczy podobne do siebie, a ponieważ to, co podobne, trudniej dostrzec i zapamiętać niż to, co różne, kładzie się ona cieniem na większości naszych przedmiotów i ubrań, i tylko te absolutnie wyjątkowe są w stanie się przebić i istnieć w naszej świadomości przez wiele dziesięcioleci. Jeśli chodzi o kozaki, co typowe, najlepiej pamiętam te, których nie dostałem. Nazywaliśmy je „kozakami saamskimi”, były wysokie, opinające łydkę, z jasnej skóry, z wywiniętym do góry czubkiem. Dłaczego tak bardzo chciałem je dostać, nie mam pojęcia, ale tak było, pamiętam, jak stałem przed wystawą sklepu obuwniczego w Arendal i gapiłem się na te wymarzone buty jak sroka w gnat. To pragnienie wywołał prawdopodobnie serial telewizyjny emitowany mniej więcej w tym samym czasie, którego bohaterem był saamski chłopiec o imieniu Ante. Ten serial wywarł ogromny wpływ na mnie i na wszystkich, których znałem. Moja matka zrobiła na drutach sweter, który nazywałem w myślach „à la Ante”; sweter miał po bokach rozcięcia, dzięki czemu przednia i tylna część zwisały luźno, trochę jak w bluzach noszonych przez Indian, i ta indiańskość była drugim, po Saamach, skojarzeniem, które wzbudzały we mnie buty i sweter. Pamiętam, jak kiedyś zbiegałem w tym swetrze ze wzgórza do domu, pamiętam to wyraźne „poczucie saamskości”, byłem jak Saam albo Indianin i przepelniała mnie radość. Ta chwila, która nie mogła trwać dłużej niż kilka sekund, jest przy okazji jednym z moich najsilniejszych wspomnień z dzieciństwa. Wiatr owiewający twarz, poły swetra uderzające o uda i tyłek, żwir trzeszczący pod butami, mgła wisząca między drzewami po drugiej stronie drogi. Chyba właśnie to chciałem znowu poczuć, gdy wpatrywałem się w jasne, wysokie kozaki na wystawie sklepowej. Poza tym były tak piękne! Wtedy sądziłem, że piękne ubrania, buty i kozaki uczynią mnie pięknym albo ładnym, jak dzisiaj bym się wyraził. O tym, że bycie pięknym – albo ładnym – nie jest warte zachodu, przekonałem się dopiero kilka lat później, gdy te same kozaki stały się czymś, czego za nic w świecie bym nie włożył.

Ze wszystkich butów na zimę, jakie kiedykolwiek kupiłem lub dostałem, a nie tylko chciałem dostać, pamiętam jeszcze jedną parę. Nie żeby były szczególnie piękne lub wyjątkowo ciepłe. Wręcz przeciwnie, były stare i popękane,

z dziurą, miały zdarte podeszwy i odziedziczyłem je po bracie. Były krótkie, z zamkiem błyskawicznym z boku. Pierwotnie czarne, czubki miały szare, bo czarny kolor zdążył się wytrzeć. W tych butach skarpetki robiły się mokre i zawsze marzły mi stopy. Prawdę mówiąc, nie pozwalano mi chodzić w nich do szkoły, więc wkładałem je do worka foliowego, chowałem do plecaka i zmieniałem buty, jak tylko znalazłem się w autobusie. Robiłem to, bo te kozaki miały pewną wyjątkową cechę: podeszwy były tak zniszczone, że prawie nie było tarcia między nimi a śniegiem. A tamtej zimy powstała nowa zabawa, jedna z wielu epidemii, jakie przetoczyły się przez szkołę i osiedle, zabawa, która przez kilka tygodni była hitem numer jeden. Zamiast zjeżdżać z najbardziej stromych pagórków na nartach, ślizgaczach, sankach, fińskich sankach lub nartosankach, ślizgaliśmy się na butach. To było dopiero coś! Gdy przejechał pług, śnieg na górcie bywał śliski jak lód, błyszczący jak lustro w świetle ulicznych latarni – wtedy można było zjechać nawet w nowych butach o grubej, bieżnikowanej podeszwie, ale gdy nawierzchnia była bardziej tępa, do zjazdu nadawały się wyłącznie gładkie, pozbawione rowków kozaki. Właśnie dlatego te zniszczone buty à la Charlie Chaplin stały się niezwykle cenne. W nich mogłem zjeżdżać ze wszystkich pagórków, w niemal każdych warunkach, i osiągać ekstremalną prędkość. Byliśmy w tym naprawdę dobrzy; wieczorami, w żółtym świetle latarni, można było zobaczyć trzech, czterech chudzielców zjeżdżających z góry na butach: jeden przechylony do przodu jak narciarz zjazdowy, drugi wyprostowany, jakby to się nie działo naprawdę, jakby znajdował się w innej sytuacji, na przykład gawędził z kimś na skrzyżowaniu dróg, trzeci chwiejący się i kołyszący ciałem przypominającym wycior do fajki. Jednak nikt nie ślizgał się szybciej ode mnie, dzięki moim magicznym kozakom, które los podarował mi tak niespodziewanie. I jeśli porównam tamto dziecko, którym wtedy byłem, z tym mężczyzną, którym teraz jestem, i powiem, że szczęście dziecka jest tyle samo warte co szczęście mężczyzny, tamte tygodnie były chyba najszcześniejsze w moim życiu: to był jedyny raz, gdy osiągnąłem wszystko, o czym marzyłem.

Poczucie sensu

Zawsze coś czujemy i zawsze jesteśmy w określonym nastroju. Ale chociaż uczucia i nastrój charakteryzują naszą egzystencję w tak fundamentalny sposób, nikt naprawdę nie wie, czym są, gdzie powstają, z czego się składają, dlaczego się pojawiają. Dzięki eksperymentom udało się zlokalizować określone rodzaje myśli i aktywności myślowej w określonych częściach mózgu, lecz uczucia i nastrój to nie myśli, nie mieszczą się w żadnym konkretnym miejscu, są bardziej tym, w czym myśli się rodzą. Uczucia i nastrój pozornie nie są częścią świadomej jaźni, ponieważ nieustannie się zmieniają, a jaźń te zmiany obserwuje, stojąc niejako na zewnątrz, choć uczucia i nastrój mogą czasem przejąć władzę i zdominować wszystko, tak jak w wybuchu niekontrolowanej wściekłości, w przypiływie euforii czy w depresji. Ale skoro jaźń nie jest identyczna z uczuciami ani nastrojem, można by wyobrazić sobie jaźń, która nic nie czuje i nie jest w żadnym nastroju. Takie neutralne ja nie istnieje. Wszyscy z a w s z e coś czują i z a w s z e są w jakimś nastroju. Może ta relacja odbija się w sposobie, w jaki o tym rozmawiamy. Kiedy mówimy, że ktoś jest pogodny lub przygnębiony, to znaczy, że uczucia i nastrój mają taki sam wpływ na jaźń, jak nastrojenie instrumentu ma wpływ na muzykę. Że instrument jest odpowiednikiem myśli, brzmienie – uczuć i humoru, muzyka – jaźni, i że dusza jest tym, co dzięki niej zostaje zrealizowane. Wszystkie porównania, które wiążą życie wewnętrzne ze zjawiskami i rzeczami świata zewnętrznego, nie tylko je degradują, lecz także łączą je ze współczesnością, jak na przykład siedemnastowieczne wyobrażenia dotyczące mózgu jako pewnego rodzaju maszyny lub zegara, czy też nasze współczesne wyobrażenia, zgodnie z którymi mózgiem jest jak komputer, ze sprzętem, oprogramowaniem i pamięcią. Muzyka to jedyne znane mi zjawisko, które, podobnie jak dusza, wywodzi się z czegoś technicznego i materialnego, w przypadku instrumentu – ze strun i stroików, rurek i jam, płytek i smyczków, w przypadku duszy – z włókien nerwowych, błon, aksonów i dendrytów, a tego, co powstaje z materii, w żaden sposób nie można cofnąć do materialnego źródła. Mapowanie funkcji mózgu jest jak studiowanie pracy twórcy instrumentu muzycznego, analizowanie wieku i miejsca pochodzenia drewna, z którego został wykonany, wilgotności i elastyczności, składu chemicznego strun lub kleju – po to by wyjaśnić strukturę symfonii. Jednak różnice są oczywiście większe niż podobieństwa, nie tylko dlatego, że muzyka jest komponowana, to znaczy kształtowana przez wolę, podczas gdy to, co każdego dnia przepływa przez nasze wnętrza, wszystkie te nastroje, którym ulegamy, nie są wytworem woli, lecz czymś, co po prostu w nas powstaje. Nieprzypadkowo, bo jest to uwarunkowane naszymi przeżyciami i doświadczeniami, tym, co nas tworzyło i kim się staliśmy,

ale dzieje się to jednak poza naszą kontrolą. To, że każdego ranka budzę się przygnębiony, nie jest moim wyborem, i chociaż wiem, jaki jest tego powód, że to, co wewnętrzne, kręci się wokół siebie i nie pozwala temu, co zewnętrzne, zająć wystarczająco dużo miejsca, nic nie mogę z tym zrobić. Wiem, że odcinanie się od świata wpływa na uczucia i nastrój i zniekształca stan wyjściowy ludzkiej egzystencji, ponieważ mam dzieci i widzę, jak świat przez nie przepływa, i ponieważ sam byłem dzieckiem i pamiętam, jak to było, ale również dlatego, że kilka razy poczułem, jak wszystko się we mnie unosi i staje dziwnie lekkie i jasne, i że za każdym razem był to rezultat silnego przeżywania świata. Przeżywanie sztuki również może być silne, może unosić i być lekkie, lecz nie da się uwolnić od tego, z czym jest związane – podobnie jak gałąź, którą unosi wiatr, a wszystkie liście drżą, wypełnione migoczącymi refleksami słonecznego światła. Lekkość przeżywania świata jest inna, nie koncentruje się na niczym konkretnym, i właśnie lekkość tego, co nieokreślone, wypełnia duszę. Nie gałęzią, którą kołysze wiatr, lecz samym wiatrem. Nie liśćmi, które odbijają światło słońca, lecz światłem słońca.

J.

Ostatni raz widziałem J. kilka dni temu, przejeżdżałem obok jego domu i widziałem, jak siedzi na leżaku przy ścianie i śpi otulony kocem. Miał otwarte usta, a jest teraz tak chudy, że jego głowa z rozdziawionymi ustami z pewnej odległości wygląda jak trupia czaszka. J. był zawsze mały i drobny, ale miał tak niespożytą siłę, że nigdy wcześniej o tym nie myślałem, dopiero jakieś dwa, trzy lata temu, gdy choroba zniekształciła mu palce, które teraz przypominają szpony wiedzmy, i sprawiła, że zaczął się garbić i że uleciała z niego cała energia życiowa. Gdy tak spał na leżaku, wyglądał jak zawiniątko. Najbardziej charakterystyczne dla J. jest chyba to, że czas, który zniszczył jego ciało, obszedł się łaskawie z jego duszą. Twarz jest pomarszczona i poorana bruzdami, ciało wykrzywione, podobne do drzew nad morzem, smaganych wiatrami i burzami, które zmuszają je do tego, by rosły, tworząc barokowe esy-floresy, natomiast jego dusza jest na pozór całkowicie nietknięta, wydaje się równie czysta i pozbawiona doświadczeń, jak gdyby J. miał nadal siedem lat, a nie sześćdziesiąt sześć. Jego oczy są wesołe, pełne zabawy, ale także pewne siebie, ponieważ J. wykazuje wyraźne cechy narcystyczne. Pewność siebie zdaje się jednak nie dotyczyć tego, kim J. jest, tylko tego, kim jest w określonej sytuacji, a więc ma związek z jego urokiem. Kilka lat temu, gdy nie był jeszcze tak przytłoczony chorobą, spotykałem go od czasu do czasu w miejscowej restauracji. W jego sylwetce było coś imponującego, miał pełną brodę, a głęboko pomarszczona twarz mogła należeć do jednego z biblijnych patriarchów. Jego postać wyrażała dostojeństwo, ale w dziki sposób, typowy dla człowieka upartego, podobny do charakterystycznej dla podeszłego wieku dzikości, która bije ze zdjęć posuniętego w latach Becketta. Ale gdy zatrzymywałem się przed jego stolikiem lub dosiadałem się do niego i zaczynaliśmy rozmawiać, miałem wrażenie, że ta ponura, spustoszona twarz w rzeczywistości nie należała do niego, lecz była swego rodzaju maską, z której jego łagodne oczy korzystały, formując ją zgodnie z mimiką swoich dziecięcych impulsów. Doświadczyłem tego wiele razy i chociaż częściowo znałem to zjawisko, ponieważ mój dziadek zachowywał się podobnie, było to jednak coś innego, u mojego dziadka widywałem je w postaci chwilowych przebłysków, jakby to, co spajało godność starego człowieka, pękało, natomiast w charakterze J. nie istniały żadne podobne spajające elementy. Co było tym spoidłem? J. zwracał się do wszystkich tak, jakby byli dziećmi, ponieważ on sam był jak dziecko. Nikt tego nigdy nie skorygował albo J. nie pozwolił, by to skorygowano: J. przez całe życie był przeradosnym człowiekiem.

Rok później zostałem zaproszony na przyjęcie w jego ogrodzie. Była wiosna, światło nisko wiszącego słońca zalewało stoły rozstawione na trawniku

i odświętnie ubranych ludzi siedzących wokół nich. Zabrałem ze sobą jedną z córek, miała osiem lat i nie mogła się doczekać, kiedy pozna gospodarza, o którym jej opowiadałem. Ale jego tam nie było. Dwóch mężczyzn przyniosło jedzenie i rozłożyło je na stołach, gdzie stały już butelki piwa, wina i napojów. Jeden z nich powiedział donośnym głosem, że J. wkrótce się zjawi i że prosił, żebyśmy zaczęli się częstować. Tak też zrobiliśmy. „Kiedy przyjdzie?”, córka pytała mnie o to wiele razy podczas posiłku. „Kiedy przyjdzie J.?”

Gdy w końcu się zjawił, wsparty na tych samych dwóch mężczyznach, którzy przynieśli jedzenie, otworzyła szeroko oczy ze zdumienia. Jego małe, chude, zapadnięte ciało było całe w bieli, a marynarka, szeroka i sięgająca mu niemal do kolan, mogłaby należeć do maharadży. Do białej piersi miał przyczepiony rzucający się w oczy medal, to był Królewski Norweski Order Zasługi, nad ustami miał wąsik, oczy były zasłonięte okularami przeciwsłonecznymi, a włosy gładko zaczesane do tyłu. Zatrzymał się, dwaj mężczyźni odeszli na bok i J., wypinając pierś do przodu, rozejrzał się po zgromadzonych gościach. Przypominał południowoamerykańskiego dyktatora. Powiedział kilka słów, po czym usiadł przy naszym stole. Jeden z mężczyzn nalał mu wódki, którą J. wypił jednym haustem, oddychając ciężko. Przez kolejne pół godziny mówił składnie o sobie i swoim życiu. Moja córka nie mogła oderwać od niego oczu. W końcu zebrała się na odwagę, by go o coś zapytać. Wtedy J. odłożył niejako wszystko inne na bok, przechylił się w jej stronę, poprosił, aby powtórzyła pytanie, i pozostał w tej pozycji, z całą uwagą zwróconą w jej kierunku, jakby tylko ona istniała, przez dobre dziesięć minut.

Córka była nim oczarowana, chociaż nawet nie słyszała, jak J. śpiewa. To jest bowiem jego szczególna cecha, potężny głos, który jakimś cudem wydobywa się z drobnego ciała, i to właśnie głos uczynił z J. tego, kim teraz jest, i doprowadził go do miejsca, w którym teraz jest: leżący z otwartymi ustami przed ścianą domu na swoich włościach, w zimnej poświacie lutowego słońca, jakby właśnie umierał.

Autobusy

Od dwóch dni pada śnieg, a dziś rano odwołano kurs autobusu szkolnego, tak słyszałem. Warstwa śniegu jest dość cienka, więc odwoływanie gimbusu, a przez to zmuszanie dzieci, by zostały w domach, wydaje się przesadną ostrożnością. Typowo szwedzkie, pomyślałem i przypomniało mi się, jak kiedyś w Malmö proszono mieszkańców, żeby pozostali w domach i nie wychodzili na zewnątrz, chyba że jest to absolutnie konieczne, ponieważ nadciąga sztorm. Sztorm nadciągnął, a ja zabrałem dzieci na dwór, żeby na niego popatrzeć, szliśmy pustymi ulicami, a wiatr mierzwił nam włosy i przewracał szyldy. Nie groziło nam żadne niebezpieczeństwo, po prostu trochę mocniej wiało, apel władz był zwykłą histerią. A teraz nie mieli odwagi zawieźć dzieci do szkoły z powodu kilku centymetrów świeżego śniegu. Powiedziałem o tym Geirowi A. przez telefon, myślałem, że razem pośmiejemy się trochę ze Szwedów, jak to mieliśmy w zwyczaju, ale on stwierdził, że to nie ma nic wspólnego z ostrożnością ani tchórzostwem, tylko z ekonomią. „Oszczędzają, żaden z tutejszych autobusów nie ma łańcuchów antypoślizgowych, nie zwróciłeś na to uwagi?“, spytał. Nie zwróciłem. Zresztą od lat nie myślałem o łańcuchach antypoślizgowych. Nagle wszystko wróciło, to zjawisko wypełniające drogi swoim pięknym rytmicznym brzęczeniem w latach siedemdziesiątych, gdy wszystkie autobusy, wszystkie ciężarówki i wiele samochodów osobowych miały założone na koła metalowe łańcuchy, gdy padał śnieg. Ówczesne autobusy były jak klatki, nie miały aerodynamicznych kształtów jak dzisiejsze autobusy, które przypominają nieco łodzie, statki wycieczkowe górujące majestatycznie nad samochodami. Wewnątrz również wyglądały inaczej, dzisiejsze pojazdy z wygodnymi siedzeniami, starannie wykonanym wyposażeniem, często utrzymanym w ciemnej kolorystyce, przypominają pokoje dzienne, natomiast w latach siedemdziesiątych ich wnętrza przywodziły na myśl pomieszczenia gospodarcze albo szopy. I podczas gdy dzisiejsze autobusy są ciche, te z lat siedemdziesiątych były wypełnione warkotem silnika, który sprawiał, że wszystko drżało i trzęsło się: podłoga, okna i siedzenia. Gdy wskakiwaliśmy do takiego autobusu w śnieżny dzień, z tornistrami podskakującymi na plecach, mieliśmy wrażenie, że przekroczyliśmy próg hali produkcyjnej. To, że ta siermiężna, podobna do warsztatu skrzynka na kółkach miałaby zostać uziemiona przez coś tak prozaicznego jak śnieg, było wprost nie do pomyślenia. Co prawda autobus zwalniał na wzniesieniach, ale nic poza tym. Lata siedemdziesiąte były ostatnią krzepką dekadą. Dlaczego kolejne dziesięciolecia stawały się coraz delikatniejsze, trudno powiedzieć, chociaż odpowiedź może być prosta: może ówczesnych zajętych serc, tych, którzy siedzieli bladzi i zniewieściali i wpatrywali się w ośnieżony krajobraz, będąc myślami daleko od warkoczących

maszyn, trzęsących się foteli i drwiących ze wszystkiego chłopaków – którzy w takie dni jak ten spędzali popołudnia przed sklepem, a gdy kierowcy siadali za kierownicą, podbiegali chyłkiem do ich samochodów i kucali za nimi, trzymając się mocno zderzaka; gdy auto wyjeżdżało z parkingu i włączało się do ruchu, ślizgali się na butach; zawody wygrywał ten, kto wytrzymał najdłużej uwieszony zderzaka; w zabawie brały udział również autobusy, tak szerokie, że mogło się ich ucześcić czterech, pięciu skulonych chłopaków; ślizgając się na butach, dojeżdżali do głównej drogi, gdzie puszczali się jeden po drugim jak skoczkowie spadochronowi wyskakujący z samolotu, powoli tracili prędkość, aż w końcu zatrzymywali się, przez kilka sekund leżeli nieruchomo na drodze, prawdopodobnie śmiejąc się do rozpuku, po czym podnosili się i biegli z powrotem, żeby znaleźć kolejny pojazd, którego mogliby się ucześcić – zatem może tych, którzy nie mogli uczestniczyć w podobnych ówczesnych zabawach, którzy bali się brutalnych dźwięków i wyglądu licznych pługów śnieżnych, może tych marzycieli, chodzących jak w zegarku, było o wiele więcej, niż ktokolwiek by się spodziewał.



Nawyki

Z jakiegoś powodu pisarze często są pytani o to, jakie mają zwyczaje i nawyki, na przykład o której godzinie wstają i zaczynają pisać, czy piszą ręcznie czy na komputerze, czy jest coś, bez czego nie potrafią się obyć w procesie pisania. Co sprawia, że codzienne życie pisarza wzbudza aż taką ciekawość, trudno powiedzieć, ale coś w tym musi być, ponieważ porównywalne grupy zawodowe nie cieszą się takim zainteresowaniem. Może ma to związek z tym, że wszyscy potrafią pisać i czytać, a jednocześnie w roli pisarza jest coś podniosłego, i nad tą przepaścią, właściwie niezrozumiałą, musi zostać zbudowany most. A może chodzi o to, że pisanie jest dobrowolne i pisarz w każdej chwili może od niego odstąpić, co jest rzeczą nie do pomyślenia dla każdego innego pracownika, i właśnie to jest tak niejasne lub fascynujące. Gdy byłem młody, bardzo chętnie czytałem wywiady z pisarzami. Myślę, że nie szukałem żadnej metody, raczej byłem ciekawy, co jest potrzebne, by zostać pisarzem. Szukałem wzoru, wspólnego mianownika: co sprawia, że pisarz zostaje pisarzem? Teraz już wiem, że wszyscy pisarze to amatorzy i być może łączy ich jedynie to, że nie wiedzą, jak należy pisać powieść, opowiadanie czy wiersz. Ta fundamentalna niepewność stwarza potrzebę nawyków, które są ramą, rusztowaniem ustawionym wokół tego, co nieprzewidywalne. Dzieci również tego potrzebują, pewne rzeczy w ich życiu muszą się powtarzać, i to nie może być nic wewnętrznego, musi mieć związek z zewnętrzną rzeczywistością, dzieci muszą znać przynajmniej część tego, co dzieje się wokół nich. Powtarzalność nie jest zakorzeniona w naszej naturze jak w przypadku większości innych stworzeń. Musi zostać stworzona i podtrzymywana dzięki aktom woli, co stanowi, być może, najważniejszą różnicę między zwierzętami a ludźmi. Zwierzęta, które zabiera się z ich naturalnego środowiska i umieszcza w nowym, na przykład psy, nie mają niczego, czym mogłyby zneutralizować nieprzewidywalność, stają się więc więźniami chorych powtórzeń, tików i innych natręctw. Jeśli nieprzewidywalność jest duża, dzieci reagują na nią w podobny sposób. Lękami, agresją, aspołecznym zachowaniem. Dante powiedział, że nikt nie może zrozumieć innej istoty ludzkiej z perspektywy własnych uczuć i działań, tak jak to potrafią zwierzęta, i dlatego Bóg dał nam mowę. Innymi słowy, zrobił to po to, byśmy mogli uwidocznic różnice, które dzięki temu stają się przewidywalne, funkcjonalne i umożliwiają kontakty społeczne. Kiedy jednak różnice są powtarzane, stają się podobieństwami, to znaczy swoim własnym przeciwieństwem. A to czyni język zdradzieckim, bo służy dwóm panom, i właśnie z tego powodu, i żadnego innego, istnieje literatura piękna. I z tego powodu tylko ludzie, którzy nie potrafią pisać, mogą ją tworzyć. Bo jeśli nawyki umieszcza się w literaturze pięknej, a nie na zewnątrz, to nie jest już ona

literaturą piękną, a jedynie kolejnym rusztowaniem dla życia.

Mózg

Mózg, który u dorosłego człowieka waży trochę ponad kilogram, składa się z dwóch symetrycznych, półokrągłych części oddzielonych pionową szczeliną i najbardziej ze wszystkiego przypomina duży orzech włoski, również dlatego, że jego powierzchnia jest jakby pomarszczona, pełna fałd i wgłębień. Poza tym mózg, podobnie jak orzech włoski, leży w twardej półokrągłej łupinie przypominającej skrzynkę. Ale podczas gdy orzech jest suchy, skurczony i pozbawiony życia, mózg jest wilgotny i przesiąknięty płynami, i w tym sensie bliżej mu do muszli, która także składa się z miękkiego żywego wnętrza zamkniętego w skorupie. Istotna różnica polega oczywiście na tym, że muszla tworzy odrębną całość, jest stworzeniem samym w sobie, mózg stanowi zaś tylko jeden z organów większej całości, mianowicie ciała ludzkiego, w którym rozgałęzia się dzięki wielu odchodzącym od niego włóknom nerwowym. Jednak gdyby udało się wyjąć mózg z czaszki i oddzielić każde z tych włókien biegnących od mózgu przez kark do wszystkich części ciała, mózg przypominałby odrębne stworzenie, nie lądowe, bo nie miałby rąk ani nóg, lecz jedno z tych, które żyją w morzu. Z włóknami nerwowymi ciągnącymi się za nim niczym welon, byłby podobny do meduzy. Błady, białoszary kolor dzieliłby z innymi stworzeniami żyjącymi w miejscach, gdzie światło słoneczne nigdy nie dociera, ślepotę również. W związku z tym mózg musiałby wykształcić małe usta, może pod płatem czołowymi, i mały układ trawienny z cienkimi jelitami biegnącymi przez fałdy, do tego może jeszcze mały żołądek lub worek trzewiowy w dolnej części. Ponieważ byłby stosunkowo ciężki i zwarty, nie miałby miękkiego ciała jak meduzy ani ich ruchomego deltoidalnego kształtu, musiałby szukać miejsc na dnie, gdzie woda byłaby w ciągłym ruchu, a prądy na tyle silne, że plankton, kryl lub inne małe stworzenia morskie przepływałyby obok i mózg mógłby je chwycić swoimi małymi ustami, albo raczej długimi cienkimi włóknami nerwowymi, które dzięki impulsom elektrycznym byłyby w stanie oszołomić trochę większe organizmy i którymi, być może, mózg nauczyłby się poruszać, dzięki czemu zdobycz byłaby doprowadzana do ust. Nietrudno wyobrazić sobie mózgi leżące nieruchomo na dnie morza w koloniach podobnych do skupisk otoczków, złożonych ze stu, może stu pięćdziesięciu osobników, z welonem unoszących się leniwie nerwów. Czasem, przy wyjątkowo silnych prądach, jakiś mózg leżący na peryferiach odłączyłby się od reszty i powoli podryfował w dal, podskakując w wodzie jak skórzana piłka, zanim opadłby w innym miejscu. O czym by myślały, leżąc na dnie, trudno zgadnąć, ale można założyć, że rozwinęłyby buddyjski potencjał, jaki mają wszystkie mózgi. Hołdowałyby pogładowi, że świat jest przedstawieniem, i szukałyby przestrzeni między myślami, odpoczywając w pustce, która z roku na rok stawałaby się coraz

większa. Myśli napływające do tej pustki byłyby blade i mgliste, nierozpoznawane już dłużej jako myśli, a wypełniając mózgi, robiłyby to w sposób przypominający sen, świecąc jak latarnie uliczne we mgle. O tym, że taką formę mają również myśli ryb, mózgi by nie wiedziały, ponieważ inne sposoby myślenia stałyby im się obce. Teraz pozwalałyby jedynie, żeby wypełniło je blade światło, mały świecący punkt, powiększający się powoli, aż wypełniłby ich wnętrze, by znowu zacząć znikać. O następującej po nim pustce mózgi również by nie rozmyślały, może tylko czasem w niektórych z nich pojawiałoby się słabo wyczuwalne oczekiwanie na światło po, jak coś w rodzaju wtórnej fali, aż w końcu i ono zniknęłoby na dobre i wszystkie mózgi leżałyby nieruchomo na dnie, w ciemności, i nie myślałyby o niczym.

Seks

Gdy dorastałem, istniały dwie narracje o seksie. Jedna pochodziła z czasopism pornograficznych, krążących już wśród dziesięcioletnich chłopaków na osiedlu, w których seks był czymś tajemniczym, zakazanym, brudnym, niemal przestępczym, a jednocześnie pociągającym, ponieważ nie istniały żadne granice; mogliśmy zajrzeć do całkowicie hedonistycznego świata, tak bardzo różniącego się od tego, który znaliśmy, że aż trudno było w to uwierzyć, chociaż powoli zaczęło do nas docierać, że ten świat istniał również wokół nas, wśród naszych rodziców i nauczycieli, tych, którzy pracowali w sklepach i kierowali autobusami, tych, których oglądaliśmy w telewizji i słyszeliśmy w radiu.

Druga narracja o seksie była całkowitym przeciwieństwem pierwszej, mówiła o miłości i tej jednej jedynej, którą kiedyś miało się poślubić i mieć z nią dzieci. Ta również żyła wokół nas we wszystkich możliwych wariantach, w książkach, filmach, tygodnikach, komiksach i w tym widocznym dla nas fragmencie życia naszych rodziców. Obie narracje tak bardzo się różniły, że nie sposób było je połączyć w całość, choć przecież dotyczyły tego samego. Ten brak spójności charakteryzował mój stosunek do seksu, gdy dorastałem, i charakteryzuje go również dzisiaj. Od dziecka traktowałem kobiecość jako coś wzniosłego i nieosiągalnego, podziwiałem i pożądałem kobiecego świata wypełnionego pięknem, od ubrań przez wszystkie dodatki i niuanse do wieloznacznych uśmiechów, czasem ciepłych i żartobliwych, innym razem zimnych i odpychających, od szczupłych nadgarstków do krągłych miękkich kształtów, od rozłożystych bioder i wypukłości piersi do delikatnych, eleganckich ruchów. Chciałem mieć to wszystko, chciałem być w tym, zanurzać się w tym. Ale ponieważ patrzyłem – najpierw na wszystkie dziewczyny, a potem na wszystkie kobiety – jak na istoty dużo więcej warte ode mnie, ba!, przewyższające mnie pod każdym względem, ich świat był dla mnie nieosiągalny. Jedyne dziewczynami, a później kobietami, z którymi odważyłem się rozmawiać, były te, dla których miałem równie mało szacunku jak dla samego siebie, które nie były zbyt ładne i których nie pożądałem. Gdy jakimś cudem udało mi się znaleźć późnym wieczorem sam na sam z kobietą, którą podziwiałem i której pragnąłem, moje milczenie i ta niemal obezwładniająca ranga, jaką nadawałem spotkaniu, dzikość i desperacja, które można było wyczytać z moich oczu, były tak odstrasające, że prawie nigdy do niczego nie dochodziło, poza krokami, które ginęły w głębi ulicy. W tych rzadkich razach, gdy jednak do czegoś dochodziło, podniecenie, po wielu latach intensywnego fantazjowania, było tak wielkie, że natychmiast miałem wytrysk, tak że nigdy nie trafiałem tam, dokąd chciałem, pozostawało jedynie zanurzyć się w piersiach, udach, pośladkach i mokrych szczelinach. Przedwczesny

wytrysk nasienia jest oznaką niedojrzałości mężczyzny, ale ma również związek ze strachem, przerażeniem kobiecością, w każdym razie tak było w moim przypadku.

Gdy w końcu zakochałem się z wzajemnością, tak bardzo bałem się zrobić to, czego pragnąłem najbardziej na świecie, że powiedziałem dziewczynie, iż moim zdaniem powinniśmy lepiej się poznać, zanim pójdziemy do łóżka. Spojrzała na mnie zdziwiona, ale się zgodziła. Minęło wiele tygodni, a ja przez cały czas byłem przerażony. Czuję strach przed kobietami, boję się, że się nie sprawdzę, nie będę wystarczająco dobry. Ironia polega na tym, że właśnie ten lęk sprawia, że mężczyzna nie jest dość dobry, nie sprawdza się, ponieważ męskość, której kobiety pożądamy, w każdym razie mówię to na podstawie własnego doświadczenia, oznacza samowystarczalność, nieustępliwość, suwerenność. Jednak gdy się dotrze do miejsca, gdzie opowieść o miłości i tej jednej jedynej łączy się w całość z narracją o hedonistycznym, nieokiełznanym seksie, z czasem pojawiają się inne przeszkody, ponieważ taki seks oznacza dystans, a kiedy jest się w związku, kiedy żyje się pod jednym dachem z osobą, którą się kocha, odległość staje się coraz mniejsza, to wynika z samej natury związku, dwoje ludzi staje się sobie coraz bliższych. To właśnie nazywamy miłością, a im większa miłość, tym trudniej połączyć ją z seksem, oczywiście jeśli się nie gra, jeśli się nie udaje, że osoba, z którą idzie się do łóżka, nic nie znaczy. Właśnie przyszło mi do głowy, że może to jest najwspanialszy akt miłości.

Zaspy

W mitologii nordyckiej Fonn była olbrzymką, siostrą Torrego, Mjolla i Drivy, córką Śniegu, który był z kolei synem Jokula. Skoro wiemy, że „fonn” to staronordyckie określenie większego skupiska śniegu, że „torre” to przymrozek, „mjoll” – gęste opady śniegu, „driva” – zamieć, a „jokul” – lód, wyłania się z tego zupełnie inna rzeczywistość, ponieważ przez te nazwy przebija nie tylko zimny śnieżny świat, lecz również wiara w to, że jego poszczególne aspekty reprezentowały różne moce. Granica między personifikacją a nadawaniem nazw jest płynna, bo chociaż nie wierzymy, że śnieg podmuchowy jest mocą, to jednak reprezentuje on całkiem odrębny stan natury, który tworzy całkowicie odrębną przestrzeń, generującą całkowicie odrębne nastroje lub dźwięki, a przez nazwę to wszystko zostaje wyodrębnione i zebrane, dzięki czemu możemy nie tylko rozpoznać to jako coś szczególnego, kiedy to coś występuje, lecz także wzywać to coś, kiedy go nie ma. O, śniegu podmuchowy, zamieci i deszczu ze śniegiem! O, burzy śnieżna, chlapo i pokrywo śnieżna! O, wilgotny śniegu, o! biały puchu, o! cudowne głębokie zaspy! Nawet na osiedlu, na którym dorastałem, z nowymi drogami, domami i ogródkami, wszystkie warianty śnieżnej pogody odciskały piętno na życiu i krajobrazie, a czasem całkowicie przejmowały stery. Pamiętam zwłaszcza jedną zimę, gdy spadły astronomiczne ilości śniegu, dzień w dzień z ciężkiego szarego nieba sypały duże mokre płatki. Spadały między czarne nieruchome drzewa w dole drogi, których pnie lśniły od wilgoci, na trawniki, podjazdy i dachy domów, na drogi, place budowy, pola, na pływające pomosty, most i cieśninę, na wszystko spadały płatki śniegu, tak gęste, że powietrze było prawie całkiem białe. Robiło się coraz zimniej, a śnieg stawał się coraz suchszy i lżejszy; wkrótce zaczął wirować na wietrze, potem zaczął pędzić naprzód – można było zobaczyć, które drogi zwykle wybierał wiatr, albo to, że tam przeciskał się wzdłuż muru, że tutaj został wepchnięty w przestrzeń między przyczepą kempingową a ścianą domu, że tam wyleciał z lasu i z nową siłą mknął nad otwartą, pokrytą lodem przestrzenią nad klinem, aż napotkał wzniesienie po drugiej stronie i znowu został wyciągnięty w górę.

Gdy wiatr ucichł i opady ustały, krajobraz był całkowicie odmieniony. Wzdłuż dróg utworzyły się ściany, w niektórych miejscach wysokie zaspy sprawiły, że drogi przypominały rozpadliny. Las zyskał nową podłogę, białą, nabrzmiałą, przykrywającą wszystkie nierówności. U stóp pagórków, przed wszystkimi wzniesieniami, czy to były ściany domów, turnie, wykroty, czy strome koryto potoku, wszędzie leżały zaspy, miejscami głębokie na kilka metrów. Do czego mogły służyć? Można było w nie wskakiwać. I to wskakiwanie w zaspy śnieżne rozprzestrzeniło się po naszym osiedlu jak zaraza. Skakaliśmy ze

wszystkich występów, jakie mogliśmy znaleźć, najpierw z wahaniem, podobnym do tego, które pojawiało się w nowych miejscach, skąd skakaliśmy na główkę do wody, gdy nie było wiadomo, czy jest wystarczająco głęboko, z czasem coraz chętniej i pewniej. Najpierw z wysokości dwóch metrów, potem trzech, czterech, niektórzy również z pięciu, a najbardziej szaleni chyba nawet z sześciu, kiedy jest się dzieckiem, proporcje są zupełnie inne, pagórek może być górą, polana równiną, garaż hangarem – tak czy inaczej, życie rzadko bywało tak ekscytujące i pełne możliwości jak wtedy, gdy wdrapywaliśmy się na dachy domów i zeskakiwaliśmy, wdrapywaliśmy się na występy skalne i zeskakiwaliśmy, wdrapywaliśmy się na drzewa i zeskakiwaliśmy. Świat się przed nami otworzył, nagle pojawiły się w nim nowe możliwości, fantastyczne możliwości, ponieważ człowiek zwykle nie ma okazji, by w środku lasu unosić się w powietrzu. To, że tylko dzieci szukały fantastycznych wrażeń – nigdy nie widziałem, żeby jakiś dorosły człowiek wdrapywał się na dach lub półkę skalną i wskakiwał w leżącą pod nim zaspę – wtedy wydawało mi się dziwne, ale teraz, kiedy sam jestem dorosły, już się takie nie wydaje, i zarówno otwarcie świata na to, co nowe, skok, jak i wolność, która się w nim zawiera, stanowią niechciane wielkości. Nie tylko dlatego, że są dziecinne i że byłoby mi wstyd, gdyby mój sąsiad widział, jak skaczę z dachu, lecz także dlatego, że przyzwyczajenia, stagnacja i przywiązanie są jak starzy przyjaciele, znam je tak dobrze, z nimi wiem, na czym stoję, a to jest ważniejsze od tego, co nowe, ważniejsze od skoku i od wolności.

Punkt zbiegu

Z okna, przy którym siedzę i piszę, widzę dom, w którym mieszkamy. Kilka minut temu kamienistą ścieżką nadszedł jakiś mężczyzna, zatrzymał się przed drzwiami i zapukał. Rzadko przychodzą tu obcy ludzie, nie licząc rodziców przyjaciół naszych dzieci, więc poczułem ukłucie niepokoju, chociaż domyśliłem się, że mężczyzna jest pracownikiem firmy kurierskiej. Wstałem, wyszedłem na dwór i zawołałem go. Był rudym blondynem, miał szeroki podbródek i spojrzenie, które rejestrowało to, co się dzieje, chociaż nie wydawało się tym szczególnie zainteresowane. „Knasgard?”, spytał. Skinąłem głową. „Mam dla pana paczkę”, powiedział. Podszedłem z nim do ciężarówki, była prawie pusta i sprawiała wrażenie nieproporcjonalnie dużej w stosunku do małej skrzynki, którą z niej wyjął. Podpisałem się palcem na mobilnym terminalu, a gdy wracałem do domu, usłyszałem trzask zamykanych drzwi i warkot silnika. Przez chwilę siedziałem i rozmyślałem o skalach. Nikt, kto tu przychodził, ścieżką czy po trawniku, nie był anonimowy, nikt nie był kimkolwiek, chociaż ludzie, którzy się tutaj zjawiali, byli często przedstawicielami swoich zawodów, zazwyczaj kierowcami firm kurierskich, lecz także hydraulikami, elektrykami, stolarzami, różnej maści sprzedawcami losów na loterię. Chociaż nigdy wcześniej ich nie spotkałem i nie wiedziałem o nich nic, nawet tego, jak się nazywają, byli konkretnymi osobami o konkretnych osobowościach, niepodobnych do innych; uświadamiałem to sobie, gdy tylko wkraczali w pole widzenia. Sposób, w jaki trzymali głowę, w jaki się poruszali, prędkość, z jaką szli, wyraz twarzy. Dla samych siebie jesteśmy zawsze tym, kim jesteśmy, dla innych zaś tym, co się wynurza, nadciąga razem z nami i po jakimś czasie znika. W tym, co ludzkie, istnieje punkt zbiegu, do którego wchodzimy i z którego wychodzimy, rodzaj strefy, gdzie zmieniamy się dla innych, z określonych w nieokreślonych, z nieokreślonych w określonych. Ten nieokreślony człowiek, bez twarzy i charakteru, żyje w schematach, z którymi jest związany, i stanowi materiał statystyczny. Prawie tyle samo ludzi ginie każdego roku w wypadkach komunikacyjnych, każdego lata tonie w morzach, jeziorach i rzekach, każdego styczniowego poranka mija bramki metra, chociaż właśnie ten wypadek, właśnie to utonięcie, właśnie ten przejazd metrem były konsekwencją serii osobistych indywidualnych decyzji. Kiedy się spojrzy przed południem na miasto-sypialnię ze swojego mieszkania na szesnastym piętrze, właśnie to się zobaczy: jak ci wszyscy ludzie, te czarne, podobne do mrówek postacie, idą tymi samym drogami i ścieżkami, zgodnie z rytmem, na który nie mają najmniejszego wpływu – najpierw fala tych, którzy spieszą się do pracy, potem bardziej rozproszony wzór tych, którzy przez cały dzień trzymają się najbliższej okolicy, starców, tych z wózkami dziecięcymi, tych na zwolnieniach

lekarskich, później kolejna fala ludzi, kiedy dzień pracy dobiega końca. Te ruchy można w prosty sposób symulować na komputerze, z zaledwie kilkoma zmiennymi, bo bez względu na to, o czym myślimy, wracając po zamrożonym stawie do swojego mieszkania, bez względu na to, jak wyjątkowo oryginalne są nasze myśli, kiedy ze spuszczoną głową wpatrujemy się w udeptany śnieg, jesteśmy całkowicie przewidywalni, ponieważ zawsze należymy również do większego ruchu, jak ptak w licznej stadzie, które nagle wykonuje synchroniczny zwrot w powietrzu, o czym nie zdecydowało żadne pojedyncze indywiduum, i przez moment wygląda jak ogromna machająca ręka.

Lata siedemdziesiąte

Zdarza się, że opowiadam swoim dzieciom o latach siedemdziesiątych. Duża część tych opowieści dotyczy tego, co nie istniało. Nie było Internetu, telefonów komórkowych, iPadów, komputerów stacjonarnych ani laptopów, bankomatów ani kart kredytowych. Nie było okien samochodowych, które opuszczały się automatycznie, ani kluczyków otwierających wszystkie drzwi z dużej odległości. A widok twarzy osoby, z którą rozmawia się przez telefon, stanowił stały motyw w serialach science fiction, być może najbardziej przyszłościowy ze wszystkich, jakie można sobie było wyobrazić. Dzieci zaczynają mieć dość tych opowieści, ponieważ morał jest zawsze ten sam: wcześniej wszystko wymagało wysiłku, nawet tak drobne czynności jak słuchanie określonego rodzaju muzyki czy wypłacanie pieniędzy z banku, a to, że nic nie przychodziło łatwo ani za darmo, sprawiało, że wszystko miało większą wartość. Słyszą wtedy jedynie, że wcześniej wszystko było lepsze. Ich ojciec siedzi w fotelu kierowcy i rozpływa się nad tym, jak to kiedyś wszystko było wspaniałe, a teraz jest byle jakie, jak bardzo dzieci są rozpieszczone, jak mało robią, jakie mają szczęście. To znaczy, zgodnie z tym rozumowaniem, „szczęście” oznacza swoje dokładne przeciwieństwo: kiedy ten ojciec, który tak bardzo kocha lata siedemdziesiąte, mówi, że dzieci mają szczęście, że żyje im się tak łatwo, naprawdę uważa, że są nieszczęśliwe, bo szczęśliwi są ci, których życie nie rozpieszcza. Takie dewaluowanie życia i stylu życia własnych dzieci nie jest w porządku. One nigdy nie doświadczą życia w latach siedemdziesiątych i bronią się przed taką logiką rękami i nogami. Nazywają mnie starym dziadkiem, a muzykę, którą puszczałam w samochodzie – muzyką z epoki kamienia łupanego. „Nikt już nie lubi rocka, tato”, mówią. Kiedy odpowiadam, że również w latach siedemdziesiątych ludzie żyli nowocześnie, potrząsają głową, nie kupują tego, to oni są nowocześni. I nie ma w tym nic dziwnego: od lat siedemdziesiątych dzieli je taka sama przepaść, jaka dzieliła mnie od lat trzydziestych, gdy byłem w ich wieku. To znaczy od Bondepartiet^[16], Vidkuna Quislinga, sterowców, połowów śledzi, wielkiego kryzysu, Forda model T, olimpiady w Berlinie. Nigdy nie słyszałem, żeby moi rodzice chwalili lata pięćdziesiąte, w których dorastali; nie wspominali ich z nostalgią, wręcz przeciwnie – odnosiłem wrażenie, że cieszyli się, iż te czasy dawno minęły. To dlatego lubię lata siedemdziesiąte, ponieważ miały udział zarówno w przeszłości – w której chodzenie do restauracji było czymś nadzwyczajnym, lokali gastronomicznych było niewiele, nie licząc wspaniałych przydrożnych zajazdów, rozrywka była czymś podejrzanym i musiała być racjonowana w niewielkich ilościach w radiu i telewizji, a na wsi nadal, gdziekolwiek spojrzeć, stały stojaki na siano – jak i w przyszłości, dzięki temu, że cała nowoczesna technologia była już

obecna, choć w „grubo ciosanym” wariacie, z telefonami połączonymi fizycznie z siecią przewodów, telewizorami i radiami, które wyglądały jak wielkie drewniane skrzynie, i raketami, niewiele bardziej zaawansowanymi w budowie od samochodów, gdy ciężko i jakby niechętnie odrywały się od ziemi, z potężnym słupem ognia pod sobą, a potem powoli zwiększały prędkość i wznosiły się coraz wyżej na bezchmurnym błękitnym niebie lat siedemdziesiątych, z astronautami przypiętymi pasami do wnętrza kapsuły niczym w volkswagenie garbusie. Tęsknota za latami siedemdziesiątymi jest tęsknotą za przeszłością, bo ona wówczas istniała, wszyscy wiedzieli, że świat się zmieni, ale teraz, gdy się zmienił, przyszłość nie istnieje.

Wydaje mi się, że na wszystkie epoki kultury mają wpływ te dwa tryby: istnienie przyszłości i jej nieobecność, dziwne jest jednak to, że kultura stara się niejako doprowadzić do nieobecności przyszłości, jakby to ona stanowiła jej najwyższą formę, kiedy tęsknoty są zaspokojone. Ale to nie jest możliwe, ponieważ wtedy tęsknota zwraca się w stronę przeszłości lub czegoś innego, co zostało utracone lub niedokończone, jak to się stało w latach poprzedzających pierwszą wojnę światową, wojnę, której nikt się nie spodziewał i której nikt nie chciał, wyzwoloną przez siły, których nikt nie widział, a które w najbrutalniejszy sposób najpierw jeden raz, potem drugi, uprzętnęły drogę dla nowej obecności przyszłości.

Ogniska

Gdy dorastałem, rzadko widywałem ogniska. Wyjątkiem było palenie śmieci wczesną wiosną i ognisko świętojańskie latem. Tu, gdzie teraz mieszkam, również prawie nie widuje się ognisk. Dlaczego tak jest, nie mam pojęcia, bo jeśli chodzi o piękno, niewiele zjawisk równa się z ogniem – chyba tylko błyskawice, ale ich nie można kontrolować, w przeciwieństwie do ognia, który można wzniecić wszędzie, kiedy tylko chcemy; wszystko, czego potrzebujemy, to odrobina drewna lub papieru, pudełko zapalek lub zapalniczka, i płomień pojawia się na świecie. Może ma to związek z tym, że ognisko nie spełnia już swojej funkcji – domy są ogrzewane piecami i rzadko znajdujemy się tak daleko od nich, by potrzebować ogniska, przy którym moglibyśmy się ogrzać. Nie musimy również palić śmieci ani odpadów, ponieważ obecnie się je segreguje i przetwarza, zamiast niszczyć, a spalanie, które mimo wszystko jest konieczne, odbywa się w ogromnych piecach w zakładach recyklingowych, jak teraz nazywa się składowiska odpadów. Gdy żyli jeszcze moi dziadkowie, którzy prowadzili małe gospodarstwo – miało najwyżej dwa hektary i mogło wyżywić tylko trzy krowy, cielaka i kilka kur – stale płonęło ognisko, między domem a stodołą, u podnóża małego, porośniętego krzaczkami jagód wzgórza. Popiół był szaro-biały, przedziwnie gładki i miękki w dotyku, prawie jak mąka. Tu i ówdzie leżały zwęglone resztki drewna – sterczały jak wraki statków na plaży, były twarde, ale wyjątkowo porowate, można było paznokciami zeszkrobiwać ich warstwy, co było niewykonalne w przypadku surowego drewna, i czarne jak noc. Czasem leżały tam również puszki, które, choć pokryte sadzą, wyglądały na zupełnie nietknięte, jakby to piekło, które unicestwiło wszystkie paprochy i śmieci, nie mogło ich pochłonąć. Jedno z najwyraźniejszych wspomnień z dzieciństwa pochodzi właśnie stamtąd. Pola pokrywa cienka warstwa śniegu, przez którą gdzieś tam prześwituje brunatna ziemia, niebo jest szaro-białe, krajobraz nieruchomy, jak to bywa zimą. Dziadek stoi przed ogniskiem ubrany w niebieski kombinezon, który zawsze miał na sobie, brązowe kalosze, czarną czapkę z krótkim daszkiem. Musiał właśnie wrzucić ostatnie śmieci, ponieważ stoi spokojnie, nie rusza się, a płomień, żółte i drżące, wyrastają przed nim na wysokość mniej więcej pół metra, i jest to jedyny ruch w tym prostym obrazie. Myślałem wtedy o ogniu jak o stworzeniu, z osobnym życiem, niezależnym od materiału, z którego powstał, o kapryśnym usposobieniu, bo w jednej chwili mógł wić się i wyginać w różne strony, rzucać z trzepotem to tu, to tam, jakby z wściekłości albo udręczenia, a chwilę później stał spokojnie, wyprostowany na baczność, i wyciągał się ku niebu, jakby osiągnął spokój ducha. Kiedy teraz wraca do mnie to wspomnienie drobnego mężczyzny stojącego w środku nieruchomego krajobrazu przed jasno płonącym ogniskiem, myślę

o czasie. W jak różnych prędkościach się porusza, jakby składał się z warstw: dziadek, nieżyjący już od dwudziestu lat, znajdował się w tej, w której czas pędził na łeb na szyję, jodły rosnące na wzgórzu po drugiej stronie posiadłości istniały w innej, wolniejszej, a samo wzgórze w jeszcze wolniejszej, ogień zaś, pozornie najbardziej nietrwały i ulotny ze wszystkiego, skoro zniknął z obrazu jeszcze tego samego dnia, istnieje w najbardziej wewnętrznej warstwie, gdzie czas stoi w miejscu i wszystko jest zawsze takie samo. Bo taki właśnie jest ogień, zawsze taki sam. Właśnie to, co ponadczasowe, przywołujemy, rozpalając ognisko, i właśnie to jest tak piękne i tak przerażające. Przed ogniskiem stoimy jak przed otchłanią.

Operacja

Jedna z naszych córek była we wczesnym dzieciństwie trochę nieuwważna, jakby nigdy do końca nie śledziła tego, co się dzieje wokół niej. Ponieważ nie sprawiała wrażenia nierozgarniętej, uznałem, że ten brak skupienia wynika z jej nieco marzycielskiego, introwertycznego charakteru, który poza tym był jasny i serdeczny. Jednak kilka miesięcy temu wykonano jej w przychodni badanie i okazało się, że ma znaczny ubytek słuchu. A więc to, co obserwowałem, to nie była ospałość, nie dlatego wydawała się roztargniona, lecz dlatego, że nie słyszała nas dość wyraźnie... Chyba nigdy nie czułem gorszych wyrzutów sumienia niż wtedy. Na szczęście można to było zoperować. Córka miała wysięk za błonami bębenkowymi i dużego polipa w gardle. I jedno, i drugie można było w stosunkowo prosty sposób usunąć. Polipa mieli wyciąć, a uszy udrożnić za pomocą rurek drenażowych umieszczonych w błonach bębenkowych. Z tego powodu wczoraj zjawiłem się z nią w szpitalu. Przyjechaliśmy wczesnym rankiem i przez dłuższą chwilę siedzieliśmy w poczekalni. Córka zrobiła moim telefonem zdjęcie naszemu numerkowi i swojemu królikowi-przytulance siedzącemu samotnie na kanapie. Zanim wyruszyliśmy do szpitala, nałożyliśmy jej plaster znieczulający na nadgarstek, w poczekalni szczypała się więc od czasu do czasu w rękę, zaskoczona tym, że skóra była tak zdrętwiała i pozbawiona czucia. W końcu zostaliśmy wywołani i weszliśmy za pielęgniarką do sali z dwoma łózkami oddzielonymi parawanem, gdzie musieliśmy znowu czekać. Córka otrzymała polecenie, żeby się rozebrać i włożyć coś w rodzaju białego kitla, mnie zaś przydzielono strój przypominający płaszcz przeciwdeszczowy i foliowy czepek. Pielęgniarka zdjęła plaster, prowadząc z nami pogawędkę, po czym wbiła córce w ramię coś podobnego do dyszy i wyjaśniła, że tędy zostanie podany środek, po którym córka zaśnie. Tuż po tym, jak zostaliśmy sami, jakiś chłopiec wjechał do sali na łóżku. Przez parawan słyszeliśmy, jak płacze i jak jakaś kobieta go pociesza. Spojrzałem na córkę i spytałem, czy się boi. Pokręciła głową i przycisnęła królika do piersi. „Jak będę duża, zostanę pielęgniarką”, oznajmiła. „To wspaniała praca”, odparłem. Gdy pół godziny później przyszła po nas pielęgniarka, chłopiec spał, a kobieta siedziała obok niego na krześle z telefonem komórkowym w ręce. W sali operacyjnej lekarka, najprawdopodobniej anestezjolog, pochyliła się nad córką i wytłumaczyła jej, co będzie robić, podłączając przewód do dyszy w ramieniu. Że zaraz dostanie lekarstwo, po którym zaśnie, i że poczuje lekki ucisk w ręce, ale nic nie będzie ją bolało. Córka spytała, czy królik naprawdę może z nią zostać, i usłyszała, że tak, zdążyła jeszcze dodać, że gdy dorośnie, chce zostać pielęgniarką. Chwilę później, gdy leżała z głową na poduszce i wpatrywała się w wiszącą nad nią lampę, obie gałki oczne jednocześnie

wywróciły się do góry, tak że było widać tylko białka. To wyglądało strasznie, jakby świadomość została z niej wyssana, jak luźne elementy przez dziurę w kadłubie samolotu. „Proszę teraz wyjść i zaczekać”, zwrócili się do mnie. „I proszę zabrać królika, żeby nie pobrudził się krwią. Ona tego nie zauważy”. Zabrałem przytulankę i wyszedłem na zewnątrz, usiadłem na krześle pod oknem z królikiem na kolanach. Niedługo potem pielęgniarka wywiozła ją z sali operacyjnej. Córka wciąż była pod narkozą, oczy miała zamknięte, ale cała się trzęsała, jej ciałem wstrząsały dreszcze, a na białej klatce piersiowej miała plamy krwi. Nigdy nie widziałem czegoś równie okropnego. „Za pół godziny odzyska przytomność”, powiedziała pielęgniarka i ustawiła łóżko tuż obok mnie. „Wszystko się udało”. Przez pół godziny siedziałem przy trzęsącym się małym ciele, a potem córka się obudziła. Usiadła na łóżku, skołowana i przestraszona, jakby lunatykowała, i zaczęła macać dłońmi dookoła siebie. Położyłem królika przed jej ręką. Gdy go wyczuła, przycisnęła go do piersi. „Jak się czujesz?”, spytałem. Spojrzała na mnie i rozplakała się. „Połóż się i odpocznij”, powiedziałem. Posłuchała mnie i znowu zasnęła. Gdy po pewnym czasie się obudziła, była prawie taka jak zawsze, tylko słabsza i bardziej uległa. Pielęgniarka przyniosła lody, które córka zjadła, chociaż skarżyła się na ból brzucha. Po kolejnych trzydziestu minutach na tyle odzyskała formę, że mogliśmy wracać do domu. Co prawda była blada i cicha, ale pokonała dzielnie wszystkie korytarze, przeszła przez parking i wsiadła do samochodu. Po drodze zajechałem do dużego sklepu z zabawkami w Regementet, mogła wybrać, co chciała. Wybór padł na dom z króliczą rodziną. Gdy staliśmy przy kasie, córka przyłożyła nagle dłoń do ust i skulona wybiegła ze sklepu. Wyjąłem kartę z terminala, wrzuciłem dom do reklamówki i pobiegłem za nią. Stała przechylona do przodu tuż przed samochodem i wymiotowała na asfalt. Gdy znalazłem się tuż przy niej, było po wszystkim. Wyprostowała się. Spojrzałem na wymiociny. Były ciemnoczerwone. „Czy to jest krew?”, spytała. „Na to wygląda”, odparłem. „Czy to jest groźne?”, zaniepokoiła się. „Nie”, odpowiedziałem. „Na pewno połknęłaś ją w czasie operacji. Lepiej się teraz czujesz?” „Tak”, potwierdziła. „Teraz już mnie nic nie boli!” Gdy wyjechaliśmy na drogę, przypomniało jej się, że kiedyś, gdy była chora i zjadła zupę jagodową, wymiociny były całkiem niebieskie. „To nie wszystko”, powiedziałem. „Zwymiotowałaś wprost na białą tapetę. Nigdy nie udało nam się tego usunąć, pamiętasz?” „Tak”, odparła i się roześmiała. „Ale powiedz mi, dlaczego pobiegłaś do samochodu? Nie mogłaś zwymiotować na asfalt tuż za drzwiami sklepu?” „Sama nie wiem”, odpowiedziała. „Przy aucie czułam się jakoś bezpieczniej”.

Studzienki kanalizacyjne

Dzięki okrągłej formie, rdzawobrazowej barwie, różnym reliefom i napisom studzienki kanalizacyjne wyglądają jak duże monety. Można je znaleźć we wszystkich miastach i miasteczkach, przynajmniej na Zachodzie, co świadczy o tym, że doskonale spełniają swoją funkcję i przybrały ostateczny kształt, ponieważ darwinowskiej teorii selekcji naturalnej podlegają także konstrukcje i wynalazki. Zwykle nie zwracam na nie uwagi, lecz kiedy już to robię, na przykład kiedy samochód jadący przede mną zatacza niewielki łuk, by ominąć studzienkę, a ja domyślam się, że kierowca jest przesądny (bo to popularny zabobon, że przejście lub przejechanie po studziencie przynosi pecha), wyobrażam sobie, że studzienki kanalizacyjne mają w sobie coś z rzymskiego imperium. Tam konstrukcje i wynalazki adaptowały się w określonych systemach, które Rzymianie wdrazali w każdym mieście, nie po to, by wycisnąć na nich swoje piętno, co zdarzało się bardziej próżnym cywilizacjom, choć Rzymianie również się od tego nie uchronili, lecz z tego prostego powodu, że okazały się one najbardziej właściwe. Myślę tu o akweduktach, drogach, murach obronnych, łaźniach, teatrach, cyrkach, obozach wojskowych, budynkach administracji publicznej. To spojrzenie jest powierzchowne, a rozumowanie najprostsze z możliwych: studzienki kanalizacyjne są podobne do siebie i znajdują się wszędzie, tak jak wyżej wymienione konstrukcje znajdowały się wszędzie w czasach imperium rzymskiego.

Co innego, kiedy studzienka zostaje otwarta. Pamiętam doskonale pierwszy raz, gdy byłem tego świadkiem. To było na drodze tuż przed domem, w którym dorastałem. Samochód służb komunalnych stał zaparkowany na poboczu, gdy wróciliśmy do domu ze szkoły. Pracowało tam dwóch mężczyzn. Zardzewiała pokrywa nie leżała płasko na asfalcie obok studzienki, lecz była o coś oparta, z pewnością po to, by łatwiej ją było chwycić i położyć z powrotem na miejsce. Pamiętam, jak wszyscy po kolei próbowaliśmy unieść pokrywę. Być może pamiętam to tak dobrze, ponieważ była o wiele cięższa, niż na to wyglądała, nawet nie drgnęła, a uczucie, że coś jest diametralnie inne, niż się wydaje, bywa ekscytujące i jednocześnie straszne: chcemy, żeby świat był przewidywalny, a niewyobrażalny ciężar i grubość tej stosunkowo niepozornej pokrywy były przerażające.

W miejscu studzienki zionęła dziura. Była ciemna, mogła mieć dwa lub trzy metry głębokości, a do jej ściany przymocowano metalową drabinę. Do tej pory nie wiem, co ci dwaj robotnicy tam robili, ale pamiętam, że jeden z nich zszedł na dół i zniknął w ciemności i że udało mi się zajrzeć do środka. Pod drogą biegł niski i wąski korytarz przypominający tunel, a na jego dnie płynęła woda.

To wszystko. To była cała tajemnica studzienki kanalizacyjnej. Wydawać by się mogło, że gdy jej wnętrze zostało obnażone i odarte z tajemnicy, mistyka powinna zniknąć. A jednak tak się nie stało, wręcz przeciwnie: mistycyzm pogłębiał się, ponieważ było w tym coś fantastycznego, że pod drogą, pod ziemią znajduje się przejście, w samym środku zwykłego świata, który każdego dnia obserwowałem przez okno, gdy siedziałem w kuchni i jadłem, po którym każdego dnia biegałem i w którym się bawiłem.

Nadal pociąga mnie wszystko, co znajduje się pod ziemią. Kilometrowe korytarze szpitalne, w których schodzi się w dół w jednym miejscu, a wychodzi w zupełnie innym, może nawet daleko od samego szpitala. Nieczynne odcinki metra. Katakumby. Systemy grot w miejscach, gdzie spędzałem urlop. Ogromne podziemne obiekty obronne z okresu zimnej wojny, tajne schrony przeciwoatomowe w dużych miastach, bunkry. Myślę, że nie tyle pociągają mnie moce chthoniczne, obcość podziemnego królestwa – choć myśl, że istniała swego rodzaju siła grawitacyjna duszy, ciągnąca ją w dół, w stronę miejsca, w którym kiedyś była i w którym kiedyś będzie, wydaje się kusząca. Nie, sprawa jest dużo prostsza: najprawdopodobniej chodzi przede wszystkim o dynamikę między tym, co widzialne, a tym, co ukryte, między tym, co wiemy, a tym, czego nie wiemy. Im więcej wiemy o świecie, tym większe wrażenie robi na nas to, czego jeszcze nie wiemy, a każdy tunel, każda grotka, każde podziemne pomieszczenie stanowi potwierdzenie tego, co zawsze przeczuwaliśmy: że świat nie kończy się na tym, co widzą oczy.

Okna

Jedną z najważniejszych funkcji domu jest neutralizowanie pogody, stworzenie miejsca, gdzie wiatr nie smaga, deszcz i śnieg nie mają wstępu i gdzie nie obowiązują wzrastające ani opadające temperatury powietrza. Idealem byłoby, gdyby temperatura w domu zimą, kiedy na dworze jest mróz, i latem, kiedy słupek rtęci pokazuje trzydzieści stopni, była taka sama. To miejsce, które nazywamy „wnętrzem”, prowadzi ciągłą walkę z żywiołami. Ściany są na tyle grube, aby wiatry nie mogły się wśliznąć do środka, lecz przesuwają się wzdłuż nich i mogły wiać dalej, pozostawiając w spokoju wszystko, co znajduje się w środku, a poza tym są szczelne, dzięki czemu ciepłe powietrze, tak pożądane w zimnej połowie roku, nie ulatuje na zewnątrz. Dachy, pokryte wodoszczelnymi materiałami, są pochyle, co sprawia, że woda ścieka w stronę krawędzi dachu, gdzie jest wylapywana przez rynny biegnące wokół całego domu, które odprowadzają wodę do ziemi, pionowymi rurami spustowymi, najczęściej umieszczonymi po jednej w każdym rogu budynku. Słaby punkt domu stanowią okna, o wiele delikatniejsze od ścian, zarówno dlatego, że są cieńsze, jak i dlatego, że są wykonane z tak kruchego materiału jak szkło i umieszczone w drewnianej ramie, z charakteru podobnej do listewki, również znacznie cieńszej od budulca tworzącego ściany. W przeciwieństwie do ścian okna można stłuc, co stanowi katastrofę dla domu, ponieważ wiatr, deszcz i zimne powietrze wleczą wówczas bez trudu do środka. Poza tym okna szybciej się zużywają – może od nich, na przykład, zacząć „ciągnąć”, co znaczy, że stają się nieszczelne. Po co więc wstawiać okna w domu, czyniąc tę, skądinąd solidną, konstrukcję kruchą i bezbronną? Okna nie są po to, by regulować ruch powietrza, jak można by sądzić, widząc, jak mieszkańcy domu otwierają je, żeby wpuścić świeże powietrze, gdy to w środku staje się stęchłe lub przesiąknięte zapachami kuchennymi. Łatwo byłoby przecież stworzyć luki z tego samego materiału i tej samej grubości co reszta ścian. Nie, luki w domu są ze szkła, ponieważ jego mieszkańcy chcą wyglądać na zewnątrz. To oznacza, że „wnętrze” nie jest pojęciem jednoznacznym; gdyby tak było, domy mogłyby mieć ściany metrowej grubości, z masywnego muru o ciągłej powierzchni, i równie dobrze mogłyby być zakopywane w ziemi lub wbudowywane w jamy powstałe w górach w wyniku eksplozji. Takie absolutne i jednoznaczne „wnętrze” nie jest pożądane, mimo korzyści płynących z neutralizacji pogody. Kiedy jesteśmy „wewnątrz”, musimy mieć jednocześnie możliwość obserwowania tego, co „na zewnątrz”. Można by pomyśleć, że wynika to z chęci sprawowania kontroli, że musimy widzieć, kto zbliża się do naszego domu, na wypadek gdyby ktoś lub coś miało wobec nas wrogie zamiary, ale to nie może być główny powód, skoro wieczorem i nocą zasłaniamy okna, właśnie wtedy, gdy prawdopodobieństwo ataku wroga,

pod osłoną ciemności, jest największe. Nocą troszczymy się o to, by nie móc wyglądać na zewnątrz. Poza tym „wnętrze” jest przeniknięte „zewnątrzem” na inne sposoby. Mamy, na przykład, zwyczaj trzymania roślin w domu, w małych środowiskach, tak zwanych doniczkach kwiatowych, gdzie staramy się w możliwie największym stopniu odtworzyć „zewnątrze”, tak aby kwiaty mogły rosnąć nawet we wrogim roślinom klimacie panującym we „wnętrzu”. Jednak przebieg tego jest ściśle kontrolowany: „zewnątrze” kwiatów, to znaczy ziemia i woda, otrzymuje niejako własne „wnętrze” wewnątrz większego „wnętrza” i jest utrzymywane dzięki ścianom doniczki. Nikt nie uprawia kwiatów ani warzyw w domu bez tych dodatkowych ścian, na przykład w grządkach na podłodze. Wręcz przeciwnie: ziemia i piasek, drobne kamyki, żdźbła trawy, igły i liście, które z jakiegoś powodu lądują poza doniczką, są niepożądane i natychmiast usuwane. Ta sama zasada dotyczy wody. Jeśli woda wyleje się na podłogę lub stół, to znaczy pojawi się w otwartej formie, w jakiej występuje na zewnątrz, szybko ją wycieramy. Woda może znajdować się w domu wyłącznie w określonych pojemnikach lub rurach, a więc również ona ma własne „wnętrze” we „wnętrzu” domu. Dzieje się tak, ponieważ woda i ziemia, rośliny i liście są w posiadaniu sił i dynamiki świata zewnętrznego, które nawet w małych dawkach rozsadzają „wnętrze” będące ich przeciwieństwem, a mianowicie statyczne i niezmiennie. Wystarczy odrobina wilgoci na ścianie i wkrótce pojawia się pleśń, ściana butwieje i się rozpada. Potem wiatr wpada do środka, zawilgocenie ścian się pogłębia, aż w końcu, jeśli ten proces trwa nieprzerwanie, dom się wali, jego organiczne części zamieniają się w ziemię, w której znajdują oparcie i z której wyrosną rośliny i drzewa, i w ten sposób mineralne elementy domu z czasem również znikną, w głębi lasu, pod ziemią. To, że mimo wszystko nie otaczamy „wnętrza” murem ani nie tworzymy wewnętrznych środowisk, które byłyby tak silne, że wszystko, co poza nimi, byłoby trzymane „na zewnątrz”, również poza zasięgiem wzroku, wynika z faktu, że my sami należymy do „zewnątrza”, ponieważ nie tylko utrzymuje nas to przy życiu, mam na myśli wodę i związane z ziemią rośliny, lecz my sami jesteśmy wodą, my sami jesteśmy związani z ziemią, a nasze wysiłki, by osiągnąć to, co statyczne, niezmiennie i neutralne, są tego zaprzeczeniem, o czym wszyscy wiemy i co czujemy w głębi serca, dzięki czemu otwarcie okien, skierowanych nie tylko ku temu, co na zewnątrz, lecz także ku istniejącemu w nas „zewnątrzu”, stanowi wielkość egzystencjalną, bez której nie możemy się obyć. Jak ambiwalentny jest nasz stosunek do tych wielkości, „wnętrza” i „zewnątrza”, widać na przykładzie trumny, która będąc naszym ostatnim domem, ostatnią obroną przed żywiołami, ostatnim „wnętrzem”, w znacznym stopniu przeczy naszej prawdziwej naturze, choć nie całkiem: gdyby tak było, również trumna miałaby okna.

Przypisy

[1] Por. 2 Krn 24,15: Jojada zmarł „syty życia”; Rdz 25,8: Abraham zmarł „syty dni”. (Przypisy pochodzą od tłumaczki).

[2] Chodzi o *Eddę poetycką*, najstarszy zabytek piśmiennictwa islandzkiego pochodzący z IX wieku, składający się z 29 pieśni, mitycznych i heroiczych.

[3] Przełożyła Apolonia Załuska-Strömberg.

[4] Pan – grecki bóg opiekuńczy lasów i pól, strzegący pasterzy i trzód; przedstawiany w postaci pół człowieka, pół zwierzęcia.

[5] Nikolai Johannes Astrup (1880–1928) – norweski malarz i grafik.

[6] *Draumkvedet* (pol. Pieśń o śnie) – najbardziej znana norweska anonimowa średniowieczna pieśń ludowa.

[7] Hulen (pol. Jaskinia) – prowadzony przez studentów klub rockowy w Bergen, działający od 17 maja 1969 roku.

[8] Nygårdshøyden – część dzielnicy Nygård w centrum Bergen, na której terenie znajdują się wydziały uniwersytetu, m.in. Wydział Humanistyczny.

[9] Sydneshaugen – teren między placem Muzealnym a Smoczą Górą w dzielnicy Sydnes w centrum Bergen, z Biblioteką Uniwersytecką.

[10] Snorri Sturluson (1179–1241) – islandzki poeta, historyk, polityk i przywódca, autor *Eddy prozaicznej* i *Heimskringla*, prawdopodobnie również *Sagi o Egilu*.

[11] Przełożyła Apolonia Załuska-Strömberg.

[12] Przełożyła Apolonia Załuska-Strömberg.

[13] Nazwy kremów orzechowych, czekoladowych, bananowych, wykorzystywanych do kanapek.

[14] Miklagard – staronordycka nazwa Bizancjum.

[15] Przełożyła Apolonia Załuska-Strömberg.

[16] Norweska Partia Centrum (Senterpartiet) założona w 1920 roku; do 1959 nosiła nazwę Partia Chłopska (Bondepartiet).

